WYDANIE SPECJALNE NA MAJÓWKĘ

ANALIZA ŁUKASZA WARZECHY

Co kryje się za wojną targającą PiS?



Paweł Chmielewski ostro o wywiadzie kardynała Rysia dla „Gazety Wyborczej”



Rafał A. Ziemkiewicz odsłania kulisy swej prywatności

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 18/678 27 KWIETNIA–3 MAJA 2026
CENA 13,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

PRZECIW CZARNEJ LEGENDZIE PIASTÓW

Kto naprawdę prowadził handel słowiańskimi niewolnikami



ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829

SPÓŁKA AKCYJNA

DO RZECZY

Do Rzeczy S.A. Spółka notowana na rynku **NewConnect (GPW)**
Symbol giełdowy: **DRZ**



WOLNOŚĆ SŁOWA MA WARTOŚĆ – TAKŻE GIEŁDOWĄ!

Od ponad dekady tworzymy jedno
z najbardziej opiniotwórczych mediów w Polsce.

Od 28 kwietnia 2026 możesz nas nie tylko czytać
– ale również zostać akcjonariuszem Do Rzeczy S.A.

ZAINWESTUJ W NIEZALEŻNE MEDIA

Twoje media. Wspólna sprawa.

Dowiedz się więcej:
www.DoRzeczySA.pl

eprasa.pl 2eeee85d49

Trybunał niesprawiedliwości i Węgry



PAWEŁ LISICKI

To, że nazwy nie mają nic wspólnego z rzeczywistością, nikogo w dzisiejszym świecie nie powinno zaskakiwać. Ostatnim krzyczącym przykładem jest orzeczenie Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej, który to uznał za sprzeczne z prawem unijnym węgierskie przepisy, chroniące dzieci i młodzież do 18. roku życia przed propagandą homoseksualną. Jest to wyrok niesprawiedliwy i w każdym tego słowa znaczeniu sprzeczny z suwerennym prawem państw do samodzielnego określania własnej tożsamości religijnej i moralnej. Jest to kolejny przykład uzurpacji i gwałtu, którego dokonują na narodach instytucje europejskie.

Najpierw przypomnienie najważniejszych faktów. Istotą wyroku TSUE jest to, że zakwestionował on węgierskie przepisy ograniczające dostęp nieletnich do treści propagowanych przez środowiska LGBT. Szczególnie szokujące i bezczelne jest to, że Trybunał, atakując prawo przyjęte przez węgierski parlament za czasów Viktora Orbána, powołał się na tzw. wartości UE. Według sędziów Trybunału (a więc de facto polityków udających sędziów) węgierskie ustawy z 2021 r. naruszają zarówno unijne prawo, jak i fundamentalne zasady funkcjonowania Wspólnoty. Przepisy prawa ograniczały dostęp osób poniżej 18. roku życia do treści dotyczących homoseksualizmu i zachęcających do zmiany płci. Trybunał rozpatrywał sprawę na skutek skargi Komisji Europejskiej, którą wspierały 15 państw i Parlament Europejski.

Węgierskie przepisy jako jedyne w Unii zapewniały rodzicom realne prawo do wychowania dzieci zgodnie z ich sumieniem, zakazywały bowiem udostępniania treści homoseksualnych i materiałów propagujących zmianę płci osobom niepełnoletnim w mediach, reklamie i edukacji. Były one zatem wymierzone w coraz bardziej otwartą propagandę genderyzmu, którą systematycznie prowadzą wielkie, zachodnie wydawnictwa oraz koncerny medialne. W innych państwach rodzice są całkiem bezradni – nie mają żadnych realnych instrumentów, żeby skutecznie walczyć czy to z dużymi korporacjami, czy z potężnymi wydawnictwami, które to na każdym kroku oswajają genderyzm.

Cóż, nie ma się co dziwić. Po pierwsze, wyrok zapadł tuż po przegranej w wyborach Orbána i jest wyraźnym znakiem, czego Unia oczekuje od nowego rządu Pétera Magyara. Koniec z własną, odrębną, węgierską drogą. Wszyscy mają się podporządkować tęczowej ideologii, która stała się jednym z filarów unijnego centralizmu. Unijczycy wszystkich krajów mają się jednoczyć przy tęczowej fladze.

Ideologia genderowa skutecznie niszczy bowiem międzypokoleniową solidarność, prowadzi do zniszczenia etycznych norm, na których oparte jest państwo narodowe, i uderza w samo jądro tradycji moralnej. To, co naturalne – czy to macierzyństwo, czy ojcostwo – musi zostać zniszczone i podporządkowane temu, co przez te określenia rozumieją biurokraci. Nie ma prawa naturalnego, jest prawo wykreowane i narzucone. To Unia, a nie tradycja historyczna ludzkości i nie Bóg, będzie określać, co jest dobre i złe. Skoro Unijczycy mówią, że relacje seksualne osób tej samej płci mają taką samą wartość jak relacje mężczyzny i kobiety, to tak jest. Prawo, które do tej pory chroniło i dawało przywileje związkom jednego mężczyzny i jednej kobiety, bo tylko z takich związków przychodziły na świat dzieci, teraz chroni po prostu każdą formę zaspokojenia pożądania przez jednostki.

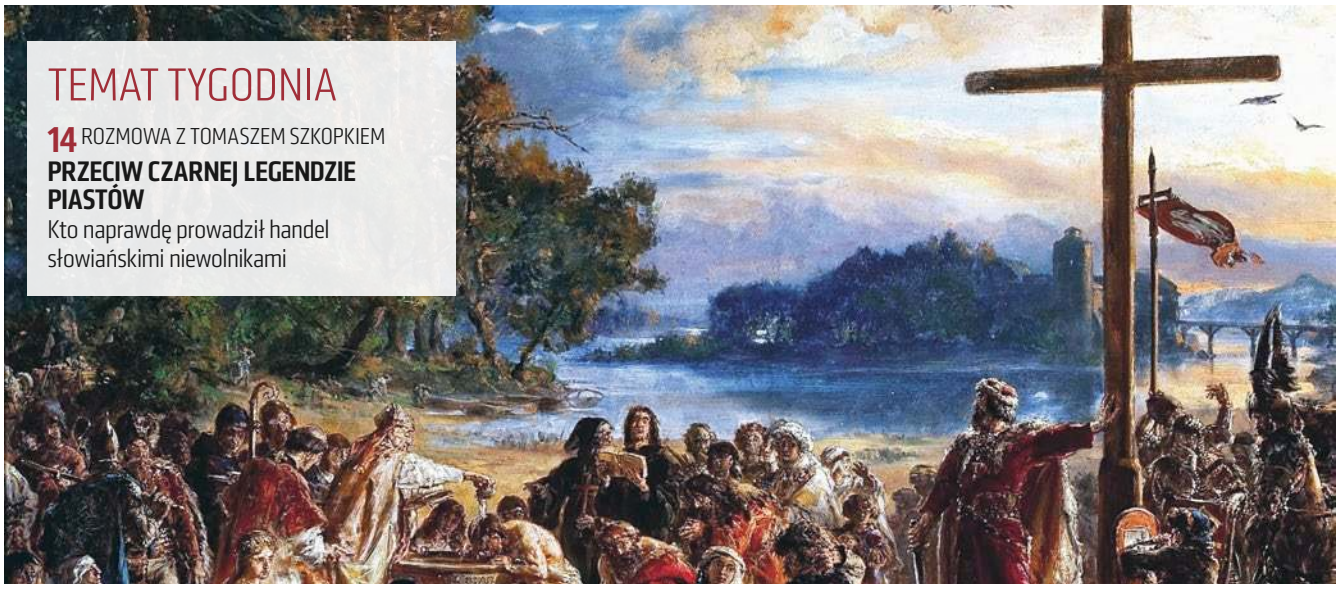
Wyrok Trybunału potwierdził, że z punktu widzenia moralnego Unia, a więc duża część Zachodu, znajduje się w stanie głębokiej degeneracji. To, co powinno być potępione, jest chwalone, a to, co należy chronić, jest atakowane. Uniemożliwiając poszczególnym narodom zachowanie własnej tożsamości, Unia coraz wyraźniej pokazuje swoje totalistyczne oblicze.

Jest tylko kwestią czasu, kiedy to pojawią się kolejne barbarzyńskie rozstrzygnięcia. Jeśli państwu nie wolno ograniczać dostępu do treści promujących homoseksualizm i transwestytyzm, to w konsekwencji nie wolno tego robić szkołom. A jeśli unijny system edukacji zostanie oparty na genderyzmie, jak to się coraz powszechniej dzieje, to prędzej czy później rodzice zostaną pozbawieni swoich praw. Albo będą wychowywać swoje dzieci zgodnie z tym, co przekazuje szkoła, albo odbierze się im dzieci.

Widać, dlaczego Brukseli tak bardzo zależało na przegranej Viktora Orbána. Potężny bastion obrony normy upada na naszych oczach.

PS Szanowni Czytelnicy, tak jak już zapowiadaliśmy, 28 kwietnia Do Rzeczy S.A. zadebiutuje na giełdzie! Dla naszej redakcji to bardzo ważny dzień – pozyskane od Państwa środki zostaną przeznaczone na rozwój naszego tygodnika, miesięcznika, portalu i kanału na youtube.pl. W ofercie publicznej udało się nam pozyskać ponad 3 mln zł, a akcje spółki kupiło ponad 520 inwestorów. Bardzo wszystkim w imieniu redakcji dziękuję! To ogromny wyraz zaufania do nas, do naszej pracy. Dzięki Państwa wsparciu możemy rozwijać niezależne dziennikarstwo i tworzyć miejsce dla prawdziwej debaty na argumenty, tak inne od tego, co jest zmorą polskiej polityki, miejsce wymiany myśli wolne od plemienności i taniej emocjonalności. Zdrowy rozsądek, odwaga, obrona wolności i tradycji – to znaki firmowe „Do Rzeczy". Obecność na parkiecie pozwoli nam te wartości dodatkowo chronić.

eprasa.pl 2eeee85d49



TEMAT TYGODNIA

14 ROZMOWA Z TOMASZEM SZKOPKIEM
PRZECIW CZARNEJ LEGENDZIE PIASTÓW
Kto naprawdę prowadził handel słowiańskimi niewolnikami

KRAJ

20 ŁUKASZ WARZECHA
CO KRYJE SIĘ ZA WOJNĄ TARGAJĄCĄ PIS?
Kryzys partii Jarosława Kaczyńskiego

24 ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA
DLACZEGO „DONALD NIE LUBI KAŚKI"?

26 PIOTR SEMKA
BATALIA O „HOMOMAŁŻEŃSTWA", CZYLI TUSK WE WŁASNYCH SIDŁACH

28 MICHAŁ MURGRABIA
GANGI IMIGRANTÓW ZALEWAJĄ POLSKĘ

30 ROZMOWA Z ROBERTEM CZARNOWICZEM
RYZYKO MUSI BYĆ PO STRONIE NAPASTNIKA

32 ROZMOWA Z RAFAŁEM A. ZIEMKIEWICZEM
ATENCJUSZEM NIE JESTEM. FRAGMENT KSIĄŻKI „ZIEMKIEWICZ"

KULTURA

36 PIOTR SEMKA
RZECZPOSPOLITA ZAMCZYSTA
Dlaczego Polacy kochają zamki

40 PIOTR GOCIEK
PONURE RAJE SKANDYNAWII

42 GRZEGORZ KONDRASIUK
GOMBROWICZ: BŁAZEN, WIELKI MĄŻ

43 REMIGIUSZ WŁAST-MATUSZAK
WĘŻOWISKO „POLSKIEJ" KINEMATOGRAFII

NIE PRZEGAP

44 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, GRA, WYSTAWA, KSIĄŻKI

OPINIE

48 MICHAŁ KRUPA
CZY MOŻEMY JESZCZE LICZYĆ NA USA?
Wybiórcza użyteczność NATO

51 PIOTR CIOMPA
JAK DŁUGO MOŻNA KŁAMAĆ?

54 ROBERT BOGDAŃSKI
OSTRZEŻENIE Z WEWNĄTRZ. CZY AI JEST ZAGROŻENIEM DLA LUDZKOŚCI?

56 PAWEŁ CHMIELEWSKI
KOŚCIÓŁ (NIE)PRAWDY

58 FILIP MEMCHES
DLACZEGO ZACHÓD PRZEGRYWA

HISTORIA



60 JACEK KOMUDA
CZŁOWIEK STRZELA, PAN BÓG KULE NOSI
Historia pojedynków na pistolety

ŚWIAT

66 MACIEJ PIECZYŃSKI
REWOLUCJA ZA ZGODĄ PUTINA
Kontrolowany bunt w Rosji

69 WITOLD REPETOWICZ
PRAWICOWA FALA W AMERYCE ŁACIŃSKIEJ

EKONOMIA

72 JACEK PRZYBYLSKI
STEVE JOBS 3.0
John Ternus pokieruje Apple w erze AI

FELIETONY:

SEMKA (6), GMYZ, GOCIEK (7), ZIEMKIEWICZ, POSPIESZALSKI (8), JASTRZĘBOWSKI (9), ŻEBROWSKI, KOPER (64), PRZYBYLSKI (65), GABRYEL, WARZECHA (75), KOMUDA (76), KOWALCZUK, KARWELIS (79), WIEROMIEJCZYK (80), ROSZKOWSKI (81), CEJROWSKI (82)

eprasa.pl 2eeee85d49

NEKROLOG

Z głębokim bólem przyjmujemy wiadomość o śmierci

ŚP.

Mamy

Pana Premiera Jacka Sasina.

W tych trudnych chwilach składamy wyrazy głębokiego współczucia,
łącząc się w smutku i zadumie z Panem Premierem
oraz całą Rodziną i Bliskimi Zmarłej.

Patryk Jaki, Adam Bielan
Z posłami polskiej delegacji Grupy EKR

TYGODNIK DO RZECZY

ADRES: TYGODNIK **DO RZECZY**
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas** (II sekretarz redakcji), **Filip Memches**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski *(korespondent z USA)*, **Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić** *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Łukasz Czarnecki, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Piotr Litka, Andrzej Krzystyniak, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Andrzej Nowak, Jacek Pałkiewicz, Maciej Pieczyński, Jan Pospieszalski, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Piotr Włoczyk, Dariusz Wieromiejczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Zbigniew Zapert, Łukasz Zboralski**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska, Lidia Lemaniak, Alina Piekarz, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Aleksander Majewski, Dawid Sieńkowski**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedzielko** (kierownik studia), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**

Korekta: **Anna Zalewska, Agnieszka Szpak, Agata Błaszczyk-Stefaniak**

RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**

Okładka: **rysunek Jana Matejki/Biblioteka Narodowa**

WYDAWCA: **Do Rzeczy SA**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00
Wydawca tytułu, Do Rzeczy SA, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

PMPG POLSKIE MEDIA SA — POLSKI WYDAWCA — spółka notowana na GPW

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Do Rzeczy SA
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl;
tel.: +48 508 040 890

PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Joanna Nowakowska, Joanna Gosek,
dystrybucja@pmpg.pl, tel. 539 953 631, 508 040 664

DRUK: **Walstead Starachowice**

PRENUMERATA WYDAWNICZA:
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
+48 508 040 664, +48 539 953 631, Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl, https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:
Kolporter sp. z o.o.
(instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl, www.kolporter.com.pl

Garmond: tel.: +48 (12) 422 14 85,
e-mail: prenumerataprasy@poczyta.pl,
www.poczyta.pl/prenumerata#prasa

GLM sp. z o.o. tel.: +48 (22) 649 41 61, www.glm.pl

Poczta Polska https://prenumerata.poczta-polska.pl/

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829

NAKŁAD KONTROLOWANY

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.

© Ⓟ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy! *Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.*

eprasa.pl 2eeee85d49

NA PIERWSZY OGIEŃ

Dzierżyński wiecznie żywy



PIOTR SEMKA

Mocą dekretu podpisanego przez prezydenta Rosji Władimira Putina Akademia Federalnej Służby Bezpieczeństwa (FSB) otrzymała imię Feliksa Dzierżyńskiego, Polaka, założyciela sowieckiej służby bezpieczeństwa Czeka.

Wyższa szkoła KGB nosiła już imię Feliksa Dzierżyńskiego w latach 1962–1992. W 1992 r. na fali odchodzenia od symboliki komunistycznej, uczelnia otrzymała ideologicznie neutralną nazwę Akademii Federalnej Służby Bezpieczeństwa bez żadnego konkretnego patrona.

Ten hołd Putina dla szefa służby, który w czasie rewolucji i wojny domowej rozstrzelał lub zamordował w inny sposób miliony przedstawicieli rosyjskiej arystokracji, a także i zwykłych przedstawicieli inteligencji, burżuazji czy – szerzej – wszystkich tych, którzy stanęli na drodze sowieckiej władzy, zdziwił nieco część naszych konserwatystów. W komentarzach znaleźć można było np. opinie wyrażające zdziwienie, że Putin – tak często nawiązujący do idei silnej Rosji – uhonorował w ten sposób nie-Rosjanina, który wyprawił na tamten świat niezliczone rzesze duchownych prawosławnych i obrońców monarchii carskiej i rosyjskiej tradycji.

Przyznam się, że czytałem te zdziwione opinie ze wzruszeniem ramion. Owszem, w tradycji rosyjskiej emigracji silny był nurt widzący w bolszewikach zwycięstwo idei Zachodu nad ideą rosyjskiej syntezy poczucia narodowego i głębokiej religijności. Jednak równie silny był w części przedstawicieli dawnego świata pogląd, że zwycięstwo komunistów to szansa na odnowienie siły Rosji choćby za cenę brutalnych represji. Ci ludzie bardzo szybko zobaczyli w Józefie Stalinie nowego cara i kibicowali postępom Armii Czerwonej w zajmowaniu Europy. W imię tej dziwnej fascynacji rosyjski arystokrata i pisarz Aleksiej Tołstoj wrócił w 1923 r. z emigracji i stał się na polecenie Stalina piewcą geniuszu mocarstwowego cara Piotra Wielkiego. W wypadku wielkiego XIX-wiecznego malarza rosyjskiego Ilja Repina tylko zły stan zdrowia i podeszły wiek przeszkodziły wybitnemu twórcy w powrocie do Rosji sowieckiej na zaproszenie czołówki partii bolszewickiej.

Polityczny wabik, zwany przez speców KGB szlifowaniem syndromu białej brzozy (symbolu rosyjskiego krajobrazu), skłonił tysiące rosyjskich artystów i intelektualistów emigracyjnych do powrotu do Związku Sowieckiego, często na swoją zgubę.

A jak ma się to do ideologii Władimira Putina? Akurat ten prezydent Rosji wywodzi się prosto z KGB i kult Feliksa Edmundowicza wbijano mu do głowy od samego początku służby w „organach". I z punktu widzenia Putina Dzierżyński to taki sam współtwórca silnej Rosji jak Iwan Groźny, marszałek Michaił Kutuzow w czasie wojen z Napoleonem czy rosyjski premier Piotr Stołypin, przeciwnik rewolucji. A to, że Dzierżyński był Polakiem? Marszałek Konstanty Rokossowski też był Polakiem, a nikt w dzisiejszej Rosji nie czyni mu z tego powodu jakichkolwiek wyrzutów. W tej specyficznej dziedzinie Wielkorusowie potrafią się zdobyć na zaskakującą aż wspaniałomyślność. ©℗

Tusk wątpi w lojalność USA

W wywiadzie dla „Financial Times" premier Donald Tusk wyraził wątpliwość, czy Stany Zjednoczone będą „lojalne" wobec zobowiązania NATO do obrony Europy w przypadku ataku Rosji.

„Najważniejszym pytaniem jest, czy Stany Zjednoczone są gotowe zachować się tak lojalnie, jak opisano to w naszych traktatach [NATO]" – powiedział Tusk, ostrzegając, że Rosja może zaatakować członka sojuszu w ciągu najbliższych „kilku miesięcy".

Szef rządu w Warszawie wezwał jednocześnie Unię Europejską do stania się „prawdziwym sojuszem" w obronie kontynentu. Zaapelował m.in. o wzmocnienie europejskiej klauzuli wzajemnej obrony.

Elementem zacieśniania współpracy mają być m.in. rozmowy z Francją o dwustronnych gwarancjach atomowych. Byłyby one niezależne od zobowiązań w ramach NATO. Podczas wizyty prezydenta Emmanuela Macrona w Gdańsku Polska i Francja przyjęły deklarację o „pogłębionej współpracy strategicznej". W 2025 r., po wtargnięciu na teren Polski rosyjskich dronów, Francja wysłała z pomocą swoje Rafale. ©℗

PREZYDENT CHCE ODTAJNIĆ ANEKS DO RAPORTU WS. WSI

Karol Nawrocki zdecydował, że aneks, który od 18 lat znajduje się w kancelarii tajnej BBN, powinien wreszcie ujrzeć światło dzienne. „Prezydent RP Karol Nawrocki przeszedł do formalnoprawnego etapu bezpośrednio zmierzającego do odtajnienia i podania do publicznej wiadomości Aneksu do Raportu z likwidacji Wojskowych Służb Informacyjnych" – poinformował rzecznik prezydenta Rafał Leśkiewicz. ©℗

eprasa.pl 2eeee85d49



FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

dwaj panowie g

Z życia PiS. Partia po przesileniu staje się ciekawsza. Przesileniem było spotkanie Naczelnika z ojcem Mateuszem na temat działalności morawian i stowarzyszenia Rozwój Plus. Obie strony odtrąbiły sukces, co jest zrozumiałe. Bo co miały niby zrobić innego? Ale prawda jest inna. „Zamrożone" rzekomo stowarzyszenie ma już kolejnych 20 posłów (na razie ukrywających nazwiska), którzy w dodatku akces złożyli w czasach najostrzejszej nagonki na ojca Mateusza.

Ciekawa rzecz ma miejsce w Świętokrzyskiem, czyli prestiżowym okręgu, bo nie tylko tradycyjnie zwycięskim dla PiS, lecz także tym, z którego startuje szeregowy poseł Jarosław Kaczyński. Otóż morawianie skaptowali w tej twierdzy już ok. 200 samorządowców różnych szczebli: radnych, wójtów itd. Znamy przynajmniej dwa województwa, w których postępy morawizacji są niemal równie szybkie.

Frakcje frakcjami, ale doświadczony polityk wie, jak wykorzystać każde przesilenie na swoją korzyść. Nasze lokalne wiewiórki donoszą z całego kraju o interesującym zjawisku. Otóż lokalni baronowie PiS używają imby z morawianami, by załatwiać stare porachunki. W wielu miejscach jest tak, że próbowali kogoś wywalić z partii, bo mieli z nim na pieńku, ale Nowogrodzka nie pozwalała. Teraz recepta jest prosta: mówisz, że delikwent sympatyzuje z ojcem Mateuszem, i odpowiedź jest natychmiastowa: Wywalać, oczywiście, że wywalać. Nazwiemy tę akcję „walką z odchyleniem liberalnym".

Kronika towarzyska. W gościnnym klubie Hybrydy odbył się w miniony czwartek benefis Rafała A. Ziemkiewicza i promocja wywiadu rzeki „Ziemkiewicz". Publika była godna, z wicemarszałkiem Sejmu Krzysztofem Bosakiem włącznie. Widzieliśmy też Zybertowiczów oraz wiele innych dostojnych figur. Najciekawsze jednak było liczne zgromadzenie przedstawicieli prawackiego świata medialnego. Na przykład uścisk dłoni wymienili zaprzyjaźnieni szefowie zwaśnionych telewizji czy też zwaśnieni szefowie zaprzyjaźnionych telewizji, tzn. Tomek Sakiewicz oraz Jacek Karnowski. Ale największe brawa i tak dostał „Najwyższy Czas!". Jak widać, było też radykalnie.

Na jednym z lotnisk nasze wiewiórki wypatrzyły scenę niezwykłą. Otóż do trapu samolotu podjechała wypasiona bryka, która zabrała na swój pokład dwóch pasażerów. Niejakiego Patryka Jakiego i jakiegoś Kędrynę, ksywa „Doradca". Nasze wiewiórki zachodzą w głowę: Dla którego podstawiono brykę? Obstawiamy, że dla niejakiego Jakiego, bo jako europoseł mógł wylatać tyle, że przysługuje mu serwis VIP. Usługa i tak nie miała żadnego sensu, bo wypasiona bryka podjechała pod to samo wejście dla pospólstwa, a drzwi otwarto dopiero, kiedy przyjechał autor owóż pospólstwo dowożący. Ale co wypas, to wypas. A Kędryna to ten gość w sandałach i z brodą od byłego prezydenta Andrzeja Sebastiana.

Nasz młody znajomek dostał propozycję udziału w badaniach opinii publicznej, a dokładnie tzw. focusie on-line. Okazało się, że w focusie bierze udział też prezydent Krakowa, który przygotowuje się do odwołania go w referendum. Naszemu znajomkowi zaproponowano stówkę pod jednym wszakże warunkiem, że zada dobre pytanie Miszalskiemu. Najlepsze, co mu przyszło do głowy, to: „Jak pan to robi, że jest pan tak wspaniałym włodarzem Krakowa". Z wrodzonej skromności go jednak nie zadał. Ale stówkę i tak przytulił. Wstydził się jednak zdradzić, za jakie pytanie mu zapłacono.

Tymczasem w gmachu przy Szucha trwa szukanie fuchy dla Pawła Wrońskiego. Facet miał jechać na placówkę jako nibyambasador do Sofii. Ale na razie zrobiło się to nieaktualne. Mówi się o jakimś Instytucie Polskim, bo tam nie trzeba zgody prezydenta, by zostać szefem placówki. Inni wspominają o posadzie konsula generalnego, bo tu też nie jest wymagana zgoda osoby głowy państwa. Jest jednak problem, bo Wroński zna tylko jeden język, a na takich stanowiskach wymaga się dwóch języków. Pawełka zaś nie można z roboty wyrzucić, bo ma już ochronę przedemerytalną.

Àpropos sytuacji w gmachu MSZ. Dotarliśmy do ciekawych kwitów. To oficjalne pisma rozmaitych kandydatów na ambasadorów, którzy piszą do Radka Sikorskiego, że bardzo ich cieszy propozycja z MSZ, ale zwracają uwagę, że aby być prawdziwym ambasadorem, trzeba być powołanym w konsultacji z osobą głowy państwa. I że oni chętnie będą pracować, ale proszą o przestrzeganie procedur i niezapominanie o prezydencie Karolu Tadeuszu. Wiecie, co się dzieje z tymi kandydatami? Otóż przestają być kandydatami natychmiast. Jak widać z pism, są jeszcze porządni ludzie. Ale jest i Radek.

Z netu. Ambasadorowi Kumochowi z Pekinu ukradziono konto na X, czyli dawniejszym Twitterku. Nie jemu jednemu. Konto zagrabiono również prof. Krasnodębskiemu i red. Janeckiemu. Wszyscy oni kliknęli w link otrzymany w prywatnej wiadomości. Jeden z panów G. też dostał taki link. Ale ów jednak nie ma zwyczaju klikać w podejrzane linki. Kumochowi wybaczamy. Był po silnej narkozie w związku z wymianą kolana. Bo Kumoch to przedstawiciel sekty biegunów robiącej maratony. Panowie G. maratonów nie biegają i dlatego wciąż mają swoje, a nie jakieś tytanowe kolana. Co więcej, Panowie G. w ogóle nie biegają i dlatego wciąż mają swoje… no właściwie wszystko. ©℗

eprasa.pl 2eeee85d49



PŁYWANIE W KISIELU

Ostatni rympał?

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

Rezygnacja Sławomira Cenckiewicza z kierowania Biurem Bezpieczeństwa Narodowego budzi mieszane uczucia. Z jednej strony, gniew, że bezprawie stosowane przez Tuska i jego kamarylę znowu okazuje się skuteczne. Tusk – a może raczej działająca pod jego skrzydłami sitwa wojskowej bezpieki, której Cenckiewicz już dawno temu wydał śmiertelną wojnę i zadał bolesne ciosy, ujawniając tajemnice „resetu" z FSB i Putinem – uparł się, że choćby kosztem sparaliżowania państwa nie pozwoli, by niezłomny historyk szefował BBN, i postawił na swoim. Ignorując wyroki sądów, blokując właściwą sobie metodą „na rympał" prace BBN, wymusił dymisję. Prawo prawem, wyroki wyrokami, a TVP i PAP nadają rządową propagandę, w prokuraturze krajowej tuskowe marionetki sprawują funkcje, których nie mają prawa sprawować, kolesie z Iustitii rządzą na lewo sądami, a Cenckiewicz nie jest szefem BBN.

Z drugiej strony, pozorność zwycięstwa Tuska daje nadzieję, że to jeden z ostatnich sukcesów tego – mówmy to wprost – politycznego bandyty. Fanatyczni wyznawcy ośmiu gwiazdek ucieszą się, że ich wódz wreszcie okazał sprawczość, ale tylko oni. Sytuacja Tuska w żaden sposób się nie poprawia. BBN i tak będzie działał tak, jak chce Karol Nawrocki, Cenckiewicz zapewne zajmie inne stanowisko, na którym być może będzie w walce z rządzącą sitwą jeszcze skuteczniejszy, i tylko propagandystom Tuska będzie coraz trudniej wmawiać Polakom, że tej władzy chodzi o cokolwiek innego niż bezkarne dojenie Polski, i coraz trudniej będzie w to wierzyć najbardziej nawet niechętnym PiS wyborcom.

Cenckiewicz natomiast udowodnił, że chodzi mu o coś więcej niż stołek – że dla dobra Polski gotów jest przyjąć upokorzenie i ustąpić przed oczywistym bezprawiem. Cała sprawa zasiewa w Polakach myśl, że sposobami konstytucyjnymi z bandytami wygrać się nie da i żeby nie ustępować w nieskończoność, będą musieli zaakceptować sięgnięcie przeciw nim po skuteczniejsze środki. ©℗



#WARTO

Wymazywanie ofiar

JAN POSPIESZALSKI

Mój tekst („DRz" nr 17/2026) o usuwaniu z terenu obozu Auschwitz upamiętnień poświęconych polskim i chrześcijańskim ofiarom poprzedziłem pytaniami do biura prasowego Muzeum. Dlaczego zniknęły upamiętnienia bohaterów AK, polskich harcerzy i tablica poświęcona św. Edycie Stein? Kto podjął decyzję? Czy dzieje się to za zgodą i wiedzą fundatorów oraz inicjatorów tych upamiętnień?

Już po oddaniu tygodnika do druku otrzymałem odpowiedź: „Priorytetem w działaniach Muzeum prowadzonych na autentycznym terenie byłego niemieckiego nazistowskiego obozu koncentracyjnego Auschwitz jest zachowanie wszystkich oryginalnych poobozowych pozostałości. Służą temu prowadzone na bardzo szeroką skalę prace konserwatorskie". W dalszej części odpowiedzi rzecznik Muzeum wyjaśnia, że tablice były „ingerencją w historyczną substancję", więc zostaną umieszczone w innym miejscu, już „bez wpływu na autentyczną przestrzeń".

Po otrzymaniu odpowiedzi sprawdziłem i widzę, że na bloku nr 27 wisi tablica poświęcona żydowskim uczestniczkom ruchu oporu w KL Auschwitz, a w Birkenau stoją pomniki francuski i cygański. I słusznie. Pamięć o ofiarach powinna trwać. Jak widać, „ingerencją w historyczną substancję" są tylko polskie upamiętnienia. ©℗

SPROSTOWANIE UNIWERSYTETU KARDYNAŁA STEFANA WYSZYŃSKIEGO

„W związku z artykułem autorstwa Jana Pospieszalskiego pod tytułem „Kosztowne hobby ks. Waldka" (Do Rzeczy nr 14/674, s.8) informujemy, że zawarte w nim sugestie jakoby władze UKSW posiadały wiedzę o rzekomych nieprawidłowościach związanych z pozauniwersytecką działalnością ks. Waldemara Cisło, bądź były jego wspólnikami lub mogły tolerować tę działalność, są **nieprawdziwe**".

eprasa.pl 2eeee85d49

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA





SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Pasać gąski

Ale że co? Że myśleli państwo, że Wojsko Polskie czy też może Ministerstwo Obrony Kamysza (przepraszam, oczywiście Narodowej) potrzebuje pieniędzy na uzbrojenie czy coś? Stop. I bardzo dobrze państwo myśleli, bo tyle jest wydatków, a te pieniądze to tak wychodzą, tak wychodzą. Stop. SAFE to bardzo jest potrzebny, bo to i Ukrainie damy, a oni lubią pieniądze, bo im się przydadzą, ale i Telewizji Polskiej, która nie potrafi się zlikwidować, to też trzeba dać. Stop. Jak ujawnili dziennikarze, MON zapłacił prorządowej telewizji 899 tys. zł za transmisję Święta Wojska Polskiego w 2025 r. Stop. Normalnie to państwowa telewizja powinna to zrobić za te 3 mld, które miały iść na onkologię, a idą na propagandę, gdyż jest dla rządzących istotniejsza propaganda. Stop. Normalnie to to by był gigantyczny skandal, ale rządzi Tusk, więc jest normalnie tak, jak on to rozumie. Stop.

Klaudia Jachira ma taki pomysł, żeby szefową Instytutu Pamięci Narodowej zajmującego się m.in. zbrodniami komunistycznymi została komunistka Joanna Senyszyn. Stop. Natomiast ja mam taki pomysł, żeby Klaudia Jachira zaczęła pasać gąski.

Narodowy Fundusz Zdrowia oszczędza jak nigdy, bo ci pacjenci złośliwie się badali i operowali. Stop. Teraz urzędnicy doszli do wniosku, że pora przyciąć pieniądze na operacje zaćmy. Stop. Sprawa wygląda na motywowaną politycznie, a kalkulacja jest zapewne taka: wyborca ślepy i głuchy raczej zagłosuje na naszych…

Polski premier gościł prezydenta Francji w niezwykle egzotycznym miejscu. Stop. Otóż według słów Tuska gościł Macrona w Danzig. Stop. Tymczasem okazało się, że to był Gdańsk. Stop. Żaden Polak nie powie o Gdańsku Danzig, tu skończę ten wątek. Bo i po co kontynuować?

Pamiętają państwo, jak rządzący naciskali na prezydenta Karola Nawrockiego, żeby podpisał natychmiast, już teraz, nie ma godziny do stracenia ze względu na bezpieczeństwo Polski i Polaków, pożyczkę SAFE? 12 marca prezydent zawetował tę chorą, niekorzystną dla nas i naszych dzieci ustawę. Stop. Wtedy szef rządu powiedział, że i tak podpiszemy, chociaż on nie zamierza tego robić, bo to wygląda na kryminał. Stop. Okazuje się, że niczego nie podpisano, bo nie dostaliśmy jeszcze ostatecznego dokumentu umowy. Stop. Polski Sejm i Senat zagłosowały za pożyczką, której treści nie znano. Ja to tak tu zostawię… ©℗

eprasa.pl 2eeee85d49

GWIAZDOBZDUR



ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA

ONA WIDZI DALEJ

Lata lecą, a Edzia nie przestaje zaskakiwać. Po opowieściach o kosmitach i innych wymiarach nadszedł czas na przepowiadanie przyszłości. W podcaście Cypriana Majchera Edyta Górniak stwierdziła, że wie, co się wydarzy. – Ja mam wiedzę na temat tego, jak ma wyglądać następne 100 lat. Nie mogę powiedzieć, skąd mam tę wiedzę, ale kiedy nastały te czasy szoku i zatrzymania dla ludzi [pandemia koronawirusa], wiedziałam, że to jest



FOT. PAWEŁ WODZYŃSKI/EAST NEWS

gruby scenariusz, złożony z wielu wątków, z wielu zależności – wskazała. Następnie wokalistka zapewniła, że jej liczne, kontrowersyjne wypowiedzi to nie chęć zyskania rozgłosu, ale próba „ratowania ludzi". – Może nie zawsze dobierałam słowa najmądrzej i w ostrożny sposób. Nie cedziłam tego, nie zastanawiałam się, czy coś mi za to grozi, czy ludzie to zrozumieją – podsumowała. Ludzie nie zrozumieli, pani Edziu, nie zrozumieli.

CO TAM W WATYKANIE?

Jedziemy dalej. Artystka nie ukrywa krytycznego stosunku do Kościoła katolickiego, powtarzając bon moty o tym, że wiara w Boga nie potrzebuje pośrednictwa księdza. – Chrystus głosił: Królestwo Boże jest w tobie. Nie potrzebujesz pośrednika – pana księdza, który weźmie pieniądze i powie ci, czy ty jesteś rozgrzeszony czy nie. Jesteśmy sobie równi w obliczu Boga. Nikt nie jest lepszy. Dotyczą nas te same prawa – zaznaczyła w podcaście. Górniak przyznaje, że choć odwiedza świątynie, to robi to w samotności – by skupić się na prawdziwej relacji z Najwyższym. – Słyszymy o tym, co dzieje się w Watykanie. Są to trudne wątki. Nie chcę przenosić na to uwagi ludzi. My musimy skupić się na boskości i na tym, co chcemy tworzyć, a nie na tym, czego nie chcemy – przekonuje. Nie dość, że Edyta Górniak wie, „co się dzieje w Watykanie", wie też, co wydarzy się tam za 100 lat. To jest moc!

JAK NA BUDOWIE

Gdyby tak użyć nadprzyrodzonych zdolności Edzi i przewidzieć, czy instainfluencerzy zejdą w końcu na ziemię czy nie... „Mama-ginekolog", czyli Nicole Sochacki-Wójcicka, ma ciężkie życie. Tak zwany „zapier..l" na Instagramie to naprawdę problem. – No więc pożalę się Wam, że tak naprawdę nie powinnam na nic narzekać. Jestem w supermiejscu w życiu, mam bardzo dużo sukcesów teraz, ale jest to dla mnie tak strasznie, jakby tak dużo mam na głowie, że ja po prostu nie wiem, w co ręce włożyć – wyznała swoim fanom. Drodzy czytelnicy, sprawa jest naprawdę poważna. – Do tego stopnia, że dostałam mandat 100 zł z fotoradaru. To nie jest jakiś dramat, chyba trzy punkty czy coś. I słuchajcie, ja od dwóch tygodni nie mam czasu usiąść i opłacić tego mandatu – ciągnęła. – Naprawdę nie miałam tyle rzeczy na głowie, których w ogóle tu nie widzicie, bo ja po prostu jakoś tak, może nie tyle, że odeszłam od Instagrama, bo to nie o to chodzi, ale mam tyle rzeczy pozainstagramowych na głowie i tego jakby nie relacjonuję, że ja już po prostu nie wiem, w co ręce włożyć – żali się influencerka. Nicole dostrzega, że jej życie układa się naprawdę dobrze, no ale czasu brak. – Większość z tych rzeczy to są superpozytywne rzeczy i naprawdę jestem z nich dumna, ale po prostu jestem wykończona – stwierdza. Dlatego najchętniej by się „po prostu położyła", bo spała po dyżurze „jakieś dwie godziny". – A najchętniej bym chciała, żeby wszystkie rachunki, mandaty, wszystko płaciło się samo – powiedziała Sochacki-Wójcicka. – Jezu, ile ja mam zadań, które muszę zrobić też tutaj na Instagramie, których ja po prostu nie nadążam, pokazywania Wam różnych rzeczy albo jakichś zakontraktowanych rzeczy. Ale dobra, przepraszam, że się tak tutaj wyrzygyję, bo naprawdę nie mam na co narzekać, tak naprawdę nie mam na co narzekać – zakończyła swój wywód. Prosta rada zupełnie za darmo – mniej reklamowania na Instagramie, więcej czasu na opłacanie mandatów. Nie ma za co!

RAZ WIĘCEJ, RAZ MNIEJ

Ewelina „Ewelona" Kubiak, pełnoetatowa celebrytka „znana z tego, że jest znana", zdradziła internetowym obserwatorom, że szykuje się do kolejnej operacji plastycznej. Zazwyczaj sobie powiększała, dodawała, dopompowywała, a teraz, ku zaskoczeniu wielu, będzie zmniejszać. Co? Powiększony wcześniej biust. „Tak, będę zmniejszać piersi. Zastanawiam się w ogóle nad wyjęciem implantów. Byłam już na konsultacji u jednego lekarza. Teraz czekam na konsultację u innego. Nie mam jeszcze terminu, bo nie zdecydowałam, u kogo robię. Ale myślę, że na 80 proc. będzie to ten, u którego czekam na konsultację" – napisała. Ewelona twierdzi, że jej piersi są zrobione źle – są za duże i nie pasują do całości. „Jest wiele powodów: 1. Są źle zrobione, więc potrzebuję poprawić i przy okazji zmniejszę je. Nie chcę mieć już takich dużych, bo jest mi z nimi ciężko. 3. Nie chcę mieć już takich dużych, bo jest mi z nimi ciężko 3. Źle się z nimi czuję" – przyznaje Kubiak [numeracja oryginalna – przyp. red.]. Nawet jeśli to tylko chęć pozostania w trendach (bo aktualnie jest moda na naturalność), to warto pochwalić. Im mniej, tym lepiej. Sztuczności oczywiście. ©℗

eprasa.pl 2eeee85d49



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, jesteśmy mocno zaskoczeni, iż widzieliśmy wyniki badań, według których Polacy wcale nie chcą podwyżki świadczenia „800+”. To znaczy, mocno zaskoczeni byliśmy w pierwszej chwili, iż sprawa nie jest tak jednoznaczna, na jaką wygląda – jak to zwykle bywa – a w dodatku mamy kilka swoich niepokojących przemyśleń.

Jak wiecie, głównymi beneficjentami programu „800+” (jakoś łatwiej nam się myśli o tym jako o „500+”…) są wielodzietne rodziny z Podkarpacia, gdzie dzieci jest więcej niż krzeseł w izbie, a żeby odrabiać zadania domowe (iż podkarpaccy nauczyciele zapewne nie słuchają ministry Nowackiej), osoborodzice muszą organizować hot deski. Takie rodziny z jednej strony najwięcej by zyskały na podniesieniu świadczeń, ale też, kochani, pamiętajmy, iż Podkarpacie to bastion PiS.

Łączycie kropki? Od rządu pana premiera Tuska nie chcą, ale od PiS to by pewnie i 2000 wzięli. A tak za Tuska mogą opowiadać, iż wcale nie chcą, że komu to potrzebne, po co, a jak przyjdzie do wyborów, to będą krzyczeć, że Tusk nie dał, a Kaczafi da i że trzeba głosować na PiS.

Taka to jest podkarpacka piąta kolumna. Dlatego uważamy, iż genialnym taktycznie posunięciem ze strony premiera byłoby podniesienie świadczenia niezależnie od woli i potrzeb tych wszystkich podkarpackich ankietowanych, iżby wytrącić im z rąk przyszłe argumenty.

W ten sposób nie tylko pokonalibyśmy Podkarpacie jego własną bronią, a więc taką typową chłopską przewrotnością, lecz także jednocześnie odsunęlibyśmy PiS od władzy i zapewnili panu premierowi kolejną kadencję.

Jak tam w ogóle wasze przygotowania do weekendu majowego? My już czujemy się źle na samą myśl o aromacie wysokoprzetworzonych produktów wędliniarskich smażonych na rakotwórczym grillu w oparach węgla. I tu, kochani, jest największy problem majówki. Już nawet nie wąsate janusze i ich kiełbasy, już nie ta wszechobecna kultura jedzenia mięsa. Jest nim węgiel.

Zastanawiamy się, dlaczego nikt nie wymyślił jeszcze grilli zasilanych panelami fotowoltaicznymi, a przynajmniej o takich nie słyszeliśmy. Of kors, są grille elektryczne, ale jakby poza zbiorową świadomością Polaków, którzy przy każdej okazji jak źli muszą nakopcić tym węglem, przez co rośnie zanieczyszczenie Gangesu.

Wydaje nam się, iż zakaz rozpalania grilli w polskich miastach, a także mniejszych ośrodkach powinien zostać wprowadzony natychmiast, tak aby ograniczyć możliwość grillowania już od tegorocznej majówki. Przynajmniej tyle, iż zmiany klimatyczne w tym okresie będą zmierzały raczej w kierunku deszczu ze śniegiem, więc chociaż tyle dobrze.

Jednak wciąż pozostaje aspekt kulturalny, a więc to, z czym majówka się kojarzy, a niestety kiełbasa i grill to pierwsze skojarzenia nie dość, że w tym kraju, to jeszcze za granicą. Nie da się ukryć, iż jest to bardzo kiepski PR, zwłaszcza że obchodzimy wtedy również święto konstytucji, a w epoce zmierzających po władzę konfederacji ochrona konstytucji powinna być obowiązkiem prymarnym, a nie jakieś tam grillowanie.

Dlatego może jakieś marsze, demonstracje, programy artystyczne, występy przedstawicielstw zakładów pracy, tzn. korporacji? Co byście powiedzieli na takie odświeżenie formuły majówki, aby dostosować ją bardziej do współczesności i jednocześnie podkreślić, co w tym świecku jest tak naprawdę ważne? ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Koszmarna suchotnica

Cześć, Kasieńko!
Witaj, Paulinko!
Jak samopoczucie?

Bardzo ci dziękuję, u mnie wspaniale. A u ciebie?
Cudownie! Masz bardzo piękną apaszkę.

Jesteś bardzo miła. Mnie się bardzo podoba twój żakiecik.

Dziękuję. W ogóle muszę powiedzieć, że wspaniale się prezentujesz.

I wzajemnie, aż wzroku nie mogę oderwać.
No nic, miłego dnia ci życzę!

Ja tobie też, żeby ci wszystko cudnie dzisiaj szło!

…
Wstrętny, gruby babsztyl.
Niech się udławi.

…
Koszmarna suchotnica.
Oby zdechła. ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Nigdy nie zgodzę się z taką oceną, że robimy propagandę tym po »drugiej stronie«. Najzwyczajniej w świecie uważam, że tak nie jest, że informujemy naszych widzów”.

JOANNA DUNIKOWSKA-PAŻ, *dziennikarka programu „19.30” (TVP 1), w wywiadzie dla portalu Wirtualne Media o telewizji publicznej*

eprasa.pl 2eeee85d49

IZRAELSKI ŻOŁNIERZ ZNISZCZYŁ FIGURĘ JEZUSA W LIBANIE

Zdjęcie żołnierza Sił Obronnych Izraela (IDF), który w chrześcijańskim miasteczku Debel na południu Libanu wielkim młotem zniszczył głowę posągu Jezusa na krzyżu, obiegło w zeszłym tygodniu niemal cały świat. Niszczycielską akcję sfotografował inny izraelski żołnierz, aby móc chwalić się bluźnierczym dziełem. Wielu żołnierzy IDF chętnie chełpi się bowiem popełnianiem zbrodni wojennych i naruszaniem prawa międzynarodowego. Na miejscu obecnych było jeszcze sześciu innych izraelskich wojskowych i żaden nie powstrzymał sprawcy przed zniszczeniem symbolu religijnego.

Głębokie oburzenie i potępienie aktu zniszczenia i profanacji krucyfiksu przez żołnierza izraelskiego w jednej z wiosek Libanu wyraziło Stowarzyszenie Ordynariuszy Katolickich w Ziemi Świętej. „Krzyż pozostaje źródłem godności, nadziei i odkupienia, stanowi także wezwanie do odrzucenia przemocy poprzez miłość ofiarną" – czytamy w oświadczeniu.

Działanie wojskowych, stanowiące rażące naruszenie prawa humanitarnego konfliktów zbrojnych, wywołało reakcję internautów oraz polityków. Szef izraelskiej dyplomacji Gideon Saar potępił bluźnierstwo i zapowiedział, że „zostaną podjęte niezbędne surowe środki przeciwko temu, kto popełnił ten brzydki czyn".

„Dobrze, że minister Sa'ar szybko przeprosił, było za co. Należy ukarać tego żołnierza, ale i wyciągnąć wnioski wobec sposobu, w jaki są formowani. Żołnierze IDF sami przyznają się do zbrodni wojennych. Zabijali nie tylko cywilnych Palestyńczyków, ale nawet własnych zakładników" – napisał szef polskiego MSZ Radosław Sikorski. Podobnie zareagował minister spraw zagranicznych Włoch. „To brutalny atak na chrześcijan, którzy na Bliskim Wschodzie działają jako agenci pokoju. To niedopuszczalny incydent, który, mamy nadzieję, nigdy się nie powtórzy" – napisał Antonio Tajani na platformie X. Zniszczenie figury skrytykował też premier Izraela Beniamin Netanjahu.

Ostra reakcja z wielu stron świata na skandaliczną fotografię skłoniła izraelskich dowódców do ukarania podwładnych: żołnierz, który zniszczył krzyż, oraz wojskowy, który robił zdjęcia, zostali wydaleni ze służby. Obaj mieli też trafić na 30 dni do wojskowego więzienia. Izraelskie wojsko oficjalnie zobowiązało się również do pomocy mieszkańcom nielegalnie okupowanego miasteczka w ponownym umieszczeniu figury Jezusa. © ℗

FOT. X.COM/MYTRAWI



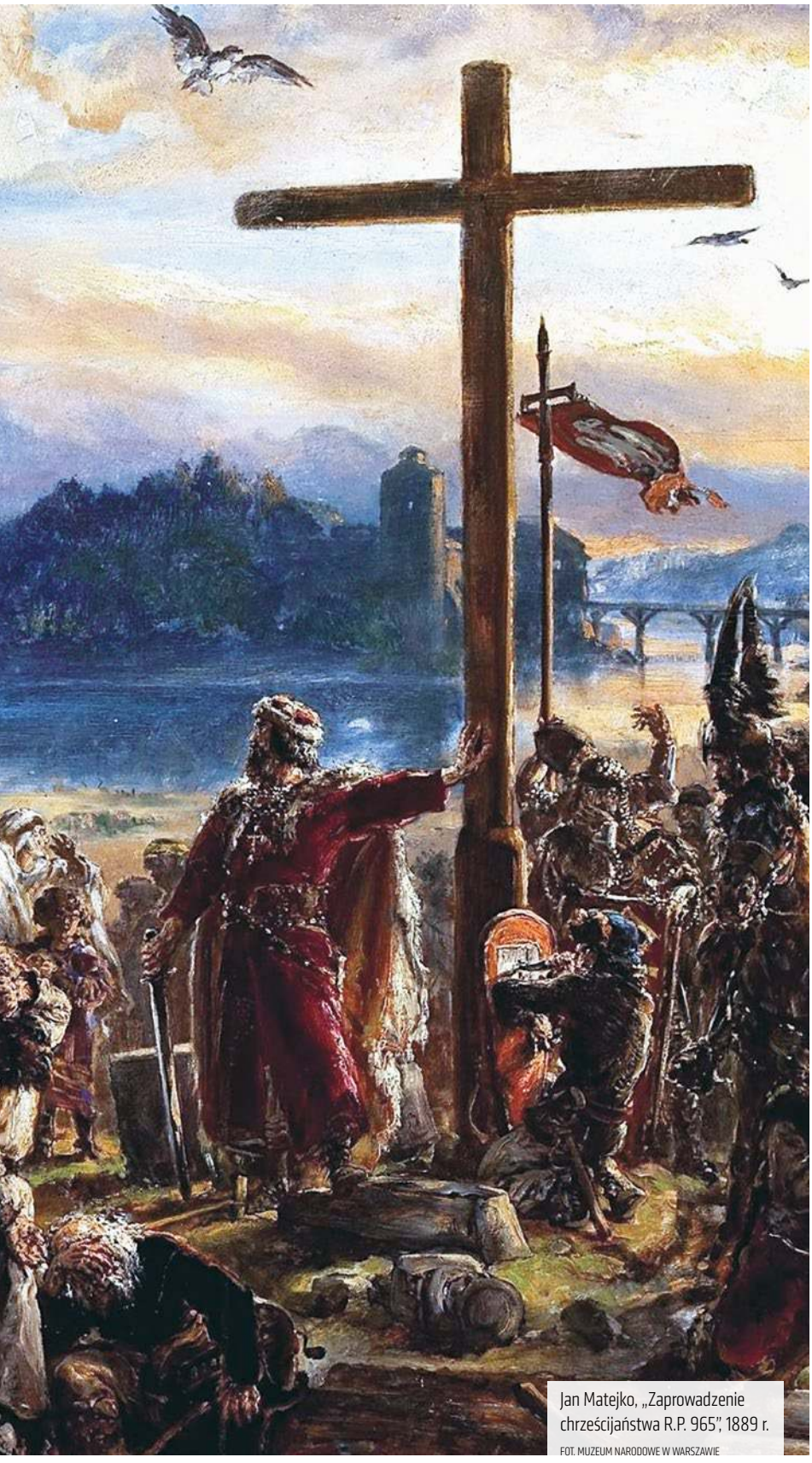
eprasa.pl 2eece85d49



Z Tomaszem Szkopkiem, historykiem, autorem książki „Niewolnictwo Słowian”
rozmawia Ryszard Gromadzki

Pierwsi Piastowie – rodzina mafijna czy ojcowie narodu?

eprasa.pl 2eeee85d49



Jan Matejko, „Zaprowadzenie chrześcijaństwa R.P. 965", 1889 r.
FOT. MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

RYSZARD GROMADZKI: Czy państwo polskie stworzone przez pierwszych Piastów powstało w kontrze do procederu handlu słowiańskimi niewolnikami?

TOMASZ SZKOPEK: Tak.

Co to oznacza?

To nawiązanie do jednego z podrozdziałów książki, części polemicznej, w której dokonuję rozbioru tezy, a raczej bardzo rozpowszechnionego w historiografii polskiej od 10 lat poglądu, według którego państwo polskie zostało zbudowane na handlu niewolnikami. W przestrzeni medialnej krąży dużo wywiadów czy filmików na YouTube, w których kilku dość znanych historyków i archeologów forsuje taki pogląd. Przedstawiam w książce tezę, że nie tylko nie ma podstaw źródłowych, żeby twierdzić, iż państwo polskie powstało dzięki handlowi niewolnikami. Przeciwnie – istnieją przesłanki oparte na źródłach, że państwo Polan powstało w kontrze do tego procederu. Choć to mocno publicystyczny zwrot.

Jak go interpretować? Władcy państwa Polan przeciwstawiali się czynnie handlowi niewolnikami?

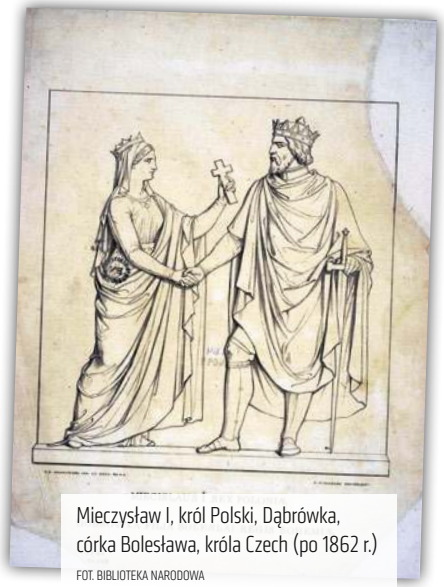
Raczej uratowali mieszkańców zachodnich części ziem polskich przed losem Słowian połabskich. Autorzy „czarnej legendy" początków naszej państwowości utrzymują, że władcy protopaństwa piastowskiego, czyli od Siemowita, poprzez Lestka, Siemomysła, do Mieszka I, choć nie wiadomo kiedy i który z nich, bo na pewno wiemy tylko, że Mieszko I pojawia się w źródłach w 963 r., mieli podbić grody położone na południowy zachód od „państwa gnieźnieńskiego". Przede wszystkim grody położone nad Obrą. Chodzi o kilkadziesiąt grodów, które zostały całkowicie zniszczone. Autorzy „czarnej legendy", na poparcie swojej teorii, powołują się na dwie przesłanki archeologiczne. Pierwszą są pozostałości tych 80 czy 90 zniszczonych grodów nad Obrą. Drugą – liczne na Wysoczyźnie Gnieźnieńskiej depozyty arabskich monet, dirhemów. Na tej podstawie wysuwają oni jednoznaczny wniosek, że Piastowie podbili i złupili grody nad Obrą, a ich mieszkańców sprzedali w niewolę Arabom w zamian za dirhemy, co pozwoliło im zbudować

eprasa.pl 2eeee85d49

„państwo gnieźnieńskie", które stało się zalążkiem Polski.

Autorzy „czarnej legendy" państwa polskiego, jak pisze pan w swojej książce, nie wahają się określać pierwszych Piastów mianem „rodziny mafijnej", a ich państwa „państwem mafijnym". Trzeba mieć bardzo silną awersję do polskiego dziedzictwa, żeby forsować tak kategoryczne tezy, opierając się, jak przekonuje pan w książce, na bardzo wątłych przesłankach.

Jeden z autorów związanych z tym nurtem pisze wprost w swojej książce i dwóch artykułach internetowych, że państwo Piastów było „państwem mafijnym". Inny naukowiec, socjolog, przekonuje, że Piastowie byli „rodziną, która rozkręciła swój interes, sprzedając niewolników aż do Bagdadu". Dlaczego jestem w kontrze do tych teorii? Ano dlatego, że opierając się zresztą na tych samych źródłach archeologicznych, wysuwam hipotezę, że mieszkańcy grodów nad Obrą sami przemieścili się na północny wschód – z obawy, że padną ofiarą ofensywy Sasów, której ofiarami padli ich pobratymcy za Odrą. Szczególnie że źródła – zarówno onomastyczne, jak i archeologiczne – wskazują, że



Mieczysław I, król Polski, Dąbrówka, córka Bolesława, króla Czech (po 1862 r.)
FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

co grody nad Obrą. To była ta sama konstrukcja hakowa. Po drugie, ceramika odnajdywana nad Obrą była taka sama jak w znaleziskach na Wysoczyźnie Gnieźnieńskiej. Tereny nad Obrą opustoszały, za to liczba ludności wokół Gniezna znacznie wzrosła. Dlaczego grody nad Obrą zostały zniszczone do „gołej ziemi"? Autorzy „czarnej legendy" początków państwa polskiego

Państwo polskie było odpowiedzią na proceder handlu słowiańskimi niewolnikami, dlatego że Sasi wziętych do niewoli Słowian sprzedawali Żydom, którzy transportowali ich dalej do Al-Andalus, czyli do muzułmańskiej Hiszpanii

mieszkańcy Dolnych Łużyc stanowili właściwie tę samą grupę, co mieszkańcy południowo-zachodniej Wielkopolski. W czasie, kiedy trwała ofensywa Henryka Ptasznika, kierująca się na wschód czy północny wschód, było wiadomo, że w pewnym momencie przekroczy ona Odrę, a los mieszkańców grodów położonych nad Obrą będzie taki sam jak Łużyczan, że będą oni mordowani i brani w niewolę, bo Sasi nie przebierali w środkach, o czym może świadczyć mord popełniony na kilkudziesięciu wodzach łużyckich, zdradziecko zaproszonych na ucztę. Przekonuję, opierając się na źródłach archeologicznych, że po pierwsze grody gnieźnieńskie zbudowane były w oparciu o tę samą technikę, przekonują, że to dlatego, iż Mieszko był sadystą, a jego wojowie okrutnie wyżywali się na ich mieszkańcach. To zupełnie ahistoryczna teza, której nawet nie warto komentować. Dla mnie, wychodząc z tych samych przesłanek co promotorzy „czarnej legendy", wniosek jest dokładnie odwrotny. To mieszkańcy południowo-zachodniej Wielkopolski zbudowali założenie obronne, cały ten niezwykły zespół grodów na Wysoczyźnie Gnieźnieńskiej. Konkludując, państwo polskie było odpowiedzią na proceder handlu słowiańskimi niewolnikami, dlatego że Sasi wziętych do niewoli Słowian sprzedawali Żydom, którzy transportowali ich dalej do Al-Andalus, czyli do muzułmańskiej Hiszpanii.

Sasi napierali na państwo wczesnopiastowskie z zachodu, z północy i północnego zachodu napadali na nie wikingowie, którzy też na wielką skalę uczestniczyli w handlu słowiańskimi niewolnikami.

Najazdy z tych kierunków przeprowadzali nie tylko wikingowie, na Pomorze głównie Duńczycy, a także Słowianie połabscy. Wśród słowianofilów, do których też się zaliczam, panuje swoista moda na idealizowanie północnych Połabian, którzy trwali w swoim etnicznym systemie wierzeń.

Czyli Wieletów i Obodrzyców?

Tak. Tymczasem fakty są takie, że byli to nasi wrogowie. Jestem zwolennikiem tezy, że na ziemiach Polan, jeszcze przed chrztem Mieszka, istniało chrześcijaństwo metodiańskie, czyli w obrządku rozpowszechnionym przez świętych Cyryla i Metodego, co mogło być dodatkowym powodem tej wrogości. Podziały wśród Słowian były bardzo silne. Na ten fakt zwraca uwagę jeden z arabskich autorów tamtej epoki. Pisze on, że mogliby oni być „potężniejszym ludem i odgrywać większą rolę, ale ich największą wadą jest, że są podzieleni na liczne plemiona".

To właśnie ów podział był główną przyczyną tego, że Słowianie byli polem eksploatacji przez handlarzy niewolników, ich łatwym łupem?

Tak, to, że jedni mogli być łatwo rozgrywani przeciw drugim, na pewno przyczyniło się do tak ogromnej skali handlu słowiańskimi niewolnikami, jaką osiągnęła ona w średniowieczu. Te silne podziały wśród Słowian zresztą dają o sobie znać także współcześnie. Przykłady można by mnożyć. Drugą przyczyną tej zbrodniczej eksploatacji Słowian był fakt, że byli oni ofiarą agresji prowadzonej jednocześnie z kilku stron. Od północy atakowali Waregowie i Rusowie, od wschodu Chazarowie, od zachodu Niemcy, z kolei południowi Słowianie przez cały czas toczyli walki z Bizantyjczykami. Poza tym, ze względu na fakt, że Słowiańszczyzna była poza zasięgiem Imperium Rzymskiego i – można powiedzieć – stanowiła peryferie cywilizowanego świata, zarówno w źródłach germańskich, jak i bizantyjskich Słowianie określani byli jako barbarzyńcy. Siłą rzeczy jako „barbarzyńcy" byli lepszym „materiałem" na niewolników.

eprasa.pl 2eeee85d49

Z czego brała się dominująca pozycja Żydów w handlu słowiańskimi niewolnikami?

Przyczyn tego stanu rzeczy było co najmniej kilka. Cytuję w swojej książce rosyjskiego autora, który bardzo dobrze opracował temat Sakalibów (niewolników słowiańskich w krajach muzułmańskich), dowodzącego, że ich uprzywilejowana pozycja w tym procederze wiązała się z tym, że mieli oni dobre warunki do życia zarówno w świecie chrześcijańskim, jak i muzułmańskim. I tu, i tam byli tolerowani. Wszędzie mieli też swoją diasporę.

To na pewno zwiększało ich skuteczność handlową...

Z pewnością. Chrześcijanie niechętnie zapuszczali się do krajów muzułmańskich, podobnie muzułmanie, którzy też niezbyt często zaglądali na te ziemie. Więc jednym i drugim odpowiadało, że Żydzi wzięli na siebie rolę pośredników. Poza tym handel niewolnikami nie był uważany za zajęcie godne. Jako zajęcie niegodne handel był zostawiany Żydom. To jeden powód dominującej roli Żydów w tym procederze. Drugi powód miał charakter ideologiczny i wynikał z przekonania Żydów, którzy uważali Słowian za Kananejczyków. Z tego powodu, w ich pojęciu, Słowianie w jakiś sposób byli predestynowani do tego, żeby być niewolnikami. To przeświadczenie odsuwało na bok wątpliwości moralne.

Czy Żydzi wywodzili swoje przekonanie o wyższości nad Słowianami wprost z Księgi Rodzaju?

Po części tak. Pozostaje kwestią otwartą, czy najpierw uznano Słowian za Kananejczyków, czego następstwem było przekonanie, że są oni odpowiednim materiałem na niewolników, czy też odwrotnie. To znaczy Żydzi, czerpiąc zyski z handlu niewolnikami, poszukali ideologicznego czy religijnego uzasadnienia swojego udziału w tym procederze. Jeden z autorów żydowskich dowodzi, że to przekonanie wśród Żydów wzięło się stąd, iż zniekształcono przez hebrajską wymowę nazwy prowincji rzymskich, do których przybyli Żydzi. W ten sposób Panonia skojarzyła im się z Kanaanem i to się utrwaliło, a niektórzy bardzo wpływowi rabini zaczęli propagować tę tezę.

Czyli, stosując ewangelijną formułę, „i tak ta pogłoska rozeszła się między Żydami i trwa do dziś"...

Pytanie, czy trwa do dziś. Cytuję w książce Bookera Washingtona, afroamerykańskiego autora, który dwa razy przebywał na ziemiach polskich na początku XX w. Jako człowieka z „innego świata" uderzyło go, co zresztą zapisał w swojej relacji z podróży, „że Żydzi w Polsce wykazują poczucie pogardy i wyższości wobec chłopów". To też musi mieć gdzieś swoje korzenie.



TOMASZ SZKOPEK „NIEWOLNICTWO SŁOWIAN" VERITATIS SPLENDOR 2026

Czy nie w przekonaniu, że chłopi to „chamy"? Skoro pojawia się określenie „cham", to już niedaleko do Księgi Rodzaju. Synem Chama był przecież przeklęty przez Noego Kanaan...

Z drugiej strony Wincenty Witos w swoich wspomnieniach pisze, że sami chłopi nie potrafili zrozumieć, iż ksiądz w czasie kazania mówi, że Żydzi są źli, bo zabili Chrystusa, a zaraz po Mszy idzie z miejscowym Żydem pić i załatwiać swoje interesy. Wracając do pańskiego pytania, z pewnością poczucie wyższości Żydów wobec Słowian w średniowieczu było silnie zakorzenione. Dowodzą tego źródła rękopiśmienne z tego czasu. To pozwala nam przynajmniej po części zrozumieć, jak dobrze Żydzi czuli się w Polsce. Traktując „tubylców" jako Kananejczyków, mogli uważać się u nas rzeczywiście za „naród wybrany". Na pewno utwierdzało to ich poczucie wartości.

Gdyby Mieszko i jego poprzednicy nie zbudowali sprawnego państwa, mieszkańcy ziem, które weszły w jego skład, zostaliby sprzedani w niewolę przez wrogów pierwszych Piastów?

Z pewnością tak. Można sobie wyobrazić, że gdyby nie stworzyło ono założenia obronnego, nie awansowało cywilizacyjnie, przyjmując chrześcijaństwo, nie miało tak mądrego przywódcy, którym był Mieszko I, potrafiący umiejętnie wykorzystać konflikt cesarza z buntownikiem Wichmanem, w związku z czym mógł się z nim skutecznie rozprawić, a wojsko polskie skutecznie obronić się pod Cedynią, to Niemcy by szli dalej na wschód. Przekroczyliby Odrę i rozbijając kolejne plemiona, pewnie doszliby do Bugu jeszcze w X w. Gdyby nie powstało państwo gnieźnieńskie, nazwane później państwem polskim.

Czy państwo pierwszych Piastów było wolne od niewolnictwa?

We wczesnym średniowieczu, potwierdzają to źródła bizantyjskie, wśród Słowian zasadniczo nie było niewolnictwa. Oczywiście istniało niewolnictwo czasowe, dotyczące jeńców wziętych do


Chrzest Mieszka I FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

eprasa.pl 2eeee85d49

niewoli, nie było jednak warstwy niewolniczej jako takiej. Ze względu na małą ilość źródeł trudno jednak o precyzyjny obraz. Natomiast wiadomo, że Piastowie pozyskiwali ludzi w czasie wypraw wojennych i byli oni przymusowo osiedlani w osadach służebnych.

Rozumiem, że osiedlanie niewolnych w osadach służebnych nie jest tożsame z „piastowskimi obozami koncentracyjnymi", bo taką narrację budują niektórzy autorzy „czarnej legendy" Piastów?

Oczywiście. Nie ma żadnych podstaw źródłowych do twierdzenia, że Piastowie eksterminowali jakieś plemiona czy mikroplemiona ani tym bardziej że masowo wyprzedawano ich za granicę. Polska była cały czas krajem o deficycie ludności. Taka sytuacja utrzymywała się aż do XIX w., więc nieustannie pozyskiwano ludzi. Na początku pod przymusem. Nie twierdzę, że pod tym względem Piastowie byli święci. Uprowadzanie ludzi z sąsiednich krajów, żeby później osiedlić ich na swoim terytorium, było we wczesnym średniowieczu praktyką bardzo rozpowszechnioną. Później pozyskiwano dobrowolnych osadników, Niemców, Żydów, Holendrów, Rusinów, kogokolwiek, kto chciał osiedlić się w Polsce, ponieważ ciągle brakowało ludzi. To fakt, potwierdzany powszechnie w źródłach. Jaki sens w tych uwarunkowaniach miałaby wyprzedaż ludzi przez Piastów? Autorzy „czarnej legendy" utrzymują, że od 10 do 15 proc. mieszkańców państwa wczesnopiastowskiego miało być „odstawiane" za granicę, po to żeby mieć srebro.

Idąc tropem podsuwanym przez autorów „czarnej legendy", można dojść do przekonania, że wyprzedaż ludzi była kołem zamachowym gospodarki państwa Piastów?

W rzeczywistości srebrne dirhemy nie były wcale tak ważne dla gospodarki. Były potrzebne do prestiżu czy wyposażenia drużyny książęcej lub po to, żeby je po prostu zakopać w ziemi. Czy można z tego wyciągnąć wniosek, że dirhemy były zapłatą za niewolników? To trochę tak, jak gdyby za 1000 lat jacyś archeologowie wykopali w Polsce amerykańskie dolary z lat 70. XX w. i postawili sobie pytanie, cóż wartościowego mogli kupić Amerykanie w Polsce w czasach PRL. No, chyba tylko ludzi. A więc Edward Gierek musiał być masowym zbrodniarzem.

Nie ma żadnych podstaw źródłowych do twierdzenia, że Piastowie eksterminowali jakieś plemiona czy mikroplemiona ani tym bardziej że masowo wyprzedawano ich za granicę

Bo wyprzedawał Amerykanom Polaków za cenne dewizy...

No właśnie. To, że znaleziono dolary posiadane przez Polaków, nie znaczy, że Amerykanie coś w Polsce kupowali. Wierutne bzdury.

Skąd więc bierze się popyt na „czarną legendę" początków polskiego państwa, niszczenie mitu założycielskiego Polski?

W ostatnim rozdziale książki odwołuję się do prof. Waltera Connora, którego historiozofia jest mi dość bliska. Dowodzi on, że praktyki dezawuujące mit założycielski narodu wpływają wręcz na jego podświadomość. Autorzy upowszechniający „czarną legendę" początków Polski nie zdają sobie sprawy z tego, co czynią. Nie dywagujemy przecież na temat jakichś ciekawostek historycznych, lecz spraw, które konstytuują naszą świadomość narodową. Nie można tak bezrefleksyjnie, bez rzetelnej analizy źródeł stawiać w złym świetle założycieli naszego państwa. Prowadzi to do tak absurdalnych tez, że chrzest Polski był w istocie umową między Mieszkiem I a księciem czeskim Bolesławem I Srogim o dostawy niewolników do Pragi. Absolutne kuriozum. Niestety, wielu ludzi to kupuje. Jest jakieś emocjonalne zapotrzebowanie na rzeczy złe. Nie chciałbym psychologizować, ale być może ta potrzeba bierze się stąd, że jeżeli w gorszym świetle przedstawimy ludzi, których uważamy za lepszych od siebie, to nasza małość nie wydaje się już tak mała. Podobny mechanizm można zauważyć u ludzi, którzy powtarzając wszystko, co najgorsze, na temat księży, sami czują się lepiej, jakby ich grzeszność nie była przez to już tak grzeszna.

W swojej książce umieścił pan reprodukcję sceny umieszczonej na Drzwiach Gnieźnieńskich. Przedstawiono na niej św. Wojciecha, wykupującego od żydowskich handlarzy słowiańskich niewolników w Pradze. Czy przyjęcie chrztu przez Mieszka można uznać za punkt zwrotny, także jeśli chodzi o odcięcie się jego państwa od procederu handlu niewolnikami?



Adrian Głębocki, Rafał Hadziewicz, „Wprowadzenie do Polski wiary chrześcijańskiej", ok. 1860 r. FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

eprasa.pl 2eeee85d49



Fragment Drzwi Gnieźnieńskich. Święty Wojciech wykupuje od żydowskich handlarzy słowiańskich niewolników w Pradze FOT. MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

Nie da się ukryć, że przebiegało to bardzo stopniowo. Chrześcijaństwo, jeśli można by to tak ująć, od początku było bardzo ostrożne, jeśli chodzi o tworzenie rewolucyjnego podejścia do obowiązującego systemu społeczno-politycznego. Niewątpliwie jednak przyjęcie chrztu przez Polskę w 966 r. było pewnym istotnym etapem. Myślę, że na ziemiach polskich mogło już wcześniej panować chrześcijaństwo w obrządku metodiańskim, choć nie ma na to bardzo silnych dowodów, ale mógł być to element oddziaływania na postawy naszych pierwszych władców. Na pewno przyjęcie chrześcijaństwa w obrządku łacińskim przez Mieszka wytrącało agresorom argument, że jego państwo zamieszkują „poganie", których można swobodnie sprzedać w niewolę. Aczkolwiek bp Agobard z Lyonu, którego dość szeroko przedstawiam w książce, również stawał w obronie niewolników niechrześcijańskich. Pomimo niewątpliwego pozytywnego wpływu chrześcijaństwa na ukrócenie procederu handlu niewolnikami niekiedy górę brały względy polityczne. Postawa kleru frankońskiego czy później niemieckiego nie była jednoznaczna pod tym względem. W każdym razie nie wszystkich.

Czy pozytywny obraz Mieszka I i jego państwa, który zawarł w swojej kronice podróży po Europie Środkowej i Zachodniej Ibrahim ibn Jakub, żydowski podróżnik z X w., można uważać za obowiązujący czy też autorzy „czarnej legendy" zdołali go podważyć? Ibn Jakub rozpływał się nad zasobnością państwa Piastów, a o Mieszku I pisał, że jest dla swoich poddanych jak „czuły ojciec".

Myślę, że niestety w odbiorze społecznym w istotnym stopniu się go podważa. Śledząc chociażby publikacje na YouTube i czytając komentarze, można zauważyć, że jest pewna grupa odbiorców, która zdecydowanie przeciwstawia się „czarnej legendzie" Piastów, ale równolegle jest też sporo osób, które nią nasiąknęły, argumentując, że „przecież tak mówią poważni historycy" albo że „profesor na Oksfordzie tak twierdzi". W komentarzu do jednej z pierwszych rozmów na temat mojej książki któryś z internautów napisał: „A właśnie, że Mieszko sprzedawał niewolników". Jak widać, „czarna legenda" początków państwa polskiego przeniknęła już do świadomości. Pojawiają się ilustracje przedstawiające Mieszka I z bardzo surową miną i klęczącym przed nim, zakutym w dyby niewolnikiem. Zadziwiające jest, że na podstawie jednego artykułu, którego teza jest później powielana, „czarna legenda" Piastów rozpowszechniła się szybko do tego stopnia, że dziś dla niektórych ludzi jest oczywista.

Pana zdaniem mamy podstawy, żeby nadal być dumni z naszych pierwszych władców i mitu założycielskiego polskiego państwa?

Zdecydowanie tak. Myślę, że sama idea założenia państwa, że to państwo było scentralizowane, już jest powodem do dumy. Pierwsi władcy z dynastii Piastów mogą uchodzić za wzór. Tysiąc lat temu w Polsce rzeczywiście byli prawdziwi ojcowie narodu. Paradoksalnie Polska Ludowa dała historykom już w latach 50. XX w. możliwość badania ziem zachodnich i czasów piastowskich, dzięki czemu studia te bardzo się rozwinęły. Obchody Millennium Chrztu Polski, a tym samym początków państwa polskiego w 1966 r., choć w części przeciwstawne ze strony kościelnej i państwowej, miały jednak bardzo spektakularny charakter. To w istotny sposób kształtowało świadomość kilku pokoleń Polaków urodzonych po drugiej wojnie światowej. Promotorzy „czarnej legendy" określają ten efekt mianem „paradygmatu milenijnego". W kontrze do tych twierdzeń zarzuciłem im w swojej książce, że sami tworzą za to „paradygmat niewolniczy". W moim przekonaniu ów „paradygmat milenijny" jest zdecydowanie bliższy prawdy. Po 1989 r., kiedy w Polsce zaczął się upowszechniać pseudoliberalny etos, troska o budowę państwa zaczęła być odbierana jak coś negatywnego. Pierwsi Piastowie dysponowali narzędziami, przy pomocy których potrafili zbudować sprawne państwo. Zaryzykuję twierdzenie, że gdyby nie pierwszy rozbiór, który dokonał się za czasów Mieszka II, Polska prawdopodobnie mogłaby się rozwinąć znacznie lepiej. Cóż, stało się. Oczernianie pierwszych Piastów wpisuje się w bardzo długą historię myślenia i działania antypaństwowego w Polsce. To doskonale widać także współcześnie. Ilekroć pojawia się postać czy siła polityczna, która próbuje skonsolidować państwo, natychmiast uaktywnia się opozycja, która za wszelką cenę chce te wysiłki udaremnić. Na szczęście nie brakuje patriotów, którzy nigdy nie porzucili myśli o silnej Polsce.

Zadziwiające jest, że na podstawie jednego artykułu, którego teza jest później powielana, „czarna legenda" Piastów rozpowszechniła się szybko do tego stopnia, że dziś dla niektórych ludzi jest oczywista

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2eeee85d49

PiS się kruszy



W nocy z poniedziałku na wtorek (20–21 kwietnia) Adam Bielan opublikował na X zdjęcie, na którym mogliśmy zobaczyć autora wpisu przy stole z Jarosławem Kaczyńskim i Mateuszem Morawieckim FOT. ADAM BIELAN/FACEBOOK



Łukasz Warzecha

Sytuacja wokół stowarzyszenia Rozwój Plus Mateusza Morawieckiego przypomina sytuację na Bliskim Wschodzie. Nie wiadomo właściwie, czy wojna nadal trwa czy podtrzymane jest zawieszenie broni, kto bierze udział w negocjacjach pokojowych i czy cieśnina Ormuz jest otwarta czy zamknięta

Miarą problemów trapiących Prawo i Sprawiedliwość może być to, przez jaki okres skutkują upomnienia prezesa wobec wojujących frakcji. Konflikty były oczywiście także w VIII lub IX kadencji Sejmu, gdy PiS sprawował władzę, lecz w tamtym czasie po stanowczym huknięciu prezesa Kaczyńskiego przygasały one czasami na całe miesiące. Ich uczestnicy – po jednej stronie był to na ogół Mateusz Morawiecki i jego ludzie, po drugiej Zbigniew Ziobro i jego stronnicy, wspierani także nierzadko przez byłą premier Beatę Szydło – posłusznie tonowali swoje pretensje i starali się nie prowadzić publicznych sporów. Wciąż oczywiście korzystali z zaufanych kanałów medialnych, żeby nawzajem się podgryzać. Było to jednak coś innego niż otwarta wojna, którą obserwujemy obecnie.

O ile w przeszłości publiczny konflikt występował momentami, o tyle teraz momentami ma miejsce chwiejne zawieszenie broni. Naturalnym i domyślnym stanem rzeczy w PiS stała się wojna, której nie tylko nie wygasiło desygnowanie Przemysława Czarnka na kandydata na premiera, lecz także jeszcze ją podgrzało. Na dodatek pojawił się groźny dla PiS efekt wzajemnego wzmacniania się negatywnych czynników: tarcia i publiczne spięcia między politykami wpływają na stabilizację poparcia na bardzo niskim poziomie albo nawet na jego spadki, a to z kolei wzmacnia tendencję do eskalacji napięć. Tracąca pozycję partia jest często jak „Titanic" po zderzeniu z górą lodową. Na tym teoretycznie niezatapialnym statku dochodziło, jak wiadomo, do dantejskich scen przy próbie dostania się do łodzi ratunkowych.

Sytuacja wokół stowarzyszenia Rozwój Plus Mateusza Morawieckiego przy-

eprasa.pl 2eeee85d49

pomina sytuację na Bliskim Wschodzie. Nie wiadomo właściwie, czy wojna nadal trwa czy podtrzymane jest zawieszenie broni, kto bierze udział w negocjacjach pokojowych i czy cieśnina Ormuz jest otwarta czy zamknięta. Ba, są momenty, gdy wydaje się, że jej stan jest taki jak cząsteczek w mechanice kwantowej: jednocześnie jest zamknięta i otwarta. To ostatnie przypomina do złudzenia stan stowarzyszenia Rozwój Plus.

STAN KWANTOWY

W nocy z poniedziałku na wtorek Adam Bielan opublikował na X zdjęcie, na którym mogliśmy zobaczyć autora wpisu przy stole z Jarosławem Kaczyńskim i Mateuszem Morawieckim. Nie wiadomo, gdzie zdjęcie było zrobione ani kto fotografował. Pokój nie wyglądał na partyjną siedzibę ani na miejsce publiczne. Na stole patera z ciasteczkami i druga z owocami, filiżanki, talerzyki i dzbanek zapewne z uwielbianą przez Kaczyńskiego herbatą. „Są pomysły, jest porozumienie i wspólny kierunek. A że czasem iskrzy? Kto się lubi, ten się czubi. @OficjalnyJK i @MorawieckiM dziękuję!" – napisał Bielan. Spotkanie w nieznanym miejscu trwało podobno siedem godzin, a komentarz Adama Bielana niczego przecież nie wyjaśniał ani nie precyzował.

Nic dziwnego, że każda ze stron już następnego dnia wyciągnęła własne wnioski. Przeciwnicy byłego premiera od rana pisali o tym, że sprawa jest w zasadzie zamknięta, ponieważ stowarzyszenie zawiesza działalność lub zostaje niejako „wcielone" do PiS i rozpuszczone w nieokreślonej „radzie eksperckiej". Ten przekaz został szybko skontrowany przez stronę przeciwną, która oznajmiła, że o żadnym zawieszeniu działalności mowy nie ma, stowarzyszenie funkcjonuje i ma oczywiście napędzać wyborców Prawu i Sprawiedliwości. Oto próbki stanu kwantowego. Tobiasz Bocheński, europoseł PiS, członek obozu przeciwników Mateusza Morawieckiego pisze na X po nocnym spotkaniu Morawiecki-Kaczyński: „Bardzo dobry dzień dla obozu patriotycznego. Działalność stowarzyszenia Mateusza Morawieckiego zostaje zawieszona. Wszyscy aktywni, kreatywni, pełni pomysłów posłowie i europosłowie wchodzą do Rady Eksperckiej PiS, w której będą realizować swoje inicjatywy". Około 20 minut później Marcin Horała, człowiek byłego premiera, współzałożyciel stowarzyszenia Tak Dla Rozwoju i członek Rozwój Plus: „Bardzo dobry dzień dla obozu patriotycznego. Działalność Stowarzyszenia Rozwój Plus będzie kontynuowana i rozwijana. Wyjaśnienie nieporozumień i dopracowanie formuły Rady Eksperckiej rozwiewa wszystkie wątpliwości, iż jest zgodna z celami statutowymi PiS".

Tego samego dnia w „Rzeczpospolitej" ukazała się rozmowa z człowiekiem Mateusza Morawieckiego, Krzysztofem Szczuckim, który został zawieszony w prawach członka PiS na zasadach wojny zastępczej, niejako w zamian za swojego patrona, ale bez słowa oficjalnego uzasadnienia. Szczucki oznajmił w wywiadzie: „Nie ma kuluarowego układania się [środowiska Morawieckiego] z Żurkiem. To mówią ci sami ludzie, którzy próbują mnie i całe środowisko Mateusza Morawieckiego wypchnąć z PiS. Mierzą nas swoją miarą, bo lubią intrygować, knuć i myślą, że wszyscy zajmują się tym samym. A my mamy ciekawsze zajęcia. Skupiamy się na tym, żeby PiS miało atrakcyjną ofertę programową i mogło wygrać wybory".

Z cytatów ze wzajemnych złośliwości, przytyków, oskarżeń można by zbudować cały tekst. Personalne ataki obejmowały nawet publikowanie niezbyt korzystnych, mówiąc najdelikatniej, zdjęć oponentów (wpis Pawła Jabłońskiego z 18 kwietnia, uderzający w Patryka Jakiego). Nie zbliżyłoby nas to jednak do zrozumienia i wyjaśnienia mechanizmu kruszenia się PiS.

COŚ NOWEGO

Aby zaś go zrozumieć, trzeba uchwycić to, co w obecnej sytuacji jest nowe. Otóż przede wszystkim to, że ludzie zaangażowani w stowarzyszenie Morawieckiego zapisali się do niego mimo gróźb samego prezesa i braku gwarancji, że nie będzie się to wiązało z sankcjami. Lista członków została opublikowana, ci zaś nie zaczęli się wycofywać również po tym, jak Jarosław Kaczyński oznajmił, że członkostwo w tej strukturze będzie oznaczało nieobecność na listach partii w przyszłym roku. Nawiasem, ta zapowiedź pana prezesa nie została dotąd odwołana mimo spotkania z Mateuszem Morawieckim, co pokazuje, jak skrajnie niespójna i chaotyczna jest komunikacja PiS i jak bardzo odzwierciedla chaos, w którym pogrąża się ta partia.

Tak stanowczo za swoim liderem, jak ludzie Morawieckiego za byłym premierem, dotychczas stawali w sporach wewnętrznych jedynie ludzie Zbigniewa Ziobry. Jednak działo się to w innych warunkach – w okresie, gdy Solidarna Polska (potem Suwerenna Polska) istniała jeszcze jako oddzielne ugrupowanie w ramach Zjednoczonej Prawicy. Było to w czasie, gdy PiS sprawował władzę i obóz rządzący był względnie stabilny. Poza jednym momentem – próbą przepchnięcia „piątki dla zwierząt" w 2020 r. – nie było też realnej groźby rozpadu koalicji PiS z SP.

Dzisiaj dzieje się co innego. Dwa i pół roku po utracie władzy partia Kaczyńskiego sondażowo jest cieniem dawnej siebie. Jej poparcie systematycznie spadało. Średnia sondażowa w momencie wyborów w 2023 r. wynosiła ponad 35 proc., żeby dzisiaj spaść poniżej 26 proc., a zdarzają się sondaże, jak głośne badanie CBOS, które dają PiS notowania wręcz katastrofalne, poniżej 20 proc. Gołym okiem widać, że oficjalny cel dobicia do 40 proc. i powrotu do samodzielnych rządów jest fantasmagorią.

Obecnie PiS ma 188 posłów. Ten stan jest nie do utrzymania – mandatów w kolejnym Sejmie będzie wyraźnie mniej. W prognozach najczęściej pojawiają się liczby oscylujące wokół 150, ale są i szacunki znacznie niższe, mówiące o niespełna 130 mandatach, a nawet jeszcze mniejszej ich liczbie. To zaś oznacza, że walka o miejsca biorące na listach wyborczych staje się brutalniejsza. To bez wątpienia jedna z głównych motywacji Mateusza Morawieckiego. Być może w jakimś stopniu były premier wzorował się na dawnej Suwerennej Polsce, która przed wyborami tworzyła zwartą grupę, a jej członkowie dzięki intensywnej pracy potrafili przeskoczyć liczbę głosów oddanych na kandydatów zajmujących wyższe miejsca na listach Zjednoczonej Prawicy.

Powołanie stowarzyszenia to podjęcie z Jarosławem Kaczyńskim brutalnej walki o własne miejsce, a także o przywództwo w PiS, bo przecież gołym okiem widać, że starzejący się lider ma coraz mniejszą kontrolę nad ugrupowaniem i zapewne poprowadzi je już tylko do jednego wyborczego starcia. Mateusz Morawiecki działa jednak jak rasowy polityk – wariantowo. Na liście celów ma kilka pozycji.

eprasa.pl 2eeee85d49

Cel pierwszy to wymuszenie dobrych miejsc dla swoich ludzi. Nie chodzi tutaj tylko o to, aby w przyszłym znacznie mniejszym klubie PiS mieć solidną pozycję dzięki dużej liczbie lojalnych wobec byłego premiera posłów, lecz także o to, żeby już dzisiaj stworzyć etos zwartej, trzymającej się razem grupy, która będzie mogła dawać twardy odpór „maślarzom" czy ziobrystom. Dzięki temu sukcesy w partyjnej grze odnosił przez długi czas były minister sprawiedliwości. Mateusz Morawiecki sygnalizuje Jarosławowi Kaczyńskiemu, że jeśli jego oczekiwania nie zostaną zaspokojone, to może PiS opuścić. A jeszcze lepiej: doprowadzić do sytuacji, gdy bez ogromnych strat wizerunkowych i doprowadzenia do totalnej anarchii w ugrupowaniu sam prezes nie będzie mógł dłużej tolerować jego obecności. Bo zawsze lepiej zostać wyrzuconym, niż odchodzić samemu. W tej konkurencji prezes Kaczyński już przegrał – mrugnął pierwszy. Taki jest sens zdjęcia opublikowanego przez Adama Bielana.

Nie oznacza to oczywiście, że podczas wspólnej kolacji obu panów padły jakiekolwiek groźby wprost. Nie musiały. Jednocześnie Morawiecki z pewnością przedstawił Jarosławowi Kaczyńskiemu typową dla siebie, pozornie atrakcyjną i mocno propagandową opowieść o korzyściach z utrzymania stowarzyszenia i posiadania w PiS „dwóch płuc". W sprzedawaniu takich opowieści prezesowi PiS Mateusz Morawiecki ma ogromne doświadczenie – dzięki miesiącom takich spotkań, gdy snuł wizje pozyskania ogromnych pieniędzy z UE, doskonałych stosunków z Brukselą czy miliona samochodów elektrycznych, wywalczył sobie przed 2015 r. miejsce w rządzie Prawa i Sprawiedliwości.

UMIARKOWANY SENS ISTNIENIA

Czy faktycznie opowieść o dwóch płucach ma sens? Otóż – bardzo umiarkowany. Jaką bowiem wartością dodaną dla PiS jest powstanie stowarzyszenia Rozwój Plus, skoro dotychczas hiperaktywność samego Mateusza Morawieckiego była doskonale dla wyborców widoczna, a jednak nie przynosiła żadnych sondażowych korzyści? Podstawowym pytaniem jest, dlaczego PiS zaczął tracić wyborców. Powodów było kilka: bagaż nierozliczonych ośmiu lat władzy, zgrane, zużyte i wciąż te same twarze na czele ugrupowania, starzenie się elektoratu, zniechęcenie niektórych grup wyborców, w tym zwłaszcza przedsiębiorców. Stowarzyszenie nie rozwiązuje żadnego z tych problemów. Nawet przeciwnie: silna ekspozycja Morawieckiego przypomina części wyborców, którzy swoje poparcie przenieśli na którąś z Konfederacji, dlaczego to zrobili – polityka prowadzona przez Mateusza Morawieckiego była jednym z naczelnych powodów. Kryje się w tym nawet pewien paradoks. Były premier jako jedną z głównych przyczyn powstania stowarzyszenia przedstawia rzekomą krytykę własnego dorobku wewnątrz PiS – tymczasem oficjalna linia, podtrzymywana przez Przemysława Czarnka, jest taka, że błędów właściwie nie było. Owszem, retorycznie kandydat na premiera kwestionuje linię Morawieckiego, ale nie ma w tym przyznania się do błędów ani krytyki. Wyborcy wychwytują ten mechanizm i prawdopodobnie to sprzyja ich odpływowi, uznają bowiem, że ktoś robi ich w konia. Morawiecki nie ma jednak właściwie na co narzekać.

Cel drugi, wariantowy, to samodzielny start w wyborach, w razie gdyby cel pierwszy nie został zrealizowany albo sytuacja stała się zbyt podbramkowa. Sondaż United Surveys, w którym uwzględniono Rozwój Plus jako odrębne ugrupowanie, daje mu 5,4 proc., PiS zaś 21,6 proc. Nie jest to wbrew pozorom wariant dla Morawieckiego optymistyczny – jego formacja plasuje się tuż nad progiem, a przecież powinien tu zadziałać efekt świeżości. Jest to jednak również sondaż fatalny dla PiS. Różnica w poparciu dla tej partii, ale bez Rozwoju Plus, w sondażu tej samej pracowni to o 3,5 punktu mniej. Rozłam dla i tak już osłabionej partii Kaczyńskiego mógłby być gwoździem do trumny – i sam prezes to wie, stąd jego ustępstwo wobec szantażu byłego premiera.

Nie jest jednak powiedziane, że Mateusz Morawiecki szedłby do wyborów tylko z grupą swoich ludzi. Najczęściej wspominany jest dzisiaj wariant sprzymierzenia się z PSL, któremu w razie samodzielnego startu grozi pozostanie poza Sejmem. PSL takie alianse już ćwiczył, biorąc na swoje listy ludzi z ruchu Kukiz'15 w 2019 r. Z sondażu Onetu wynika, że największa grupa popierająca ewentualną inicjatywę polityczną Mateusza Morawieckiego (nie jest to równoznaczne z zagłosowaniem na nią) – ok. połowy – jest wśród wyborców Centrum, czyli klubu parlamentarnego Pauliny Hennig-Kloski. Około 30 proc. jest w elektoratach Konfederacji i Polski 2050. Być może zatem z tych formacji Morawiecki próbowałby kogoś do swojej inicjatywy dołączać, aby wzmocnić ją wizerunkowo, gdyby miał startować do Sejmu samodzielnie.

Jednak głównym rezerwuarem jego głosów byłby i tak szczupły dzisiaj zasób wyborców PiS. Jego „nowoczesna opowieść o Polsce" nie przyciągnie do niego tych, którzy opuścili obóz PiS na rzecz którejś z Konfederacji – z tych samych powodów, dla których trwanie stowarzyszenia wewnątrz PiS nijak tej partii nie wzmacnia. Ludzie, którzy odeszli od PiS, zrobili to w znacznej mierze z powodu konkretnych działań władzy, której twarzą był Mateusz Morawiecki: polityki covidowej, Polskiego Ładu, stosunku do Ukrainy. Czym niby miałby ich zanęcić Rozwój Plus? Projektem Jeszcze Nowszego Ładu z Morawieckim jako projektantem?

Tyle racjonalne rachuby. Mamy jednak do czynienia z autentyczną dynamiką polityczną, która nie jest efektem jakichś zakulisowych spisków. Hiperracjonalizacja ruchów odśrodkowych i teorie, że wszystko jest z góry uzgodnione i dogadane, a Rozwój Plus ma z PiS wyjść po to, żeby potem być dla niego wygodnym koalicjantem w nowym Sejmie, są absurdalne. Taki manewr niósłby ze sobą ogromne ryzyko niekontrolowanych szkód wizerunkowych, byłby praktycznie niemożliwy do kontrolowania, a politycy to także ludzie ze swoimi własnymi aspiracjami, emocjami i celami. Ogromne ambicje Mateusza Morawieckiego są zaś bezsprzecznym faktem.

Jednak jego działania nie są przyczyną kryzysu PiS, podobnie jak nie są nią działania jego przeciwników. One są skutkiem. Sposób działania tej partii, sposób kierowania nią przez Kaczyńskiego, sam sposób jej istnienia w polityce, jej, by tak rzec, paradygmat są już anachroniczne i to one sprawiły, że od października 2023 r. znajduje się ona w permanentnym kryzysie. Z którego najpewniej już nie wyjdzie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2eeee85d49

REPUBLIKA

Zapraszamy na autorski program publicystyczny
Tomasza Sakiewicza dla widzów, którzy chcą wiedzieć więcej.
Polityka bez filtrów. Najważniejsze tematy. Mocne opinie. Analizy,
które mają znaczenie. Rozmowy, które wyznaczają kierunek debaty.



PONIEDZIAŁEK
18:00
w Republice

www.radiotvrepublika.pl | Telewizja Republika | @RepublikaTV | RepublikaTV | @RepublikaTV

Republikę oglądać można na ogólnopolskim multipleksie naziemnej telewizji cyfrowej tzw. MUX-8 na pozycji 51 listy kanałów. Niezbędna do tego jest antena kierunkowa np. typu YAGI, ustawiona, w zależności od miejsca zamieszkania, poziomo lub pionowo. Ustawienie anteny sprawdź w aplikacji EmiMaps. Ósmy multipleks dociera prawie do 95% Polaków i jest nadawany w zakresie VHF. Dodatkowo można nas oglądać przez satelitę (Polsat Box, CANAL+, Orange), w sieciach kablowych, IPTV oraz w lokalnych multipleksach z Ornontowic – MUX L2 oraz Lubina i Głogowa – MUX L7. Republikę obejrzysz na żywo także na serwisie www.tvrepublika.pl, a wszystkie programy znajdziesz na oficjalnym kanale YouTube: @Telewizja_Republika.

SKANUJ KOD QR
WSPIERAJ DOM WOLNEGO SŁOWA

eprasa.pl 2eeee85d49



Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska

Jest nieskora do kompromisów i gotowa poświęcić wiele dla swoich idei. Ma trudne relacje z Donaldem Tuskiem, ale nie zamierza poddawać się politycznemu szantażowi premiera. Kim jest Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz?



Donald Tusk nie szczędzi złośliwości pod adresem Katarzyny Pełczyńskiej-Nałęcz FOT. MARYSIA ZAWADA/REPORTER

Dlaczego „Donald nie lubi Kaśki”?

Ona będzie zniszczona politycznie – różne haki, służby. Nie wierzę, że już teraz nie ma działań, aby ją zniszczyć całkowicie. Donald Tusk jest takim politykiem. Dla władzy jest w stanie zrobić wszystko – taką pesymistyczną wizję przyszłości szefowej Polski 2050 w polityce nakreślił w TV Republika europoseł PiS Jacek Ozdoba. W ostatnim czasie skomplikowane już wcześniej relacje minister funduszy i polityki regionalnej Katarzyny Pełczyńskiej-Nałęcz z premierem pogmatwały się jeszcze bardziej. Najpierw pojawiły się medialne przecieki o przebiegu posiedzenia Rady Ministrów, na którym zabrakło szefowej PL2050. MFiPR reprezentował wiceminister Jacek Karnowski. Przebieg obrad zrelacjonował Konrad Piasecki z TVN24. – Jest Donald Tusk i jest jakaś sprawa, która dotyczy Ministerstwa Funduszy. Donald Tusk rozgląda się po sali i mówi: „Gdzie Katarzyna? Gdzie Katarzyna?”. Mowa oczywiście o Katarzynie Pełczyńskiej-Nałęcz, czyli minister tegoż resortu. I odzywa się Jacek Karnowski, czyli zastępca Katarzyny Pełczyńskiej-Nałęcz w tymże ministerstwie, i mówi: „Panie premierze, ja jestem w imieniu resortu”. Na co Tusk ze zdziwieniem: „Puściła cię?” – przytoczył. – Jacek Karnowski po tym pytaniu „Puściła cię?” mówi: „Tak, tak, panie premierze, pani minister jest w delegacji, pojechała do Rumunii”. Na co Donald Tusk: „I nie zamierza zostać?”. Na co Jacek Karnowski: „Nie życzmy tego Rumunii”. I rozlega się gromki śmiech – kontynuował.

Arleta Zalewska potwierdziła, że inni obecni słyszeli tę wymianę zdań. – Tam każdy trochę swojego dopowiadał, widział to ze swojej perspektywy. Ich perspektywa wręcz była taka, że padło: „Czy na długo ministra wyjechała?”. Ktoś tam rzucił: „Oby nie na zawsze”, ktoś: „Oby na zawsze”, więc było z tego trochę żartów – dodała reporterka TVN24.

Samej Pełczyńskiej-Nałęcz do śmiechu nie było i napisała w serwisie X: „Dziaderstwo i mobberstwo”. W czasie, gdy koledzy z rządu podważali jej pozycję, ona faktycznie była w Bukareszcie. – Jestem tu, żeby rozmawiać o przyszłym unijnym budżecie, specjalnym wsparciu dla regionów unijnych, które graniczą z Rosją, Ukrainą, Białorusią, i oczywiście Krajowy Plan Odbudowy – chwaliła się mediach społecznościowych, co jednak w porównaniu z polityczną plotką z RM odbiło się niewielkim echem. Już wcześniej Pełczyńska-Nałęcz narzekała na „przecieki” z posiedzeń rządu. „To jest wielka przykrość, że Rada Ministrów cieknie jak sito, wbrew zasadzie, że posiedzenia Rady są niejawne” – komentowała, gdy media rozpisywały się o formułowanym na RM przez premiera niezadowoleniu z realizacji KPO.

TRUDNE RELACJE OD DAWNA

Kolejną rysą było spotkanie, podczas którego Tusk postawił jej ultimatum – albo Polska 2050 zagłosuje za pozostawieniem Pauliny Hennig-Kloski (wniosek o wotum nieufności złożyła Konfederacja, poparła go część PiS) na stanowisku ministra klimatu, albo zostanie wykluczona z koalicji. Według relacji medialnych szefowa PL2050 miała zadeklarować, że jej formacja nie poprze wniosku opozycji. Nagłówki portali internetowych obwieściły, że premier stawia minister ultimatum. „Najpierw docinki na Radzie Ministrów, teraz ultimatum w mediach. W Umowie Koalicyjnej zobowiązaliśmy się do współpracy opartej na wzajemnym szacunku. Język ultimatum to łamanie umowy. Koalicja budowana na przemocy to droga do katastrofy” – tak przewodnicząca Polski 2050 skomentowała całą sprawę. Z kolei

eprasa.pl 2eeee85d49

szef rządu powiedział na konferencji prasowej: – Jak się okaże, że nie jesteście z nami, to się pożegnamy. Jeśli zdacie ten test, będziemy dalej pracować.

Relacje Tuska z Pełczyńską-Nałęcz od zawsze były trudne. W kuluarach mówi się, że „Donald nie lubi Kaśki". Powód? Nie kłania się tak nisko jak inni, potrafi napisać kąśliwy post, a w czasie wyborów partyjnych w Polsce 2050 jasno deklarowała, w przeciwieństwie do Pauliny Hennig-Kloski, że trzeba walczyć o swoją odrębność i suwerenność. Program minister to bycie „radykalnym centrum". Chce walczyć z patologiami deweloperskimi, podwyższyć drugi próg podatkowy (pomysł „4000+" dla klasy średniej finansowanego z podatku od Big Techów), uregulować temat najmu krótkoterminowego. Z tych powodów (choć także dlatego, że takiego zapisu po prostu nie ma w umowie koalicyjnej) Donald Tusk wciąż nie przyznał Katarzynie Pełczyńskiej-Nałęcz teki wicepremiera. Partia rekomendowała ją na to stanowisko w jesiennym głosowaniu. – Odpowiednie decyzje w sprawie składu rządu podejmę w odpowiednim czasie – powiedział premier późną jesienią. Od tego czasu nic się nie zmieniło.

Poza ostatnim spotkaniem z Tuskiem na temat przyszłości Hennig-Kloski do regularnych rozmów nie dochodzi, na co szefowa PL2050 narzekała wielokrotnie. – Jeżeli my dojdziemy w koalicji do takiego punktu, że główny zarządzający koalicją nie rozmawia ze swoimi koalicjantami mimo tego, że oni chcą, potrzebują i deklarują taką chęć, to ciężko jest zarządzać czymkolwiek – powiedziała niedawno w rozmowie z Wirtualną Polską, zapewniając, że koalicyjna lojalność nie oznacza poddaństwa. Choć Pełczyńska-Nałęcz co rusz wraca do tematu teki wicepremiera, to zapewnia, że stanowisko nie jest kluczowe dla kontynuacji współpracy w ramach koalicji.

KTO Z PEŁCZYŃSKĄ-NAŁĘCZ?

W ubiegłym tygodniu stacja RMF FM, powołując się na jednego z działaczy Polski 2050, poinformowała, że partia rozważa wniosek o odwołanie Włodzimierza Czarzastego z funkcji marszałka Sejmu. Można odczytywać to jako odpowiedź na presję wywieraną w związku z obroną Pauliny Hennig-Kloski. Wniosek o jej odwołanie będzie procedowany na posiedzeniu Sejmu w tym tygodniu. – Nie damy się zastraszyć. Jeżeli premier wyrzuci Kaśkę, to partia ma swoją odpowiedź – stwierdził rozmówca rozgłośni. Przekonywał, że partia jest w stanie zebrać potrzebną większość. W miejsce Czarzastego Polska 2050 chciałaby powołać Szymona Hołownię, obecnie wicemarszałka Sejmu.

Dziś przy Katarzynie Pełczyńskiej-Nałęcz pozostali ci, którzy wierzą w jej program i nie chcą przed wyborami parlamentarnymi dać się wchłonąć KO. – To osoba merytoryczna, przygotowana, która nie podejmuje decyzji pod wpływem emocji. W sytuacjach trudnych zachowuje opanowanie i stawia na rozwiązania, a nie na polityczne napięcia. W ostatnim czasie, co nas cieszy, widać wyraźnie większy nacisk na rozmowę wewnątrz środowiska – regularny kontakt z posłami, otwartość na różne opinie i budowanie wspólnego kierunku działania – mówi „Do Rzeczy" poseł Polski 2050 Adam Luboński. – Jasno podkreśla, co mi się osobiście podoba, że Polska 2050 jest częścią koalicji, ale pozostaje odrębnym podmiotem z własną tożsamością – dodaje.

Luboński mówi, że styl Pełczyńskiej-Nałęcz różni się od stylu poprzedniego szefa partii. – Szymon Hołownia jest architektem i twórcą fundamentu całego projektu. To on zbudował ruch, nadał mu energię, kierunek i rozpoznawalność. Tego kapitału nie da się zastąpić i to jest punkt odniesienia dla wszystkich działań Polski 2050. Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz ma uzupełniający styl budowy, większy nacisk na porządkowanie, stabilizowanie i dalsze wzmacnianie tych struktur od środka. To jest inny rodzaj pracy, który na obecnym etapie rozwoju jest nam potrzebny – przekonuje polityk.

Po wyborach w partii, przegrana Paulina Hennig-Kloska wraz z 14 posłami odeszli z klubu i założyli własny, Centrum. Echa zbliżającego się rozpadu pobrzmiewały na tygodnie przed oficjalnym rozłamem. Poseł Izabela Bodnar (dziś Centrum), pytana przez TVN24 o to, czy minister funduszy jest lubiana w partii, odparła, że „nieszczególnie". – Ma problem z grą zespołową. Jakoś uważa, że jej pomysły są zawsze najlepsze. Jest bezwzględna, zero-jedynkowa, zorientowana na cel. Z roku na rok zaczyna coraz mocniej realizować swoje ambicje, idąc jak taran za swoimi pomysłami, po drodze po trochu gubiąc ludzi – stwierdziła.

To, że Pełczyńska-Nałęcz lubi forsować swoją wizję, potwierdza Paweł Śliz, szef klubu Polski 2050, jednak jego zdaniem to dobra cecha. – Transparentna, potrafi postawić na swoim i myślę, że to jest bardzo potrzebne w polityce. Czasami ciężko jest z nią współpracować, bo ma swoje mocne zdanie, ale to dobrze, bo zmusza do dyskusji, a nie do ulegania presji – ocenia. Sama minister zapewnia, że nie boi się „żadnej pracy ani żadnej odpowiedzialności".

POLSKO-ROSYJSKA KREW

Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz ma 55 lat. Jest córką polskiego matematyka Aleksandra Pełczyńskiego i Rosjanki Swietłany. Ma doktorat z socjologii. Pracowała w Instytucie Filozofii i Socjologii Polskiej Akademii Nauk, a później związała się z Ośrodkiem Studiów Wschodnich. W latach 2012–2014 była wiceministrem spraw zagranicznych. Do roku 2016 pełniła misję ambasadora RP w Rosji. Po okresie pracy w think tankach weszła we współpracę z powstającą partią Szymona Hołowni. Objęła stanowisko szefowej Instytutu Strategie 2050, czyli zaplecza programowego Polski 2050.

W grudniu 2023 r. powołano ją do rządu jako ministra funduszy i polityki regionalnej. O tym, jak brudną grą jest polityka, przekonała się dość szybko. W 2025 r. na antenie TVP Info dziennikarka Renata Grochal zapytała o doniesienia z wnętrza Polski 2050, że w partii zatrudniona jest córka minister. – Jak pani chce naprawiać spółki, jak z Polski 2050 dochodzą takie sygnały, że pani zatrudnia swoją córkę w partii, to jest prawda? – pytała. – Nie mylmy partii ze spółkami Skarbu Państwa. Jakby moja córka pracowała w spółce, jeszcze mi podległej, to pani redaktor miałaby prawo zadać mi to pytanie. Polska 2050 może zatrudniać, kogo chce. Nie mieszajmy w to mojej córki, która jest bardzo dobrą profesjonalistką – odparła Pełczyńska-Nałęcz. Jej córka, 23-letnia Helena, stwierdziła później, że „chcą dopaść" jej matkę, stąd rozpoczęto nagonkę. Kobieta zajmowała się mediami społecznościowymi partii.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2eeee85d49



Batalia o „homomałżeństwa”



Piotr Semka

Dla obecnego premiera dylemat, co zrobić z werdyktami TSUE i NSA dotyczącymi „małżeństw” tej samej płci, pojawia się w najmniej odpowiednim momencie. Za to ręce może zacierać Włodzimierz Czarzasty

Na sobotę 25 kwietnia (czyli już po zamknięciu tego wydania „Do Rzeczy”) organizacje spod znaku LGBT+ zapowiadały demonstrację przeciw Rafałowi Trzaskowskiemu pod warszawskim ratuszem. To reakcja na deklarację włodarza stolicy, że urzędy stanu cywilnego podległe ratuszowi nie będą automatycznie uznawały aktów ślubu par jednopłciowych, zawartych poza Polską do czasu przyjęcia przez rząd zmian w legislacji. W odpowiedzi na kontach na portalach społecznościowych mniejszości pojawiły się wezwania, by Trzaskowskiego uznać za persona non grata na czerwcowej Paradzie Równości.

Informacja o formalnym cofnięciu zaproszenia na marsz dla gospodarza stolicy okazała się fejkiem, ale ostra krytyka Trzaskowskiego w kręgach skrajnej lewicy to już fakt. Atakując prezydenta Warszawy, obóz postępu demonstruje swój gniew wobec opierania się przez środowisko Donalda Tuska automatycznemu legalizowaniu w Polsce „homomałżeństw” zawieranych poza granicami naszego kraju.

Dlaczego Koalicja Obywatelska wzbrania się przed żądaniami lewicy i jak może wykorzystać to Włodzimierz Czarzasty?

TĘCZOWA EUFORIA

Wszystko zaczęło się 25 listopada 2025 r. Tego dnia Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej w Luksemburgu wydał werdykt w sprawie znanej szerzej pod numerem C713/23. Orzekano w sprawie powództwa Mateusza i Jakuba Trojanów, dwóch mężczyzn protestujących przeciw nieuznawaniu w Polsce ich ślubu zawartego w RFN. W swym werdykcie TSUE stwierdził, że odmowa transkrypcji, czyli rejestracji tego „małżeństwa”, łamie według sędziów unijną zasadę swobodnego przemieszczania się w Unii Europejskiej.

„Historyczny dzień! Polska musi uznawać małżeństwa jednopłciowe zawarte za granicą!” – triumfowała po werdykcie z Luksemburga Replika, portal polskiego środowiska LGBTQIA.

„Dlaczego ten wyrok jest tak ważny?” – pisali autorzy strony. – Bo Polska musi go wdrożyć. Wyrok jest wiążący dla Polski jako kraju członkowskiego UE. Po uprawomocnieniu rząd ma sześć miesięcy na przedstawienie planu wykonania. Bo prawo UE ma pierwszeństwo. Polskie urzędy i sądy będą zobowiązane stosować ten wyrok. Bo otwiera ścieżkę do realnego uznawania małżeństw jednopłciowych bez zmiany polskiej ustawy.

Bo Polsce mogą grozić teraz kary za brak dostosowania się do wyroku: tak jak to było w przypadku kopalni Turów, gdy trybunał nałożył karę w wysokości 500 tys. euro dziennie za nieprzestrzeganie przez Polskę zarządzenia TSUE”.

Natychmiast odezwały się też dyżurne autorytety prawnicze obozu liberalno-lewicowego, które podkreślały, że 20 marca 2026 r. nastąpił kolejny precedens. Naczelny Sąd Administracyjny w Warszawie wydał wyrok, w którym uznał ślub dwóch mieszkańców Warszawy zawarty w RFN i orzekł, że właściwy dla miejsca zamieszkania powodów urząd stanu cywilnego ma obowiązek dokonać transkrypcji zagranicznego aktu małżeństwa osób tej samej płci. Sąd uznał, że konstytucja nie stoi na przeszkodzie, a wyrok ten wymusza uznanie skutków prawnych związków zawartych poza Polską.

Werdykt NSA był typowym przykładem pozytywizmu prawniczego, czyli wykraczania sędziów poza swe kompetencje. Sędziowie zlekceważyli fakt, że polskie prawo nie uznaje związków osób tej samej płci, i uznali, że mają w tej sprawie prawo interpretować dowolnie konstytucję RP.

Jednocześnie środowiska lewicy i grup LGBT natychmiast wykorzystały werdykt, by wznowić, a nawet zintensyfikować ponownie żądania wobec rządu Donalda Tuska w kwestii uznawania ślubów osób jednej płci.

TAK ŹLE I TAK NIEDOBRZE

Sytuacja stała się dla premiera kłopotliwa. Tusk to polityk mający dobry słuch społeczny. Wie, że legalizując „homomałżeństwa”, wywoła sprzeciw sporej części elektoratu. Dlatego próbował lawirować.

Co prawda, zawsze dbał o wykonywanie gestów wobec lewicy i werbalne deklarowanie poparcia dla postulatów obozu postępu, ale bez realnego zmieniania prawa. Tusk stał się mistrzem kreowania sytuacji, w których o brak radykalnych zmian obyczajowych można było obwinić koalicjantów z PSL bądź Polski 2050 lub zrzucić winę na weto prezydenta najpierw Andrzeja Dudy, a potem Karola Nawrockiego.

W tym konkretnym wypadku podległe premierowi MSWiA pod kierownictwem Marcina Kierwińskiego stanęło na stanowisku, że możliwe jest zrobienie wyjątku tylko dla pary Jakuba i Mateusza Trojanów, którzy 20 marca 2026 r. otrzymali wyrok NSA.

Marcin Kierwiński mówił 16 kwietnia w TOK FM, że trwają prace nad

eprasa.pl 2eeee85d49



FOT. ADOBE STOCK

czyli Tusk we własnych sidłach

tym, aby do końca kadencji dostosować kwestię transkrypcji „małżeństw" jednopłciowych do polskiego systemu prawnego.

– To nie jest kwestia zmiany jednego rozporządzenia, to jest kwestia zmian przynajmniej w kilku ustawach. Rozporządzenie wynika z ustawy o dokumentach i rozporządzenie nie może nie uwzględnić tego, co jest w ustawie o dokumentach Stanu Cywilnego, a te wynikają z innych ustaw. Chcemy to zrobić dobrze, chcemy to zrobić mądrze – wyjaśniał szef MSWiA w TOK FM.

Tyle że podania konkretnej daty zmian w prawie unikał.

Nikt w Koalicji Obywatelskiej nie wziął pod uwagę, że do gry może wejść lider lewicy, Włodzimierz Czarzasty.

Marszałek Sejmu i przewodniczący Nowej Lewicy ogłosił nazajutrz po mętnych deklaracjach Kierwińskiego, że urzędy stanu cywilnego w miastach, w których rządzi jego partia, będą w sprawie małżeństw jednopłciowych akceptować wyroki TSUE i NSA. Potwierdził, że tam, gdzie Lewica rządzi, dokonywane będą transkrypcje aktów „małżeństw" zawartych poza Polską.

„Każda rodzina musi być chroniona przez państwo" – napisał na X Włodzimierz Czarzasty, w typowym dla siebie stylu manipulowania intencją zapisów konstytucji.

Ośrodki lewicowych rządów są całkiem liczne. Lewica rządzi lub współrządzi m.in. w Warszawie, Częstochowie, we Wrocławiu, Łodzi, Krakowie, Poznaniu, Rzeszowie, Włocławku, Ostrowie Wielkopolskim, Świdnicy i Będzinie.

Wszędzie tam do poczynań lewicowych włodarzy miast będzie musiała odnieść się Koalicja Obywatelska.

Ona też poniesie największą odpowiedzialność za chaos prawny, który wywołać może wsparcie wyroków TSUE i NSA w polskim systemie prawnym.

W Warszawie do linii macierzystej partii już dostosował się Rafał Trzaskowski.

– Kieruję się obowiązującym prawem. Jak dokumenty wrócą do Warszawy, to decyzja będzie zgodna z orzeczeniem Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej i polskich sądów. Decyzje zostaną wykonane, koniec, kropka – mówił 21 kwietnia prezydent Warszawy.

Dla pełnej jasności uściślił: – Każda para musi przejść przez ścieżkę sądową. Piłka jest po stronie rządu, żeby w pełni wykonać to orzeczenie i wyrok. Nie mamy dowolności, żeby dokonywać transkrypcji bez wyroku.

Trzaskowski użył wygodnej dla siebie formuły: „Ja nic nie mogę, niech działa rząd". Trudno przypuszczać, by taka spychologia polityczna nie została niezauważona przez ekipę Tuska. A dla obecnego premiera dylemat, co zrobić z werdyktami TSUE i NSA, pojawia się w najmniej odpowiednim momencie.

KOGO LEPIEJ UDAWAĆ?

„Koalicja Obywatelska coraz bardziej pozycjonuje się jako partia konserwatywna, chadecka, centroprawicowa. Do roli polskiego Magyara aspiruje też Donald Tusk i ma tu lepsze papiery" – wieszczy w tygodniku „Polityka" jego naczelny Jerzy Baczyński. Jak głosi, ma to odbierać przestrzeń Morawieckiemu czy innym wyspekulowanym tworom, jak np. sojusz Morawiecki-Kosiniak-Pełczyńska.

Ale taka polityka udawania prawicy ma swoją cenę. Na zwolnione pole wchodzi z lewej flanki Włodzimierz Czarzasty, który ma więcej realnych obszarów władzy niż wiecznie obrażona na wszystkich Partia Razem Adriana Zandberga.

Czarzasty pod pozorami absolutnej lojalności koalicyjnej wobec partii Tuska chce pokazać, że jest bardziej europejski niż platformersi. I sprawa „małżeństw" osób jednej płci jest dla „czerwonego marszałka" idealną okazją do poszerzania pola. Politycy Koalicji Obywatelskiej formalnie uznają wyższość wyroków trybunałów europejskich nad polskim prawem, ale jednocześnie obawiają się, że zbyt szybkie przemiany obyczajowe, takie jak „homomałżeństwa", mogą zaszkodzić obozowi rządowemu w obliczu coraz bliższych wyborów. A już na pewno kwestia ta wywoła spór z PSL, a być może i z Polską 2050.

Czarzasty nie ma takich ograniczeń i już dziś puszcza oko do progresywnego elektoratu. Jego przekaz jest jasny – to, co obiecywał Tusk, my, tam, gdzie lewica ma władzę, wcielamy w życie.

Na nerwową atmosferę w obozie Tuska nakładają się jeszcze dyskusje, czy przyspieszone wybory nie byłyby najlepszym rozwiązaniem dla Koalicji Obywatelskiej. Zdecydowany sukces TISZ-y na Węgrzech dodał animuszu wielu jej zwolennikom. Słychać ponoć głosy, że wobec wewnętrznego konfliktu w PiS i przy wewnętrznych niesnaskach w łonie Konfederacji lepiej zaryzykować wybory teraz, najlepiej jeszcze w tym roku, niż czekać na jesień 2027 r.

Ale jeśli elekcja do Sejmu miałaby być przyśpieszona, to Tusk musi wybrać już teraz kostium na wybory – konserwatywny lub centrowy. Sukces Pétera Magyara przywodzi na myśl raczej udawanie opcji konserwatywnej. Skoro tak, to spór o uznanie „homomałżeństw" stawia go w jeszcze bardziej kłopotliwej sytuacji.

Albo Tusk uzna, że trzeba zalegalizować „małżeństwa" osób jednej płci, albo pójdzie drogą Trzaskowskiego i będzie kierować pary homoseksualne do długiej procedury w sądach. A postępowe portale atakują rząd Tuska za skandaliczne niezdecydowanie.

Jeśli lider KO wybierze tę drugą opcję, to Rafał Trzaskowski może w tym roku zapomnieć o swej ulubionej czerwcowej paradzie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2eeee85d49



Michał Murgrabia

Gangi imigrantów zalewają Polskę



FOT. ADOBE STOCK

Zdaje się, że częściowo nie panujemy nad legalną i nielegalną migracją do Polski, która zaczyna nas w szybkim tempie przerastać. Funkcjonariusze Straży Granicznej dają z siebie naprawdę wiele, ale przy całym ich trudzie prawo jest niestety zbyt pobłażliwe dla tych, którzy nie szanują naszych zasad i granic

Temat polityki imigracyjnej nie schodzi z pierwszych stron gazet. To oczywiście zrozumiałe i zarówno wielu polityków, publicystów, jak i komentatorów wszelakiej maści podejmuje się omawiania tego tematu, często jednak ograniczając się do przytaczania różnego rodzaju ogólników, powołując się przy tym na mniej lub bardziej popularne argumenty, próbując lobbować za lub przeciw większej otwartości i tolerancji w tym względzie. Mało kto jednak przywołuje dane statystyczne i operuje na konkretnych liczbach, choć zdarzają się takie sytuacje. Jakakolwiek dyskusja na ten temat ma bowiem sens tylko wtedy, gdy odwołujemy się do twardych danych, które odzierają nas ze złudzeń i wybudzają z błogiego snu, choć czasami robią to dość brutalnie. Tylko liczby dają nam gwarancję, że pociąg nie odjedzie nam z peronu przedwcześnie, a my nie zostaniemy daleko w tyle za rzeczywistością. Zresztą nie bądźmy nadmiernie delikatni w tym względzie, skoro i tak wymiana zdań odnośnie do imigracji przybiera nierzadko burzliwy charakter i potrafi wręcz rozpalić do czerwoności obie strony sporu.

Dane statystyczne to konkret, o który rozbijają się ideologie i nafaszerowana kłamstwem i półprawdami medialna propaganda. Weźmy chociażby dane udostępnione przez Komendę Główną Straży Granicznej, w której podsumowany został miniony rok. Oprócz informacji, które same w sobie są ciekawe i bulwersujące zarazem, jak chociażby dane o zatrzymanych towarach pochodzących z przestępstw czy o liczbie osób, które zostały z Polski deportowane bądź też przebywały w Polsce nielegalnie, licząc na to, że nie zostaną wykryte, otrzymaliśmy również całą masę informacji o cudzoziemcach, którzy wjeżdżali do Polski legalnie, a jest tego wszystkiego wcale niemało. Rzut oka na zestawienie SG ułatwi nam zrozumienie skali zjawiska, o którym jest mowa. Co zatem tam znajdziemy?

CORAZ WIĘKSZA SKALA

Straż Graniczna w swoim raporcie ujawniła m.in. wykryte (przy współudziale z innymi służbami) towary pochodzące z przestępstw popełnionych w 2025 r., wśród których prym wiodły papierosy i tytoń. Tych pierwszych wykryto na wręcz imponującą skalę o wartości 100 603 874 zł. Rok wcześniej było to 45 129 225 zł, a więc mamy ponad 55 mln zł różnicy. Z kolei szacunkowa wartość tytoniu to aż 123 087 546 zł, czyli o 16,5 mln zł więcej niż rok wcześniej. Na trzecim miejscu znalazła się kokaina, której wykryto ponad 148 kg. Wartość zatrzymanego narkotyku to nieco ponad 44 mln zł. Dla porównania: w 2024 r. zatrzymano niespełna 2 kg kokainy o wartości ok. 600 tys. zł. Tuż za nią plasują się pojazdy, zarówno samochody osobowe, jak i ciężarowe. Straży Granicznej udało się odzyskać aż 352 sztuki pojazdów i jest to liczba zbliżona do tej z wcześniejszego okresu, choć nieco od niej większa. Wartość wykrytych pojazdów to prawie 41 mln zł. Oprócz kokainy zatrzymano również inne narkotyki, w tym niemal 300 kg marihuany, której wartość oszacowano na poziomie 9 283 545 zł. Natomiast w 2024 r. zatrzymano jej trzykrotnie więcej, bo aż blisko 690 kg. Wówczas jej wartość osiągnęła 29 429 709 zł. Dodatkowo zatrzymano prawie 50 kg amfetaminy, czyli ponad dwa razy więcej niż w poprzednim badanym okresie. Ponadto udaremniono wwiezienie do Polski 21 kg haszyszu, alkoholu o wartości przeszło 216 tys. zł, 773 tabletek ecstasy, 116 sztuk LSD, a także niewielkiej ilości heroiny czy grzybów halucynogennych. Najbardziej niepokojące jest jednak to, że wykryto prawie pięć razy więcej sztuk broni niż w 2024 r., bo aż 630 sztuk, w tym trzy granaty.

Co mówią nam te liczby? W większości przypadków skuteczność działań operacyjnych Straży Granicznej była wyższa w roku 2025 niż w roku 2024. To cieszy. Zobaczymy, jak na tym tle wypadnie obecny rok.

Problemy na granicy nie ograniczają się jednak tylko do procederu przemytu towarów. Znacznie bardziej niepokojącym zjawiskiem są nielegalne przekroczenia granicy państwowej, przerzucanie cudzoziemców, czyli pomocnictwo w nielegalnym przekraczaniu granicy, fałszowanie

eprasa.pl 2eeee85d49

dokumentów, nielegalne zatrudnianie imigrantów, nielegalny pobyt i ukrywanie nielegalsów na terenie Polski, a wreszcie brak i nieskuteczność deportacji.

Wyłącznie w związku ze stwierdzeniem nielegalnego pobytu zatrzymano lub ujawniono aż 13 566 obywateli państw trzecich, z czego 82 proc. stanowili mężczyźni. Tak duży odsetek mężczyzn mało już kogo dziwi, ponieważ uodporniliśmy się po części na medialne wrzutki o kobietach z dziećmi, które uciekają przed wojną. Nie ma się co oszukiwać – przybywają do nas głównie młode, silne byczki. W roku 2024 było to 12 450 osób. Nastąpił więc wzrost o 9 proc. Ile osób nie zostało jednak wykrytych?

Wśród nielegalsów przebywających na terenie RP, których udało się zatrzymać Straży Granicznej, byli obywatele Gruzji – prawie 2150 osób (najwięcej w województwach mazowieckim i śląskim), Ukrainy – blisko 2000 osób, Kolumbii – ponad 1420 osób, Białorusi – blisko 1400 osób i Mołdawii – niemal 1300. Rok wcześniej również Gruzini zajęli pierwsze miejsce na podium w popełnianiu przestępstw tytułem nielegalnego pobytu. Było to ponad 2900 osób (najwięcej wykryto ich w województwach wielkopolskim i śląskim). Białorusini – ponad 1650, Mołdawianie – prawie 1350, Rosjanie – prawie 900 i Ukraińcy – ok. 870.

Warto nadmienić jeszcze, że obywatele Gruzji tworzą w Polsce swoje gangi, a Kolumbia znajduje się w czołówce państw z największym odsetkiem zabójstw z broni palnej. Z kolei jeśli chodzi o odsetek zabójstw na 100 tys. mieszkańców, to w Kolumbii jest on 35 razy wyższy niż w Polsce (dane za 2024 r.). W zeszłym roku, w lipcu, 29-letni Kolumbijczyk ugodził śmiertelnie nożem 41-letniego Polaka. W marcu tego roku 28-letni Kolumbijczyk bez powodu skatował kobietę w Kutnie. Na szczęście przeżyła. Tym czasem dowiadujemy się od SG, że 1420 osób z Kolumbii nielegalnie przebywało w Polsce w zeszłym roku. Im więcej Kolumbijczyków, tym większe zagrożenie. Choć co prawda nie każdy z nich będzie bezpośrednim sprawcą przestępstw. To prawie 1500 osób, i to tylko z jednego kraju! Nikt nie może zaprzeczyć temu, że procesy imigracyjne wpływają na bezpieczeństwo publiczne.

Na tym jednak nie koniec. W 2025 r. na terytorium całego kraju funkcjonariusze SG zatrzymali ponad 470 pomocników bądź też organizatorów, w tym członków grup przestępczych, którzy ułatwiali cudzoziemcom nielegalne przekroczenie granicy. Wśród nich byli obywatele Ukrainy – ponad 200 osób, czyli prawie połowa, Polski – blisko 100 osób, Łotwy – ponad 20 osób i Gruzji ponad 20 osób, a także innych narodowości. Jak widać, Ukraińcy pięknie się nam odwdzięczają za otrzymaną pomoc.

AGRESJA I PRZEMOC

Funkcjonariusze SG od początku kryzysu imigracyjnego na granicy z Białorusią spotykali się z regularnymi atakami, o czym łatwo się zapomina i co pomija w mediach, choć skala tej przemocy była naprawdę zaskakująca. Agresja migrantów skierowana w stronę strażników przybierała różne formy. Począwszy od wyzwisk, oślepiania funkcjonariuszy stroboskopami, rozbijania oświetlenia, strzelania do nich z proc, rzucania w stronę patroli gałęziami, tlącymi się konarami, petardami, kłodami, kamieniami i innymi przedmiotami, takimi jak np. kije z przymocowanymi nożami i gwoździami, butelkami, metalowymi śrubami, słoikami czy elementami concertiny (udoskonalona wersja drutu kolczastego z ostrzami przypominającymi fragmenty żyletek). Konsekwencją zachowań agresywnych cudzoziemców były liczne obrażenia ciała stwierdzone u mundurowych zatrudnionych w SG.

Oprócz przemocy imigranci dopuszczali się również posługiwania się fałszywymi dokumentami, m.in. były to podrobione stemple, wizy, dowody osobiste, dokumenty pobytowe, paszporty czy karta MRG (zasadniczo z karty Małego Ruchu Granicznego korzystają mieszkańcy strefy przygranicznej), uprawniającymi do przekroczenia granicy lub zezwalającymi na pobyt na terytorium RP. W 2025 r. wykryto 848 takich przypadków, a rok wcześniej 1034. Wśród cudzoziemców posługujących się podrobionymi dokumentami było 389 Ukraińców, 94 Syryjczyków, 77 Gruzinów i 56 Białorusinów. W 2024 r. było to 488 Ukraińców, 182 Syryjczyków, 68 Białorusinów i 50 Gruzinów. Rzecz jasna, nie ma sensu wymieniać przedstawicieli wszystkich narodowości, wystarczy poprzestać na tych z pierwszych miejsc w tabeli. I choć nastąpił spadek posługiwania się fałszywymi dokumentami, i to aż o 18 proc., to nastąpił z kolei wzrost cudzoziemców, wobec których stwierdzono nielegalne wykonywanie pracy, powierzenie wykonywania pracy innym lub prowadzenie działalności gospodarczej w sposób nielegalny, z 13 208 w 2025 r. do 10 710 w 2024 r.

Do tego wszystkiego dochodzą jeszcze cudzoziemcy, którzy opuścili terytorium RP na podstawie decyzji o zobowiązaniu cudzoziemca do powrotu, czyli na podstawie tzw. miękkiej deportacji. W 2025 r. było to łącznie 9551 imigrantów, a w 2024 r. 8627 osób. Wśród nich byli obywatele Gruzji – 1912 (2604 w 2024 r.), Białorusi – 1295 (1431 w 2024 r.), Ukrainy – 1243 (444 w 2024 r.), Mołdawii – 1136 (podobnie jak rok wcześniej) i Kolumbii – 627 (202 w 2024 r.). To zdecydowanie za mało, biorąc pod uwagę fakt, że na granicy zewnętrznej UE, czyli na granicy łączącej nas z Rosją, Białorusią, Ukrainą, uwzględniając przy tym również drogę morską czy lotniczą, imigranci przekroczyli granicę łącznie aż 13 215 476 razy. Na tym tle opuszczenie kraju przez niespełna 10 tys. osób przedstawia się jako kropla w morzu potrzeb. Niewiele zmienia to, że w minionym roku aż 25 114 razy odmówiono wjazdu cudzoziemcom na granicy zewnętrznej UE. Wśród tych osób było 19 494 Ukraińców, 921 Gruzinów i 425 Kolumbijczyków. Niestety, ale jesteśmy nieszczelni, a do Polski może wjechać praktycznie każdy.

KUBEŁ ZIMNEJ WODY

Zdaje się, że częściowo nie panujemy nad sytuacją, która zaczyna nas w szybkim tempie przerastać. Funkcjonariusze Straży Granicznej dają z siebie naprawdę wiele, ale przy całym ich trudzie prawo jest niestety zbyt pobłażliwe dla tych, którzy nie szanują naszych zasad i granic. Wyroki za pomocnictwo, za nielegalne przekraczanie granicy, za przemyt, za ukrywanie i zatrudnianie nielegalsów są wciąż zbyt niskie. Jeśli nic w tym względzie się nie zmieni, a polityka imigracyjna pozostanie dalej liberalna, to powinniśmy spodziewać się najgorszego, czyli lawinowego wzrostu przestępczości w Polsce. To jest wniosek, który może się nie podobać, ale lepiej, żeby ktoś wylał nam kubeł zimnej wody na głowę teraz, póki jeszcze można się obudzić i wprowadzić niezbędne zmiany. Czas ucieka!

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2eeee85d49



Strzelanina w Bystrzycy Kłodzkiej uruchomiła debatę o granicach obrony koniecznej

FOT. TOMASZ GOLLA/SE/EAST NEWS

Z Robertem Czarnowiczem, adwokatem, współpracownikiem Ordo Iuris

rozmawia Piotr Włoczyk

Ryzyko musi być po stronie napastnika

PIOTR WŁOCZYK: 10 kwietnia br. w Bystrzycy Kłodzkiej doszło do konfrontacji pomiędzy grupą trzech mężczyzn a uzbrojonym w broń palną Borysem B, instruktorem strzelectwa. W jej trakcie instruktor oddał do jednego z mężczyzn kilka strzałów, w skutek czego postrzelony poniósł śmierć. Prokuratura przekonuje opinię publiczną, że aresztowany na dwa miesiące Borys B. dążył do sprowokowania konfrontacji, choć on sam utrzymuje, że jedynie odpierał napaść. Co ta sprawa mówi nam o prawie do obrony koniecznej?

ADW. ROBERT CZARNOWICZ: Nie znamy całości stanu faktycznego i to jest główny problem w ocenie tej konkretnej sprawy. Z pewnością jednak będzie to bardzo skomplikowany, głośny proces, a decyzja sądu może mieć daleko idące konsekwencje.

W jakim sensie?

Orzeczenie w tej sprawie może zostać wykorzystane przez środowiska polityczne niesprzyjające posiadaczom broni do wprowadzenia zmian prawnych komplikujących legalny dostęp do niej. Inna sprawa, że już dziś obywatel nie może być pewny, że państwo za nim stanie, jeżeli zastosuje obronę konieczną w sytuacji bezpośredniego ataku. Polski wymiar sprawiedliwości pokazał już wiele razy, że zbyt łatwo pociąga do odpowiedzialności obywateli broniących się przed napaścią.

W tej konkretnej sprawie jest wiele wątpliwości, nie mamy tu jasnego obrazu sytuacji, ale patrząc na praktykę polskiej prokuratury oraz sądów, niestety nie można wykluczyć wyroku, który utwierdzi praworządnych obywateli w przekonaniu, że bronienie się jest obarczone bardzo dużym ryzykiem.

Z nagrania pokazującego to starcie można wywnioskować, że strzelec najpierw stara się odstraszyć trzech mężczyzn krzykiem, a potem oddaje strzał ostrzegawczy. Takie zachowanie działałoby na jego korzyść w przypadku procesu?

Tak, ponieważ może to sugerować, że chciał uniknąć bezpośredniej konfrontacji. Strzał ostrzegawczy to ostatnie ostrzeżenie, dające napastnikowi szansę na wycofanie się. W trakcie obrony nie ma obowiązku oddawania strzałów ostrzegawczych – to praktyka wynikająca z przepisów służb mundurowych.

Niektórzy komentatorzy zwracali też uwagę, że człowiek z bronią palną, odpierający atak na siebie, powinien celować w rękę czy nogę, a nie w korpus. Nie ma takiego obowiązku. W takiej sytuacji strzela się po to, by przerwać zamach, a nie po to, by zrobić jak najmniejszą krzywdę. Mam świadomość, że istnieją wyroki rozróżniające w tym zakresie, ale nie uwzględniają one działania w sytuacji nagłej, ogromnego stresu i nierzadko strachu.

Co będzie kluczowe w tej sprawie?

Ustalenie, czy to strzelec szukał konfrontacji z tymi mężczyznami, sprowokował całą tę sytuację, dążąc do jakiegoś odwetu, czy było odwrotnie – ten człowiek nic tu nie zawinił i to on został napadnięty.

Jak tu wygląda kwestia rodzaju pozwolenia na broń?

Paradoksalnie to, czy broń użyta do obrony koniecznej jest użytkowana legalnie czy nie, jest tu kwestią wtórną i nie wpływa na samą ocenę konkretnej sytuacji. Co do zasady w przypadku odpierania napaści możemy się posłużyć jakimkolwiek narzędziem, nawet jeżeli posiadamy je nielegalnie. Może być bowiem tak, że broniąc się w sposób legalny, pozbawimy kogoś życia i nie będziemy odpowiadali za ten czyn, natomiast odrębnie rozważana będzie kwestia wejścia w posiadanie nielegalnego narzędzia.

Jak oceniać sytuację, gdy napastnik nie wchodzi jeszcze w bezpośredni kontakt z ofiarą, ale już padają strzały?

Odpowiem z doświadczenia. Kilka metrów dystansu to już bardzo niewielka odległość, bardzo utrudniająca wykorzystanie broni do odparcia ataku, np. nożownika. Perspektywa strzelca jest tu bardzo istotna. Trzeba rozumieć, że nie można dopuścić, by napastnik znalazł się zbyt blisko, bo wtedy broń może się okazać zwyczajnie nieskuteczna. Inną sprawą jest, że w takiej sytuacji broń

eprasa.pl 2eeee85d49

mogłaby wpaść w ręce agresywnego człowieka.

Czy jeżeli napastnik jest pod wpływem alkoholu, to wpływa to jakoś na ocenę prawną całego zajścia?

Niektórym może wydawać się, że jeżeli sprawca jest pijany, to zaatakowany powinien salwować się ucieczką. Nic z tych rzeczy. Sąd Najwyższy w orzeczeniu z 2002 r. zwrócił uwagę na kwestię alkoholu w kontekście obrony koniecznej. Wyraźnie stwierdził, że takie założenie stanowiłoby pobłażliwość dla osób nietrzeźwych, a alkohol często wzmaga agresję w takich okolicznościach. Napastnik staje się jeszcze mniej przewidywalny.

Jak generalnie sprawdzają się polskie przepisy regulujące obronę konieczną?

Przepisy dotyczące obrony koniecznej „obrosły" przez lata doktryną i orzecznictwem, które są niejednoznaczne. Mamy tu dużo niezbyt konsekwentnych teorii, które idą w poprzek głównej zasadzie, która powinna przyświecać rozumieniu obrony koniecznej – prawo nie może ustępować przed bezprawiem.

Gdzie konkretnie widzi pan bałagan?

Problem nie tyczy się samego przepisu dotyczącego odpierania bezpośredniego i bezprawnego ataku na dobro chronione prawem. Tu akurat w kwestii podstawowej obrony koniecznej mamy jasność. Co istotne – przy obronie nie dochodzi do „ważenia dóbr", jak ma to miejsce przy stanie wyższej konieczności. Chodzi o to, że w momencie podejmowania obrony nie wiem, które dobro może być zagrożone – moje zdrowie czy życie? Jeżeli ktoś wchodzi w nocy do mojego mieszkania, to nie wiem, czy chce coś ukraść, pobić mnie lub moich bliskich czy może zabić.

W polskich przepisach wprowadzono też jednak współmierność środka obrony. Obywatel musi więc dobierać środki obrony współmierne do niebezpieczeństwa zamachu. Te są jednak zawsze oceniane wtórnie, co może zniekształcać obraz zdarzenia. Na studiach prawniczych często można usłyszeć przykład, jak ktoś kradnie jabłka z ogrodu, a właściciel strzela do takiej osoby. W takim przypadku mamy do czynienia z działaniem bezprawnym.

Czyli przepisy raczej dobrze regulują tę kwestię.

Tak. Problemy zaczynają się gdzie indziej. W polskim orzecznictwie przyjmuje się wspomnianą zasadę, według której prawo nie może ustępować przed bezprawiem, tzn. teorię samoistności.

Czyli jeżeli zostałem zaatakowany, to nie mam obowiązku uciekania, proszenia o litość czy ukrywania się. Jednak zaczęła ona być wypierana przez tzw. teorię subsydiarności, wynikającą z rozważań nad „koniecznością" obrony. Według niej zaatakowany człowiek ma prawo odpierać napaść, ale jeżeli istnieje realna możliwość uniknięcia zagrożenia, to powinien posiłkować się innymi metodami. Z tym że taka koncepcja jest w swojej istocie błędna, ponieważ zakłada, że każdy obywatel musi szukać możliwości uniknięcia konfrontacji z bezprawiem.

Takie podejście raczej nie wzmaga w społeczeństwie przekonania, że państwo dba o praworządnych obywateli.

Natomiast wśród potencjalnych agresorów wzmacnia się przekonanie, że mogą oni działać bez żadnych reguł, a to strona zaatakowana musi kalkulować ryzyka.

Od kiedy tak jest?

Teoria subsydiarności pojawiła się na początku lat dwutysięcznych. Jest to pokłosie ewolucji orzeczeń Europejskiego Trybunału Praw Człowieka. Przykładowo: w art. 2 Europejskiej Konwencji Praw Człowieka, który chroni prawo do życia, wskazany jest warunek absolutnej subsydiarności wyrażony w stwierdzeniu, że pozbawienie życia będzie uznane za sprzeczne z konwencją, jeżeli nie nastąpi w wyniku bezwzględnie koniecznego użycia siły w obronie. Sformułowanie „bezwzględnie konieczne" jest problematyczne, bo nakazuje badać, czy napadnięty mógł się np. ratować ucieczką czy nie. A przecież ryzyko związane z napaścią powinno być całkowicie po stronie napastnika, a nie osoby napadniętej.

Pojawiło się wiele koncepcji w kwestii zmiany artykułu regulującego obronę konieczną, m.in. usunięcie współmierności. Tylko że w takim przypadku trybunał strasburski z pewnością wytknąłby to Polsce. Dlatego nasz kraj trwa w dziwnej sprzeczności, gdy z jednej strony porządni obywatele muszą kalkulować „konieczność" i myśleć o konsekwencjach obrony przed napastnikiem, a z drugiej strony wieloletnie orzecznictwo Sądu Najwyższego podkreśla samoistność obrony.

Czyli teoretycznie nie musimy uciekać przed napastnikiem, ale w praktyce, z powodu realizowania w sądach teorii subsydiarności, możemy mieć problem, jeżeli pozbawimy go życia?

Tak to wygląda.

USA słyną z przepisów „Mój dom, moja twierdza", które w bardzo prosty sposób regulują obronę we własnym domu, dając domownikom solidny „parasol" prawny.

W Polsce zmiany w tym duchu wprowadzone zostały przez ówczesnego ministra Zbigniewa Ziobrę i środowisko Suwerennej Polski. Jednak ta zmiana była w moim przekonaniu błędem legislacyjnym, ponieważ do przepisu doktrynalnego wprowadzono szczegółową kazuistykę i stopniowanie niewspółmierności użytego środka. Czyli jeżeli odpieramy atak we własnym domu, to możemy sobie pozwolić na większą „swobodę" niż w przypadku napaści na ulicy. A przecież obrona konieczna wszędzie powinna „działać" tak samo. Albo się bronimy, albo nie. Tak naprawdę jakie znaczenie ma tu miejsce, gdzie odpieramy napaść?

Chociaż dostrzegam też pewien plus związany ze wzmocnieniem prawa do obrony koniecznej w „czterech ścianach": jest to działanie na świadomość napastników, którzy powinni wiedzieć, że atakowanie ludzi w domach to bardzo kiepski pomysł.

W Polsce do sądów trafia zbyt dużo spraw o przekroczenie granic obrony koniecznej?

Tak, ponieważ prokuratorzy nie przechodzą koniecznych szkoleń w tym zakresie. Przykładowo: nie rozumieją wielu kwestii praktycznego korzystania z broni palnej. Nie da się tego zastąpić opiniami biegłych. Specyfika pracy organów ścigania jest też taka, że bezpieczniej jest przygotować akt oskarżenia i zrzucić odpowiedzialność za interpretację konkretnego zdarzenia na sąd. Moim zdaniem wiele spraw w ogóle nie powinno się skończyć oskarżeniem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



ADW. ROBERT CZARNOWICZ
jest współpracownikiem Centrum Interwencji Procesowej Instytutu na rzecz Kultury Prawnej Ordo Iuris.

eprasa.pl 2eeee85d49

Z Rafałem A. Ziemkiewiczem, publicystą związanym z „Do Rzeczy”
rozmawia Wiktor Świetlik

Atencjuszem nie jestem



Rafał A. Ziemkiewicz i Wiktor Świetlik FOT. RAFAŁ ZIEMKIEWICZ/FACEBOOK

Poniższa rozmowa jest fragmentem książki „Ziemkiewicz”, która ukazała się nakładem wydawnictwa Czarna Skrzynka

WIKTOR ŚWIETLIK: Dobrze znasz Janusza Korwin-Mikkego?

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ: Zdecydowanie. Jak zły szeląg. W każdym razie najlepiej ze wszystkich polityków, których znam.

A utrzymujecie kontakt?

Nie. Od lat on nie ma czasu i ja też nie. W ogóle mało towarzyski jestem. Pewnie część ludzi uważa mnie za niesympatycznego, a co najmniej nadętego i wywyższającego się. A ja nie mam zamiaru się wywyższać. Po prostu cały czas gdzieś gonię, a jak już mi sił zabraknie, to padam i leżę. Nie mam kiedy podtrzymywać relacji.

Nie brakuje ci znajomości?

Nie. Sam sobie radzę emocjonalnie. Poza najbliższą rodziną, którą muszę mieć przy sobie, nie potrzebuję wielkiego kręgu. Obawiam się, że to odbywa się trochę ze szkodą dla Oli. Ona bardziej lubi przyjaciół, towarzystwo, krąg znajomych. Jak wyszła za mnie, to środowisko aktorskie, strasznie czerwone, w większości dość szybko się od niej poodsuwało. Ola przyznaje, że może to i lepiej, bo skoro się tak zachowali, to w gruncie rzeczy nie byli warci przyjaźni.

A wracając do Korwina. On, gdy ludzie o nim zapominają, wychodzi i mówi coś strasznego, np. o kalekich dzieciach...

Stop! Uważaj, uważaj. Popraw to na „dzieci z niepełnosprawnościami”, bo „kalekie dziecko” brzmi samo w sobie bardzo niepoprawnie i też ktoś może ci zarzucić, że jesteś atencjuszem jak Korwin!

Uczę się od najlepszych. A serio. Czy to jest jakaś metoda? Czy to coś, czego się od Korwina nauczyłeś albo co macie wspólne?

Twoje pytanie można rozumieć dwojako. Pierwsza interpretacja jest taka, że pytasz, czy przejąłem metodę budowania popularności na skandalu. Druga, że pytasz o mój charakter. Otóż osobiście sądzę, że atencjuszem nie jestem.

Pewnie większość atencjuszy tak o sobie myśli. Bardziej chodziło mi o pierwszą interpretację. Czy to nie jest wyrachowane? Czy nie stosujesz metody autopromocyjnej, kontrowersją podbijając rozpoznawalność?

Nie przeceniam swojej wiedzy PR-owskiej czy marketingowej, ale wydaje mi się, że mam jej dość, żeby takich rzeczy nie robić. Bo to jest zdradliwe. Przekonał się o tym i Korwin, i Palikot.

Rozpoznawalność jest w byciu osobą publiczną podstawą, jest ważna. Tylko równie ważne jak to, czy ludzie cię kojarzą, jest to, z czym cię kojarzą. Jeśli budujesz rozpoznawalność na negatywnych skojarzeniach, to potem musisz umieć je odwrócić i zmienić w pozytywne. A to jest trudne. Wymaga pieniędzy, umiejętnego użycia mediów. Można to oczywiście zrobić. Na Zachodzie wielu politykom się to udało. Weź Joschkę Fischera, który zaczynał od skrajnego lewactwa i zadymiarstwa na pograniczu dobrego smaku – sławne „z całym

eprasa.pl 2eeee85d49

szacunkiem, jest pan dupkiem, panie ministrze" w debacie parlamentarnej – a potem wzorcowo „wydoroślał" i sam poszedł do rządu.

W latach 60. lansował się w kasku, w którym miał brać udział w bijatykach z zachodnioniemiecką policją...

Robił to do momentu uzyskania 5 czy 7 proc. poparcia. A kiedy postanowił stać się poważnym politykiem, bardzo umiejętnie to odwrócił. Zaczął się ubierać w garniturek i w końcu w pewnym momencie został ministrem spraw zagranicznych.

Korwin czegoś takiego nigdy nie zrobił. I choć jest już w pewnym wieku, co do aktywnej polityki raczej już go nie predestynuje, to wiadomo, że ministrem nigdy by nie był. Zbudował rozpoznawalność, ale na zasadzie, że wszyscy mówili: „Fajnie gada, jak coś czasem pierdolnie, to boki zrywać, no ale przecież to nie jest poważny człowiek".

Dlatego zawsze miał pełne sale?!

Chyba naiwnie myślał, że to się przełoży na wyniki wyborcze. Nigdy się nie przełożyło. Marketing nie polega na tym, że przynosisz do studia łeb świni, jak Palikot, i wtedy o tobie gadają. Jasne, gadają. Tylko chodzi o to, co gadają. „To ten jajcarz, co łeb świni przyniósł do studia. Kto by go nie znał? Ale co, on chce do rządu? No, bez przegięć".

Sztuka marketingu polega na określeniu grup docelowych i takich sposobów docierania do każdej z nich, żeby jednocześnie nie zniechęcać innych, a nie na wymyślaniu „numerów", jakich jeszcze nikt wcześniej nie robił.

Nie powiem, że swoją karierę konstruuję marketingowo, bo to byłaby nieprawda. Traktuję to jednak... inaczej. Jeszcze w okresie, kiedy uważałem się za prozaika... źle powiedziałem, bo ja się nadal uważam za prozaika, tylko uprawiam inny rodzaj prozy, prozę dyskursywną, a nie narracyjną. Ale kiedy pisałem głównie fabuły, to już wtedy wiedziałem, że trzeba odróżnić pisanie od pisarzenia.

Pisanie jest czynnością w pewnym sensie magiczną, jak mówił Parowski, choć oczywiście wymaga znajomości rzemiosła. A pisarzenie to jest cała reszta. Czyli jak to, co się napisało, sprzedać, zrobić sobie „popularkę". Spotkania

Parę razy robiłem rzeczy szalone. Taką rzeczą szaloną było napisanie „Ciała obcego". To książka, która kompletnie nie pasuje do wizerunku prawicowego publicysty

autorskie, grepsy reklamowe, wybieranie fragmentów dla recenzentów i tak dalej.

Myślę, że nadal to umiem podzielić. Kiedy piszę publicystykę, to naprawdę piszę ją dlatego, że wierzę w pewne sprawy. Mogę je łatwo wyliczyć. Walczę o nie i po to to robię. A żeby robić to skutecznie, używam narzędzi, które znam. Taka jest kolejność.

Napisałbyś coś sprzecznego z twoimi wartościami, żeby się sprzedało?

Nie. Bo gdybym tak myślał i miał takie tendencje, to bym dawno temu dał dupy. Już na studiach zapisałbym się do organizacji młodzieżowej, a potem poszedł do „Gazety Wyborczej", złożył hołd jej „autorytetom" i moja kariera poszybowałaby z szybkością rakiety. Ale – i tu jest clou sprawy – na chwilę. Bo właśnie fakt, że wybrałem inną drogę, sprawił, że dziś rozmawiamy i obaj mamy powody wierzyć, że zapis tej rozmowy kupi sporo ludzi. Moim kapitałem jest właśnie to, że piszę i mówię może mądrze, może głupio, ale naprawdę piszę i mówię to, co osobiście uważam. Gdybym uległ pokusie napisania czegoś, w co nie wierzę – obojętne, dla korzyści politycznych czy materialnych, żeby poprzeć jakąś partię czy żeby się bardziej podobać publice – to prędzej czy później ludzie by to odkryli i za kolejne moje produkty podziękowali.

A te narzędzia, jak ich używać?

Umiejętnie. Prowokowanie dla prowokowania nie ma wielkiego sensu. Wiem mniej więcej, dla kogo piszę. Wiem, jakie mam grupy docelowe. Bardzo użytecznym narzędziem jest tu Internet. Na YouTube dokładnie widzisz, kto cię ogląda, jak, kiedy. Mam na przykład problem z dotarciem do młodych kobiet. Niestety. Jak przychodzi jakaś ładna młoda dziewczyna z książką do podpisu, to na 95 proc. żeby poprosić o podpis dla chłopaka albo dla taty. Już się do tego przyzwyczaiłem. I w tę grupę nie mam jak wejść. Może stopniowo, powoli się uda, ale na razie to jest ściana.

Próbowałeś kiedyś przebić ścianę, uderzyć nie do swoich grup?

Regularnie próbuję. Wiem, w jakich grupach jestem oglądany, oceniam, w jakich mogę znaleźć ewentualnych nowych odbiorców i co ze spektrum swoich przemyśleń mogę im zaoferować, co mogą uznać za interesujące.

Ale parę razy robiłem rzeczy szalone. Taką rzeczą szaloną było napisanie „Ciała obcego". To książka, która kompletnie nie pasuje do wizerunku prawicowego publicysty, a została wydana pod moim nazwiskiem, nie pod pseudonimem. Nawet moi najwięksi fani mieli problem, co z nią zrobić. Jak nad tym przejść do porządku dziennego. I zresztą nie ma już chętnych, żeby ją wznawiać, choć sprzedała się wcale nieźle. Autor jest dziś bardziej znany, niż był wtedy, a 10 czy 15 lat późniejsze „50 twarzy Greya" odczarowało klimaty sado-maso i przyswoiło je popkulturze, ale...

Bohater twojego „Ciała obcego" to lubiący seks katolik, mający problem z własną seksualnością i kostycznym małżeństwem, które ostatecznie rozpada się przez jego zdrady. Dojdziemy do tego etapu w twoim prawdziwym życiu. Wywróżyłeś tej książce los już samym tytułem...

„Czasami człowiek musi, inaczej się udusi"... Innym szaleństwem były „Ognie na skałach". Tu już na mniejszą skalę. To było po prostu bez sensu. W konwencji kierowanej głównie do nastolatków napisałem powieść o męskim kryzysie wieku średniego. Trudno sobie wyobrazić coś bardziej nietrafionego w target.

Napisałeś jakieś książki pod pseudonimem?

Nie, nigdy. Owszem, kiedyś wydałem pod pseudonimem parę bieżących tekstów publicystycznych, ale to było z bardzo prozaicznego powodu. Wiceszefowa „Gazety Polskiej" wymyśliła, że w numerze nie może się pojawić więcej niż jeden tekst jednego autora, a ja musiałem napisać dwa–trzy, żeby obsłużyć potrzeby działu. I wtedy ten mniej ważny artykuł szedł pod czytelnym pseudonimem „Rafał Aleksandrowicz", którym zresztą potem obdarzyłem bohatera swoich

eprasa.pl 2eeee85d49

żartobliwych opowiadanek fantastycznych. Ale to był wyjątek. Generalnie nie wiem, czemu miałoby służyć tworzenie pseudonimu. Pracuję na własne nazwisko.

Wróćmy do początku lat 90. Jak trafiłeś do „Najwyższego Czasu!"?

Pracowałem we wspomnianym już wydawnictwie Amber.

I najpierw poszedłeś do „Wyborczej", ale nie uszanowano tam twojego dorobku, czego nie żałujesz...

Odwiedzałem w poszukiwaniu zarobku różne redakcje. Zaszedłem na przykład do jakiegoś efemerycznego pisma narodowego. Już nie pamiętam, co to było. Coś związanego z którymś z licznych wtedy stronnictw narodowych – Giertycha seniora czy któregoś z jego konkurentów. W ogóle tych ludzi wtedy nie znałem, nie wiedziałem, o co chodzi, bo jeszcze byłem „prawdziwkiem" od science fiction. Pamiętam, że siedzieli tam jacyś dziwni faceci, brodaci, o wyglądzie kompletnych oszołomów. Patrzyli na mnie podejrzliwie. Odniosłem wrażenie, że najuważniej taksowali mój nos, ale może uległem stereotypowi. To był czas, kiedy esbecja bardzo mocno pracowała na „kierunku narodowym", na przykład wszystkie plakaty wyborcze Mazowieckiego były usmarowane gwiazdami Dawida. Wystarczyło się przyjrzeć, żeby zobaczyć, że te bazgroły wyszły spod tej samej ręki i tego samego mazaka. Ale taki Jan Tomasz Gross, jak wspominał, właśnie wtedy wrócił do Polski, zobaczył te gwiazdy i uznał, że to spontaniczna twórczość narodu, i ten naród za nie znienawidził. Praca anonimowego bezpieczniaka nie poszła więc na marne, tylko zainspirowała „historyka" do całej tej hucpy z „Sąsiadami".

To pismo to była może „Myśl Polska"?

Nie. „Myśl Polska" nawet z pewnym przytupem wystartowała, bo oni mieli pieniądze i tradycję z Londynu. To, o czym mówię, to było coś, co szybko padło. Wyszedł chyba tylko ten jeden numer, który mnie do nich sprowadził. Wtedy ludzie uwierzyli w obiecaną wolność słowa i próbowali spontanicznie tworzyć różne media. Nie orientowali się, że cały ład medialny został przez sojuszników z Magdalenki zaprojektowany tak, żeby to uniemożliwić, a przynajmniej skrajnie utrudnić. Działał wtedy bardzo ciekawy „Tygodnik Młoda Polska", był dziennik „Czas", rozmaite tytuły z podziemia wychodziły na powierzchnię, pojawiały się regionalne pisma Solidarności, lewica próbowała reaktywować zamknięte jeszcze przez Gomułkę, w pewnych kręgach legendarne „Po Prostu"... To wszystko w ciągu pół roku, roku pobankrutowało, zduszone dystrybucją i szlabanem na reklamy, bo taki był plan i taki był układ.

Narodowcy potraktowali cię więc podejrzliwie?

Dociekali, kto ja jestem i po co tu przychodzę. Pewnie na przeszpiegi. Nie uwierzyli do końca, że po prostu znalazłem pismo w kiosku, a szukam pracy, umiem pisać, to może coś napiszę.

Natomiast zacząłem w tym czasie czytywać różne rzeczy. Wtedy się zaczął ukazywać tygodnik „Najwyższy Czas!". I skojarzyłem Korwina, bo był wtedy – w ostatnich latach, a nawet w ostatnich PRL – mocno lansowany.

Zdaje się, że komuniści go lansowali nieprzypadkowo?

Urban otwarcie przyznał, że kazał go dawać na antenę jak najwięcej, żeby tworzył dobry kontrapunkt.

Że był taki niesolidarnościowy?

Po pierwsze, był barwny. Po drugie, był niesolidarnościowy. Pamiętam anegdotę, kiedy Solidarność się obraziła, że w jakimś programie występował Korwin, a w dekoracji był znaczek związku i tak go ustawili, że siedział na jego tle. Jakieś ogniwo Solidarności zaprotestowało wtedy, że ten pan absolutnie nie odzwierciedla ich poglądów i że są przeciwni temu, by wykorzystywał historyczny znak związku do lansowania swojej osoby. Korwin odpisał, że to nie jest jego wina, bo „nigdy by mu do głowy nie przyszło występować na tle czegokolwiek czerwonego".

On rzeczywiście to wszystko ubarwiał, sprowadzał czasem do absurdu, ale też trafiał do mojego chłopskiego rozumu, bo mówił bardzo zdroworozsądkowo – i to mi się bardzo spodobało. Pomimo że od zawsze miał też swoje dziwactwa. Mniejsze, jak tłumaczenie imion – Wiluś Clinton, Dydek Maradona, ale i bardziej irytujące. Na przykład „Najwyższy Czas!" miał rubryki „z życia rządu" i „z życia prezydenta", a prezydentem był wtedy Jaruzelski i Korwin z wielką rewerencją pisał o nim: „nasz pan prezydent", „wielce czcigodny", coś w tym stylu.

„Jego ekscelencja" i tak dalej, też to pamiętam. Pisał tak również o Husajnie, Kaddafim. Chyba nawet Hitlera i Stalina tytułował tak pośmiertnie...

Tylko że w odniesieniu do Jaruzelskiego to brzmiało mniej zabawnie. Podobnie z Urbanem. Ponieważ wszyscy w środowiskach prawicowych gardzili Urbanem, Korwin demonstracyjnie nim nie gardził. Zresztą nie miał powodu, bo Urban, jak mówiłem, trochę pomógł w tym, że Korwin stał się znany. Na przełomie lat 80. i 90., jeśli ktoś występował w telewizji, oglądało go dwadzieścia parę milionów ludzi. Takie były zasięgi.

Twój ojciec nie lubił komuny, ucierpiał jako katolik w wojsku, ale gdzieś tam zahaczył o PZPR. Stryj był w PAX-ie, brat działał w środowisku studenckim. Nie było w tym akcesie do Korwina też takiego elementu, że ty nie miałeś mocnej identyfikacji solidarnościowej?

Ludzie, którzy u mnie na wydziale najgłośniej krzyczeli o Solidarności i robili wśród studentów za wielkich opozycjonistów, prawie wszyscy potem poszli do „Gazety Wyborczej"...

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



W sprzedaży pojawiła się właśnie nowa książka pt. „Ziemkiewicz" – wywiad z Rafałem A. Ziemkiewiczem przeprowadzony przez Wiktora Świetlika.
RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ, od początku związany z „Do Rzeczy", ulubiony publicysta tysięcy Polaków, uważany za jednego z najbardziej wpływowych liderów opinii w Polsce, tym razem nie mówi o polityce, Tusku, Kaczyńskim, a o swoim życiu, błędach młodości, kobietach, wychowaniu, grzechach, religii, chorobach, kryzysie egzystencjalnym i miłości, która uratowała mu życie. Książka dostępna jest na stronie internetowej:
sklep.czarnaskrzynka.com.pl.

eprasa.pl 2eeee85d49

KSIĘGARNIA DO RZECZY



ZAPRASZAMY DO KSIĘGARNI DO RZECZY



KSIEGARNIADORZECZY.PL

eprasa.pl 2eeee85d49

Rzeczpospolita zamczysta



Piotr Semka

Zamek jest symbolem siły państwa. A Polaków podejrzenie, że ich państwo jest wciąż niedostatecznie trwałe, prześladuje już od ponad stulecia. Może to właśnie dlatego tak kochamy zamki?

Całkowicie nowy zamek w Stobnicy nazywany jest już w zagranicznych przewodnikach „polskim Neuschwansteinem”

FOT. ADOBE STOCK

W Polsce buduje się niepokojąco dużo zamków. W całym kraju powstają ich dziesiątki. Zabytki już istniejące puchną. Rekonstrukcja goni rekonstrukcję. Pojawiają się również zamki, których wcześniej nie było. Wznosi je państwo, dokładają się samorządy, powstają zamki prywatne”. Takimi słowami witają widza autorzy wystawy „Ostatni zamek. Zamczystość polska od Wawelu do Stobnicy” na Zamku Królewskim w Warszawie.

To niesamowita ekspozycja, która z ogromnym słuchem społecznym, historycznym i artystycznym próbuje przedstawić zjawisko, które w Polsce umykało dotąd próbom bardziej naukowego opracowania. Oglądając ją, można zadumać się nad swoistą polską fantazją, której symbolem jest całkowicie nowy zamek w Stobnicy nazywany już w zagranicznych przewodnikach „polskim Neuschwansteinem”.

PO CO KOMU ZAMKI?

Autor katalogu do wystawy, badacz architektury XXI w. Kuba Snopek, tłumaczy nazwę wystawy „zamczystość” tak: „Właściwość obiektu architektonicznego, pozwalająca społecznie go rozpoznać jako zamek ze względu na nazwę, formę i usytuowanie, niezależnie od autentyczności obiektu, prawdy historycznej, wieku i pierwotnej funkcji”. Jak wyjaśnia Kuba Snopek, zamczystość przejawia się w możliwości stereotypowego postrzegania zamku – ma mury obronne, wieże, stoi na wzgórzu. I jak wyjaśnia, nasza kultura zaczerpnęła obraz zamku z romantycznej wyobraźni XIX w., gdy po średniowiecze sięgnęli twórcy nowoczesnej narracji. Romantyzm wydał z siebie prawzorzec zamczystości, a popkultura anglosaska go przypieczętowała i utrwaliła w świadomości ludzi na całym świecie, także w Polsce. Zamki zawsze były odbiciem tendencji politycznych.

W XIX w. „zamczystość” zaprzęgnięto w Europie do kreowania tożsamości narodów. Reaktywowany zamek, nowe narzędzie do wizualnego opowiadania o przeszłości, niekoniecznie zgodnego z prawdą, zasilał je wysokobiałkową patriotyczną odżywką. Jak pisze Snopek: „Najbardziej zamczystym polskim dzieckiem tej epoki jest Wawel, dzisiaj coraz powszechniej uważany za fantazyjne wyobrażenie jego twórców, a nie naukową rekonstrukcję”.

Dziewiętnastowieczną fantazję i swobodę wyparła z czasem doktry-

eprasa.pl 2eeee85d49

na konserwatorska, w której do głosu doszło racjonalne podejście do zabytków. I według tych zasad przeprowadzono powojenne konstrukcje w czasach PRL. Według tych reguł odbudowano zamek Książąt Pomorskich w Szczecinie, dawną siedzibę Krzyżaków w Malborku czy wreszcie Zamek Królewski w Warszawie.

Ale – jak wskazuje Kuba Snopek w katalogu – dziś „zamczystość" triumfalnie wróciła. Objawia się pod wieloma postaciami – czy to historyzujących kreacji, czy nie do końca uprawnionych rekonstrukcji, czy wreszcie zupełnie nowych zamczysk, które budowane są bez jakichkolwiek związków z miejscem, w którym zostały zbudowane. Co więcej, powstają już nawet współczesne ruiny zamków, które z różnych powodów zaprzestano w pewnym momencie budować.

Takimi tłumnie odwiedzanymi ruinami czy może – ściślej rzecz biorąc – zamkami porzuconymi jest zamek w Łapalicach w powiecie kartuskim na Kaszubach. Znajduje się tam ogromny budynek o typowych cechach zamku, który rozpoczął budować w 1979 r. gdański rzeźbiarz Piotr Kazimierczak. Prace budowlane rozpoczęto na podstawie zgody na budowę domku jednorodzinnego z pracownią, który miał mieć powierzchnię 170 mkw. Jednak w trakcie budowy ceglany obiekt został rozbudowany do powierzchni 6000 mkw., która zaczęła wyglądać jak renesansowa rezydencja i uzyskała miano największej samowolki budowlanej w Polsce. Co ciekawe, w 2006 r. Powiatowy Inspektor Nadzoru Budowlanego w Kartuzach nakazał rozbiórkę budowli. Zamku jednak nie zburzono, a teraz pełni on rolę fantastycznej atrakcji turystycznej, która przyciąga miłośników architektonicznych ciekawostek z całej Polski.

Jak zauważają autorzy wystawy, „zamczystość" jest dzisiaj projekcją wyobraźni prywatnych właścicieli. I najbardziej spektakularnym przedstawicielem tej współczesnej prywatnej fali zamków jest oczywiście Stobnica. Ta budowla nad resztą zamków góruje skalą, poziomem wykonania i konsekwencją w kreowaniu zamczystego obrazu. Pierwsza sala wystawy wypełniona jest rysunkami, które autorzy ekspozycji zamówili w setkach polskich szkół podstawowych, prosząc dzieci tylko o jedno – aby narysowały swoje wyobrażenie idealnego zamku. I można powiedzieć, że wyniki tego konkursu są nieprawdopodobne. Inwencja autorów dziecięcych prac budzi szacunek. Trudno zresztą się dziwić, bo motyw zamku tkwi w samej istocie dziecięcego imaginarium. Składają się na to zamki budowane z klocków Lego, twierdze oglądane w bajkach fantasy, Hogwart z opowieści o Harrym Potterze czy wreszcie współcześnie wykoncypowany zamek w komputerowej grze o wiedźminie. Co zabawne, jedno z dzieci poproszone o przedstawienie swojego ideału zamku namalowało Pałac Kultury i Nauki w Warszawie. Sto trzydzieści prac, które ozdabiają ściany pierwszej sali wystawy, zdradza jeszcze jeden trop mogący wyjaśnić, dlaczego polscy milionerzy topią ogromne sumy w budowie replik fortec. Być może po prostu realizują dziecięce marzenia.

WYZNACZNIKI „ZAMCZYSTOŚCI"

„Aby odpowiedzieć na pytanie, dlaczego nie potrafimy się oprzeć obrazowi zamku, trzeba go zrozumieć. Sprawdzić, jakie sensy się za nim kryją i jaką podsuwa nam narrację o historii, jaką proponuje wizję społeczeństwa" – wskazują autorzy wystawy. Po analizie wizerunku 99 najpopularniejszych zamków zdefiniowali 10 wyznaczników zamczystości.

1. Położenie poza miastem. Zamek najlepiej, aby stał wśród przyrody. Nad wodą, na skale lub w niedostępnej puszczy. Wyimaginowana izolacja dodaje zamkowi aury tajemniczości i każe go czytać jako osobny świat – na wpół historyczny, na wpół baśniowy, poza czasem. W otoczeniu współczesnej zabudowy zamek straciłby wyjątkowość.

2. Zamki powstawały na wzniesieniach, bo tam trudniej było je zdobyć. Zarazem już z daleka komunikowały potencjalnym agresorom: tu czekają was trudności. Zamek na wzgórzu ogłasza swoje męstwo, zanim ktokolwiek zbliży się do murów. Zamek sięga nieba i zyskuje rangę symbolu wyniosłej władzy. W jego pionowości materializuje się wizja społeczeństwa silnie zhierarchizowanego.


Zamek Królewski w Poznaniu FOT. ADOBE STOCK

3. Walory obronne wzmacniało otoczenie zamku wodą. Fosa lub rzeka tworzy wyraźną granicę, wzbogaca kompozycję. Tworzy ramę, która wyodrębnia i podkreśla zamek.

4. Obraz zamku pełen jest mostów. Most selekcjonuje. Zamek nie jest dla wszystkich. To właściciel decyduje, kto przekroczy granicę, a kto pozostanie po drugiej stronie.

5. Bryłę zamku konstytuują wieże. Zapewniają mu czytelność i widoczność z daleka. Najwyższa wieża w mieście lub regionie już od średniowiecza komunikuje, do kogo w polu symbolicznym należy władza.

6. Krenelaż. Najmniejszą rozpoznawalną jednostką zamczystości jest oblankowanie – występuje nawet w najbardziej uproszczonych wersjach zamku – na piktogramach, logo i emoji.

7. Małe okna – podkreślają masywność murów i dominację litej płaszczyzny w ciele zamku.

8. Zamczystość jest kamienna. Kamień sam w sobie i zamek symbolizują to samo. Trwałość, ciągłość i dawność. Wyjątkiem są zamki ceglane, głównie krzyżackie. Te w wypadku nowych konstrukcji też czasami się zdarzają, ale wyglądają mniej szacownie niż kamienne.

9. Architektura zamkowa nie może przypominać pojedynczego gestu. Zamek narasta przez dobudowywanie kolejnych części, ma wiele członów i warstw.

10. Zamczystość wymaga mitu. Dla mecenasów zamczystości szczególnie pociągające są te przypadki, gdy wiadomo, że zamek był, ale nie jest jasne, jak wyglądał. Można wówczas podłączyć się do wielkiej historii, a przy tym nie odczuwać ograniczeń nakładanych na nią przez architekturę.

GIGANTY I GARGAMELE

W osobnej sali wystawa pokazuje trzy największe osiągnięcia zamczystości we współczesnych czasach. Pierwszy przykład to Zamek Królewski w Poznaniu. Jak oceniają autorzy wystawy, niczym budowle z wieków XIX i XX komunikuje tożsamość narodową.

eprasa.pl 2eeee85d49



Zamek pod Brzozami, kwatera prywatna
FOT. MATEUSZ PAWLUKIEWICZ

Pomysłodawcy inicjatywy chcieli przywrócić miastu królewskie znaczenie poprzez ideową restytucję rezydencji króla Przemysła. Powstała ona zresztą w opozycji do zbudowanego przez Niemców na początku XX w. tzw. Zamku Cesarskiego, który wybudowano w brutalnym stylu romanizmu nadreńskiego, który miał świadczyć o rzekomo „odwiecznej" przynależności tych ziem do Cesarstwa Niemieckiego. Autentyczny zamek, z czasów polskich królów, nie zachował się do naszych czasów, a jego pierwotną formę znamy jedynie w ogólnym zarysie. Faktem jest jednak, że nowo zbudowany zamek jest najwyższym punktem Poznania.

Drugi przykład – Stobnica. W opinii twórców ekspozycji jest on najlepszym przykładem dominacji projekcji wyobraźni prywatnego właściciela. Nad resztą nowych zamków góruje skalą, poziomem wykonania i konsekwencją w kreowaniu zamczystego obrazu. Opowieść o kolejnych fazach budowy Stobnicy nie była rekonstrukcją rzeczywistych wydarzeń. Wymyślił ją architekt Waldemar Szeszuła w ramach metody projektowania współczesnego zamku. Za istotę architektury zamkowej przyjął nawarstwianie się materialnych śladów kolejnych epok, w konsekwencji pojawiła się potrzeba napisania przekonującej historii. I tak powstała legenda o niewielkiej warowni na Jeziorze Stobnickim, do której dołączano kolejne skrzydła i dziedzińce, a mury stopniowo schodziły ku wodzie. I wreszcie opowieść, że zamek rozbudował w połowie XIX w. jeden z mniej znanych uczniów architekta Karla Schinkla.



Zamek w Łapalicach FOT. ADOBE STOCK

Trzeci najbardziej imponujący, w opinii autorów wystawy, zamek istnieje tylko w wirtualnym świecie. To Kaer Morhen z komputerowej gry o wiedźminie. Z literatury trafił do świata gier i seriali, a w nim architektura nie napotyka żadnych ograniczeń fizycznych.

ŻAL ZA CZYMŚ UTRACONYM

Dlaczego Polacy tak „łakną" zamczystości? W jednej z kolejnych sal wystawy zgromadzono serię zdjęć fotografika Mateusza Pawlukiewicza, który zadał sobie trud, aby wyszukać i obfotografować wszystkie prywatne rezydencje, zajazdy i hotele wzniesione w Polsce w ciągu ostatnich 430 lat w formie zamków. Dopiero gdy zobaczy się je wszystkie zgromadzone w jednym miejscu, można pojąć, jak bardzo masowa jest to tendencja. Profesjonalni architekci krzywią się na takie dziwadła, nazywając je lekceważąco gargamelami. Ale gdy obejrzeć je dokładnie na zdjęciach, można dojść do wniosku, że niektóre z nich tworzone są ze sporą znajomością historii i zasad architektury.

Swoistym kontrapunktem dla takich prywatnych dzieł jest coś w rodzaju zamku w postaci zbudowanej w latach 30. rezydencji prezydenta RP Ignacego Mościckiego w Wiśle w Beskidach. Zamek ten sprezentowało głowie państwa ówczesne województwo śląskie i powstał on w latach 1929–1931. „Podróż zamków w nowoczesność, choć kontrowersyjna" – tak autorzy wystawy oceniają pomysł na zbudowanie czegoś w rodzaju prezydenckiego zameczku w otoczeniu beskidzkich szczytów.

Dlaczego Polacy tak tęsknią za zamkami? Ja do rozważań twórców ekspozycji mogę dorzucić swoje osobiste podejrzenie. Przez cały okres zaborów zamki były solą w oku zaborców z prostego powodu. Stare twierdze były symbolem polskiej państwowości, a nowych z użyciem symboliki narodowej nie wolno było stawiać. Bardzo wiele starych twierdz zniszczono w czasie potopu szwedzkiego i wojen północnych. To dlatego czuliśmy potrzebę wybudowania następcy polskich królów w postaci prezydenta RP jego własnego zamku w Wiśle, dlatego Adolf Szyszko-Bohusz zmodernizował w okresie międzywojennym Wawel i dlatego potem komunista Edward Gierek nie wahał się przeznaczyć ogromnych środków na odbudowę Zamku Królewskiego w Warszawie. Bo zamek jest także symbolem siły państwa. A Polaków podejrzenie, że ich państwo jest wciąż niedostatecznie trwałe, prześladuje już od ponad stulecia. A tam, gdzie są zamki, tam jest trwałość. Czy można więc się dziwić tęsknocie za „zamczystością" Najjaśniejszej Rzeczypospolitej?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Wystawa „Ostatni zamek. Zamczystość polska od Wawelu do Stobnicy" prezentowana będzie na Zamku Królewskim w Warszawie do 28 czerwca 2026 r. Szczegóły na: www.zamek-krolewski.pl.

eprasa.pl 2eeee85d49

Oferta promocyjna

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY" I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"



W PREZENCIE

KSIĄŻKI

„PRAWNA OBRONA PRZED POLONOFOBIĄ"
„PRAWNA OBRONA WOLNOŚCI SUMIENIA I IDEOLOGIA LGBT"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~1291 ZŁ~~

539,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 752 ZŁ

Oferta prenumeraty z dostawą za pośrednictwem Poczty Polskiej

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

- **Wpłata na konto bankowe: Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa, nr konta: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006. W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail**
- **Na stronie: www.subskrypcja.dorzeczy.pl.**

TERAZ MOŻLIWOŚĆ ZAMÓWIENIA PRENUMERATY RÓWNIEŻ Z DOSTAWĄ DO PACZKOMATU INPOST

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

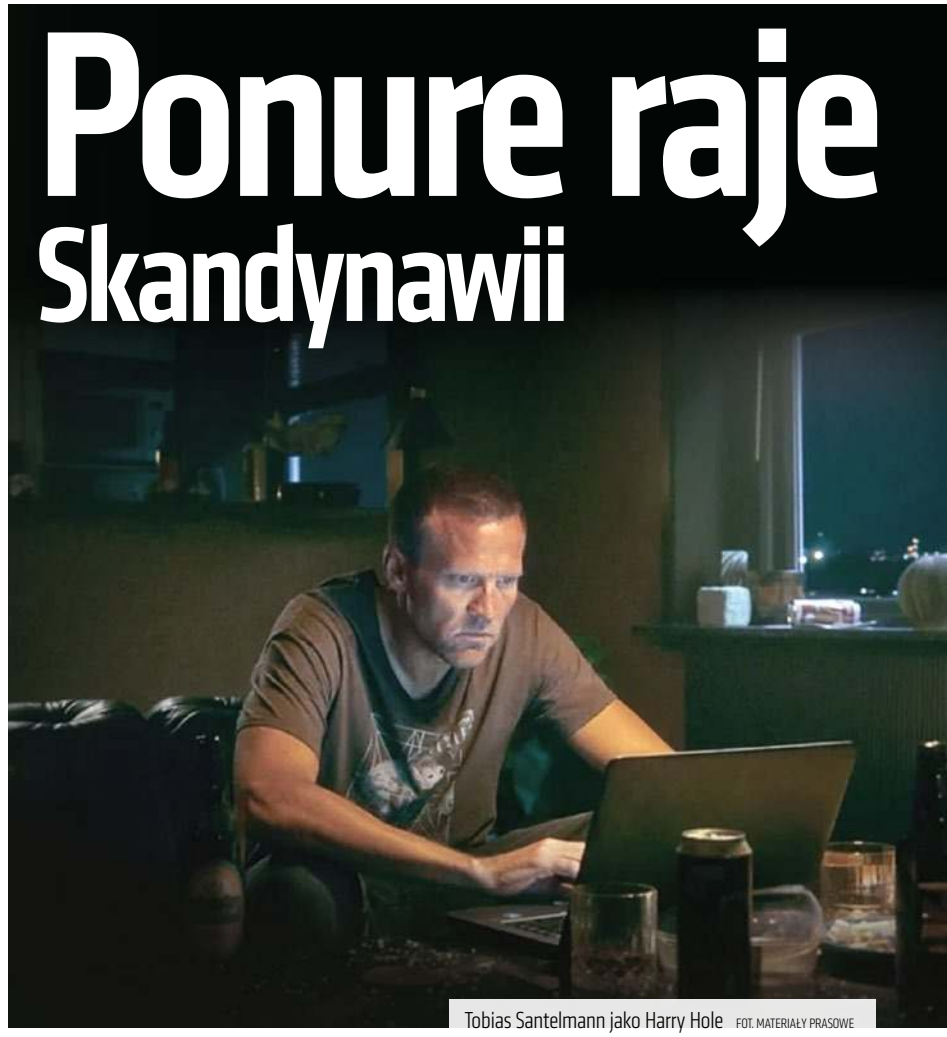
eprasa.pl 2eeee85d49

Ponure raje Skandynawii



Piotr Gociek

„Detektyw Hole" to jeden z najlepszych seriali na podstawie skandynawskich kryminałów. Co właściwie nam pozostaje po trzech dekadach popularności nordic noir?



Tobias Santelmann jako Harry Hole FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Ubrany był – jak Harry Hole, bohater powieści Jo Nesbø – w granatową bosmankę, spod której wystawał cienki golf" – opisuje jedną z postaci w powieści „Ostra" polski mistrz kryminału, Marek Krajewski. Owszem, żyjemy w czasach postmodernistycznych zabaw i nieustannego puszczania oka do odbiorców, ale chwila, w której kreacja jednego pisarza wchodzi w wymyślone światy innego autora jako jeden z elementów świata przedstawionego, to sytuacja niezwykła. Detektyw Harry Hole stał się na dobre mieszkańcem wspólnej masowej wyobraźni, tak jak niegdyś Sherlock Holmes czy Nero Wolfe, a w ostatnich dekadach John Rebus czy Kurt Wallander. Tak osiąga się literacką nieśmiertelność.

Dzieje najsławniejszego obecnie bohatera norweskiej literatury popularnej sięgają roku 1997, kiedy ukazała się pierwsza powieść, której był bohaterem: „Człowiek nietoperz". Był to zarazem literacki debiut Jo Nesbø, który wcześniej zaznał sławy jako muzyk i wokalista popularnej grupy Di Derre oraz próbował szczęścia w innych zawodach, był m.in. maklerem. „Pomysł na pierwszą książkę z Harrym wpadł mi do głowy podczas wielogodzinnego lotu z Oslo do Sydney" – mówił Nesbø w wywiadzie dla „Dziennika Polskiego" w 2017 r. „Wtedy stworzyłem Harry'ego, choć nie wiedziałem tak naprawdę, kim będzie i jaki będzie. Miałem tylko pewną wizję".

Harry Hole stał się jak dotąd bohaterem 13 powieści, jednego filmu kinowego i serialu, który niedawno trafił do Netflixa. Film nosił tytuł „Pierwszy śnieg" (2017) i powstał w koprodukcji szwedzko-norwesko-brytyjskiej z anglosaską obsadą. Ekranowym Harrym Hole'em został Michael Fassbender. Oczekiwania były wielkie, ostatecznie góra urodziła mysz: może inaczej byłoby, gdyby reżyserem był Martin Scorsese (a takie były początkowo plany). Powstał wtedy rutynowy dramat kryminalny, o którym bardzo szybko zapomniano. Nie był to ani sukces kasowy, ani prestiżowy.

PISARZ WIELU TALENTÓW

Dziewięcioodcinkowy serial „Detektyw Hole" w niczym nie przypomina tamtej powolnej, pozbawionej napięcia historii. Jest to jedna z dwóch najlepszych w ostatniej dekadzie ekranizacji serii kryminalnej z podgatunku nordic noir (tą druga jest serial „Dept. Q" (2025), również w Netflixie, na podstawie książek Jussiego Adlera-Olsena (Duńczyka). Nie mam wątpliwości, że stało się tak dlatego, że Jo Nesbø jest mocno zaangażowany w projekt. Sam napisał scenariusz, sam nieco odświeżył fabułę i podostrzył niektóre elementy, by bardziej pasowały do rozrywki obrazkowej i odcinkowej, sam wreszcie brał udział w produkcji.

Często taki zosizm samosizm kończy się katastrofą (jak choćby ekranizacje powieści Stephena Kinga, w których zbyt wiele do powiedzenia miał sam King); tutaj przynosi świetne rezultaty. Nesbø jest po prostu twórcą utalentowanym, w dodatku zdobył wcześniej doświadczenie serialowe, gdy współtworzył trzy sezony „Okupowanych" – serii o rosyjskiej inwazji na Norwegię (i, przy okazji, ciężkiej indolencji Unii Europejskiej). Fani jego powieści o Harrym Hole'u będą dobrze się bawić, szukając podobieństw i różnic między powieściami a nowym serialem. Docenią też drobne sygnały dla wtajemniczonych – ot, choćby gdy dowiadujemy się, że syn partnerki Harry'ego zmienił poglądy w kwestii piłki nożnej i zamiast Rosenborgowi zaczął kibicować Molde FK. W tym ostatnim klubie grał za młodu Jo Nesbø, nim zerwane

eprasa.pl 2eeee85d49

więzadła nie zakończyły przedwcześnie kariery obiecującego napastnika.

LUBIANY OUTSIDER

Serial „Detektyw Hole" (w oryginale tytułowany „Jo Nesbø's Detective Hole", by podkreślić wagę literackiego oryginału i rolę pisarza w powstaniu ekranizacji) to opowieść wywiedziona z piątego tomu cyklu – „Pentagram". Książka ta była jednocześnie zakończeniem tzw. trylogii Oslo (wcześniejsze tomy to „Czerwone gardło" i „Trzeci klucz"). Jo Nesbø skroił jednak scenariusz tak, byśmy mieli wrażenie obcowania z osobną, zamkniętą historią. Harry, bardzo zdolny, ale i krnąbrny policjant, otwiera po pięciu latach przerwy akta śledztwa w sprawie napadu na bank. Poszukiwania nieuchwytnego sprawcy sprzed lat wprowadzą go w środek zupełnie innej intrygi, do której wrotami są niby rutynowe relacje pewnego drobnego handlarza narkotyków ze światkiem podziemnych handlarzy bronią. Zarazem w chwili, gdy losy samego detektywa i jego dalszej kariery w policji zawisną na włosku, okaże się potrzebny, żeby rozwiązać sprawę seryjnego mordercy kobiet.

Jednym z kluczy do sukcesu tego serialu jest obsada. W roli Harry'ego Hole'a obsadzony został Tobias Santelmann, natomiast jako jego nemezis, skorumpowany gliniarz Tom Waaler, pojawia się Joel Kinnaman, znany choćby z roli głównej w serialu „Modyfikowany węgiel". Pia Tjelta, jedna z najbardziej cenionych norweskich aktorek, zagrała Rakel, byłą policjantkę, która buduje z Harrym nowy związek. Bardzo ważne dla intrygi są inne postacie kobiece: jego policyjna partnerka, jego szefowa i wreszcie obdarzona talentem do rozpoznawania twarzy specjalistka. Tu też spece od castingu sprawili się bez pudła. Podobnie jak w powieściach Nesbø osobnym bohaterem opowieści jest Oslo. Nie jest to może, jak chcieliby na wyrost niektórzy amerykańscy recenzenci, „nowe Gotham", ale z pewnością do spokojnych i szczęśliwych miejsc nie należy.

Dlaczego czytelnicy i widzowie tak lubią detektywa Hole'a i mu kibicują? Oddajmy głos pisarzowi: „Jest outsiderem, który wiecznie podejmuje ryzyko, łamiąc przy tym różne zasady" (cytat z tego samego wywiadu w „Dzienniku Polskim"). „Jest po prostu wojownikiem,



Skorumpowany gliniarz Tom Waaler. W tej roli Joel Kinnaman FOT. MATERIAŁY PRASOWE

myśliwym polującym na morderców, który ostatecznie stara się przecież ocalić wartości ważne dla nas wszystkich". Jest też, dodajmy, człowiekiem walczącym z własnymi demonami, to znaczy, jak przystało na detektywa z powieści typu nordic noir, mocno pociągającym z butelki. Figura detektywa pijaka w literaturze kryminalnej nie jest niczym nowym, ale jej wersja skandynawska dała nam tak pamiętnych bohaterów jak Kurt Wallander z książek Henninga Mankella czy właśnie Hole. Gdy widzimy go w serialu, jest trzeźwy od dwóch lat, siedmiu miesięcy i trzech dni. Ale nadal zwierza się terapeucie, że gdy pije, to dlatego, że lubi pić. Oczywiście wiemy, że czyni tak, bo dręczą go wyrzuty sumienia. Harry Hole jest człowiekiem, który chciałby uratować wszystkich i nie przyjmuje do wiadomości, że jest to niemożliwe.

Charakterystyczną cechą powieści kryminalnych z kręgu skandynawskiego jest to, że są to historie korporacyjne. Amerykańska literatura noir stoi przede wszystkim samotnymi prywatnymi detektywami (czy jak w przypadku neo-noir – Jacka Reachera, samowolnego mściciela). Skandynawia, gdzie wszystko jest upaństwowione i mrówczy instynkt stadny wykorzystywany jest przez rozmaite wersje etatystycznego socjalizmu przebranego za współczujący kapitalizm, główny bohater to żołnierz systemu. Zatem policjant.

Zaskakująco często ów policjant działa w ramach niewydolnego, skorumpowanego układu. Zwraca się często uwagę w analizach nordic noir na ważną społeczną rolę tej literatury: oto lustro, w którym widać przemoc, mizoginię, rasizm ukryte pod powierzchnią skandynawskiego raju. To celne spostrzeżenie, ale postawię tezę, że raczej wskazywanie na skutki, a nie na przyczyny. Skąd się biorą owe patologie? Rutynowa odpowiedź brzmi: No bo tak naprawdę Norwegowie, Szwedzi, Duńczycy są właśnie rasistami, nienawidzą kobiet, imigrantów itd. A przecież powinniśmy popatrzeć od innej strony.

WALKA Z SYSTEMEM

Tak jak odmienne są figury samotnego mściciela z amerykańskiego kryminału oraz urzędnika państwowego, którym jest policjant w nordic noir, tak i przyczyna korupcji, z którą walczy, jest inna. W klasyce amerykańskiego noir za sznurki pociągają bogaci i wpływowi, a gliniarze na ich usługach to po prostu pośledni wykonawcy poleceń, do kupienia tak samo, jak bogacz kupić może sobie dowolną przysługę dowolnego fachowca. W nordic noir często okazuje się, że to sam system: policja i politycy – jest największym zagrożeniem. Tom Waaler z powieści Jo Nesbø nie jest chłopcem na posyłki. Jest mózgiem operacji. W skandynawskich kryminałach jest takich figur dużo więcej. W cyklu o Harrym Hole'u na łamach jednej z powieści jego szef mówi wprost, że woli zapijaczonego detektywa, bo na efektywność systemu nie ma co liczyć.

Ten sam system, przypomnijmy, tłumi wolność wypowiedzi, decydując, co jest dozwolone wedle zasad poprawności politycznej, a co nie. Czy nie jest zatem przypadkiem tak, że owe patologie demaskowane przez Wallandera czy Hole'a wzrastają właśnie dlatego, że system nie potrafi się oczyszczać i korygować? A w dodatku poprzez długą listę tematów zakazanych tworzy dodatkową frustrację i napięcie? Frustracja zaś przybiera niekiedy formy ekstremalne. Takie spojrzenie na nordic noir tłumaczyłoby, dlaczego opowieści ze Skandynawii z tak wielkim entuzjazmem przyjęli czytelnicy z innych krajów Zachodu, gdzie narastała w tym samym czasie nieufność do polityków, sędziów, mediów, czyli do systemu. Reakcją na te patologie był wzrost zjawiska piętnowanego jako populizm, a będącego w istocie naturalną reakcją na fakt, że zwykły obywatel nie ma żadnego wpływu na to, jak się nim rządzi (czytaj: cenzuruje i wykorzystuje). Być może to jest najciekawsza lekcja ze zjawiska nordic noir.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2eeee85d49

Gombrowicz: błazen, wielki mąż



Grzegorz Kondrasiuk



FOT. TEATR IM. JULIUSZA OSTERWY W LUBLINIE

Gombrowicz – najważniejszy dla wielu polski pisarz i dramaturg XX w. – nie jest dziś wystawiany. Czy nie jest już ciekawy? Wyczerpał swoje moce? Aby zrozumieć, w czym rzecz, wystarczy popatrzeć na Janusza Palikota (niegdyś największego promotora spraw gombrowiczowskich) albo obejrzeć „Deprawatora" Macieja Wojtyszki, przeniesionego z warszawskiego Teatru Polskiego do Teatru Telewizji. Nie rozmawiamy już o dziele, nawet nie o losie pisarza (który też stał się dziełem, przywoływanym częściej niż jego książki), ale o ideologicznym konstrukcie, Gombrowiczu patronie wyzwolonych elit, wyprowadzającym nas z więzienia polskości. Spełnił się zatem scenariusz, którego pisarz bał się najbardziej: został zaklaskany, uzgodniony, oswojony. Przeczytany, a potem odłożony na zakurzoną półkę albo w najgorszym stylu skopiowany i skarykaturowany (jak z przypadku Palikota, wampira radykalnego liberalizmu, wysysającego soki ze swojego niegdysiejszego idola). Jak to często bywa, najbardziej artyście szkodzą jego najwięksi przyjaciele, którzy z jego imieniem na ustach puszą się i realizują własne cele.

Pewnie dlatego coraz mniej twórców teatralnych młodszego pokolenia sięga po teksty Gombrowicza. Tym mocniej zabrzmiał dawno niewystawiany „Trans-Atlantyk", właśnie pokazany w lubelskim Teatrze im. Osterwy przez Łukasza Witt-Michałowskiego. Jest to spektakl silny właśnie tymi słabościami recepcji oraz lekturą tekstu, skupioną i bez założeń. W „Dziennikach" pisarz publicystycznie i polemicznie rozwijał powieściowy koncept synczyzny, gromiąc swych emigracyjnych przeciwników. „Trans-Atlantyk" jest zazwyczaj czytany przez ten pryzmat, w poetyce maturalnego streszczenia, jako prosta satyra na polskość jako poromantyczną formację kulturową. Tymczasem spektakl Witt-Michałowskiego pokazuje powieść jako może największe dzieło Gombrowicza.

Witold (Jarosław Tomica) jest schwytany w pułapkę przeciwieństw: jedyny trzeźwy w pijanym świecie. Zresztą mówi o tym wprost cytatami, o których dziś nikt nie pamięta („wejść w Paryż z niewinną nonszalancją, jako konserwatysta-burzyciel, hreczkosiej-awangardzista, lewicowiec prawicowy, prawicowiec lewicowy" itd.). To „idę albo nie idę" Witolda nie jest pustym i zabawnym retorycznym zwrotem, ale wyznaniem radykalnego, rozpaczliwego nihilizmu. Nikt tu nie ma racji i nikomu nie chodzi o jakąkolwiek wartość, bo wszyscy są jednakowo ośmieszeni i zniewoleni przez własne przekonania. Walczy się tu, jak pamiętamy, o pięknego polskiego chłopca, Ignaca (Maciej Grubich). Nie bez przyczyny jest ustylizowany na rzeźbę, potraktowany jako czysty, niemal bezcielesny symbol, bo tak z całą mocą ujawnia się archetypiczna struktura ofiarnicza. Ignac nie jest w tej historii realnym podmiotem, trudno byłoby z niego uczynić dzisiejszego bohatera, młodość wyprowadzoną na światło z ciemnogrodu polskości. Może tylko zginąć z rąk własnego ojca, polskiego oficera (Włodzimierz Dyła), w pustym geście obrony zbrukanego honoru – albo zostać zgwałconym przez dekadenckiego Gonzala (Wojciech Rusin). Wszyscy jesteśmy opanowani czy wręcz obłąkani ideologiami: a u Gombrowicza są one tylko deklaratywne, ujawniają się jako parodia, w gadaniu i w działaniu, z którego wyparował dawny sens. Ratunkiem może być tylko świadomość, poczucie ostrego absurdu sytuacji. Tak czytam finał, w którym, z purnonsensowym wierszykiem na ustach Witold znika w zapadni, przywdziawszy wcześniej kaptur Stańczyka. Jeszcze jedna aktualizacja Wiecznego Błazna, ważnej, choć rzadko dostrzeganej figury polskości, ów „Błazen… Wielki mąż!" z „Wesela". Czy to jest mało? Za mało? Ale przynajmniej zmusza do pytania: Czy naprawdę nic innego nie mamy?

„Trans-Atlantyk" jest jednym z najlepszych spektakli lubelskiego teatru w ostatnich dekadach. Znikły naiwność, taniość i bylejakość, która nieraz rzucała się tu w oczy. Odnalazła się wreszcie, gdzieś zagubiona, umiejętność precyzyjnego panowania nad materią, skupionego zarówno na detalach, jak i na dużych znakach. Granie tak bardzo na serio, jak to się tylko w teatrach dramatycznych potrafi, zostało oprawione jak sztuczny diament w Witt-Michałowskiego styl prowadzenia aktorów, dowcipny, pastiszujący, leciutko naśmiewający się z siebie samego. Ale wszystko to byłoby tylko (i aż) sprawnym, mądrym teatrem – gdyby nie talent Jarosława Tomicy, wznoszącego to przedstawienie na inny poziom. Kafkowska świadomość utkwienia w pułapce – wszystko to jest w jego graniu, jednocześnie drapieżnym i łagodnym. To raporty ze szczytów rozpaczy, ale bez nachalnego, rozchełstanego użalania się nad sobą i światem. To postać jak wielki, nienapisany traktat. ©℗

WITOLD GOMBROWICZ, „TRANS-ATLANTYK" – TEATR IM. J. OSTERWY W LUBLINIE
REŻYSERIA: ŁUKASZ WITT-MICHAŁOWSKI
ADAPTACJA: JAROSŁAW CYMERMAN, ŁUKASZ WITT-MICHAŁOWSKI
PREMIERA: 18 KWIETNIA 2026 R.

eprasa.pl 2eeee85d49



Remigiusz Włast-Matuszak

Wężowisko „polskiej" kinematografii



Kadr z filmu „Putin" w reżyserii Patryka Vegi FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Podczas 15. Gali Węży w warszawskiej Kinotece salwy śmiechu „rozstrzelały" zarówno reżysera Patryka Vegę, jak i samego Władimira Putina

Na Gali Zakończenia 50. Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni w 2025 r. szef „naszej" kinematografii, wiceminister kultury i dziedzictwa narodowego Maciej Wróbel ze łzami w oczach i w autentycznym uniesieniu obiecał przedstawicielce Kobiet Filmu wprowadzenie w życie zasady „każdemu według potrzeb" (?!). „Co szkodzi obiecać?".

Przypomnijmy, że wiceminister Maciej Wróbel w 2022 r. wstąpił do Platformy Obywatelskiej, a w 2023 r. z jej listy został posłem na Sejm RP. Jego ostania praca to funkcja zastępcy szefa Wojewódzkiego Ośrodka Ruchu Drogowego w Olsztynie. Całkiem niedawno premier Donald Tusk mianował go „Jednym z Dziesięciu Ludzi", którzy mają poprowadzić Koalicję Obywatelską do zwycięskich wyborów w 2027 r. Ta platformerska „beatyfikacja" wiceministra Wróbla zbiegła się z podsumowaniem osiągnięć „naszej" i jego kinematografii w 2025 r.

Właśnie w warszawskiej Kinotece (w Pałacu Kultury i Nauki im. Józefa Stalina) odbyła się 15. Gala Węży – nagród przyznawanych za „najlepsze z najgorszych" filmów fabularnych popełnionych przez naszych „tfurców". Przypomnijmy, że w 2013 r. Wielkiego Węża i kilka mniejszych zdobył komediodramat pt. „Kac Wawa". Jego współproducentem był Radosław Śmigulski, późniejszy długoletni szef Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej. W 2018 r. Wielki Wąż przypadł niezapomnianemu „Botoksowi" Patryka Vegi, a w 2020 r. – „Futru z misia" Michała Milowicza.

W dużej, prawie pełnej sali w Kinotece (dawniej: kino Młoda Gwardia) zgromadziła się młoda publiczność (20–35 lat), która zaskoczyła mnie autentyczną spontanicznością, głośno wyrażanym poczuciem humoru i nieskrępowaną wymianą opinii, tak przeciwstawną do zachowań nadętej publiki z niedawnej Gali Polskich Orłów.

Wielkiego Węża i kilka małych gadów dostał reżyser Patryk Vega za film pt. „Putin", mający być psychologiczną biografią Władimira Putina. Dodatkowo zwykłego Węża zdobył za „Najbardziej żenującą scenę filmową roku" – epizod ukazujący małego Władimira w „zabrudzonej" (eufemizm) pieluszce. Salwy śmiechu „rozstrzelały" reżysera Vegę i samego Putina.

Wśród nominatów do Wielkiego Węża i małych Węży znalazły się filmy: „Pieprzyć Mickiewicza 2" (w drodze są spieprzony Mickiewicz 3 i 4), „Sami swoi. Początek", „Kogel Mogel 5" (czy będzie 6?) oraz „U Pana Boga w Królowym Moście" Jacka Bromskiego (po kolaudacyjnej projekcji w Wytwórni Filmów Dokumentalnych i Fabularnych dwaj pozostali kolaudanci uciekli z sali i samotnie ścierałem się z „podręcznymi" reżysera, który był prezesem Stowarzyszenia Filmowców Polskich).

Węża za rolę kobiecą zdobyła panna Wersow (Weronika Sowa), a nominatką była też Morgane Polański za główną rolę w filmie „Skarbek", nad którą pastwiłem się na łamach „Do Rzeczy" (nr 49/2025).

Ceniony aktor Tomasz Kot dostał Węża za najgorszą rolę męską, i to już drugi rok z rzędu, za udawanie postaci Filipa Golarza w „Akademii pana Kleksa".

Kubły wężowego jadu wylano na film pt. „Fritz & Wersow" (z udziałem wspomnianej panny Wersow), o którym usłyszałem po raz pierwszy. Kim są tytułowe postaci? Podobno jest to tańcząca i śpiewająca para przedstawicieli młodzieżowej popkultury Internetu.

Węże rozdano aż w 13 kategoriach. Doceniam pracę ok. 200 ekspertów z Popkulturowej Akademii Wszystkiego (PAW), ale czekam, gdy PAW odważy się przyznać Węże komuś z licznej rodziny Agnieszki Holland czy z „naszych" lewicowych Europejczyków.

W grudniu 2023 r. szefem „naszej" kinematografii został na chwilę były skarbnik Platformy Obywatelskiej Andrzej Wyrobiec, ale faktyczną szefową tej branży mianował Kamilę Dorbach pełniącą tę funkcję do naszych dni. O ile wiceminister Wróbel medialnie oświadczył, że film polski dostanie z publicznej kasy 300 mln zł (a więc o 150 mln zł mniej niż za dyktatury kaczyzmu), o tyle Kamila Dorbach w głośnym wywiadzie radośnie obwieściła, iż będzie mogła w 2026 r. rozdać aż 500 mln zł (!!!). Kto mija się z prawdą na sumę 200 mln zł? Ile faktycznie będzie na karmę dla Węży?

Węże za 2026 r. zapowiadają się niezwykle ciekawie. Na ekrany wejdzie zarówno kilka filmów o LGBT+, jak i kilka biografii „ludzi Okrągłego Stołu". Zachęcam kilkuset członków Gildii Reżyserów i Gildii Scenarzystów do realizacji biografii prof. Bronisława Geremka. Dekady mijają, a tu dziwna cisza, paniczne unikanie tematu, a przecież mogłyby powstać takie filmy jak „Młode lata Bronisława Geremka" czy „Geremek w Paryżu". Murowani kandydaci do Wężów. ©℗

eprasa.pl 2eeee85d49



FOT. MATERIAŁY PRASOWE



PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Fałszywi prorocy



★★★★★★
MINISERIA „ZAUFAJ MI: FAŁSZYWY PROROK” („TRUST ME: A FALSE PROPHET”) USA 2026, DOKUMENTALNY

Christine i jej mąż Tolga przeprowadzili się do Short Creek trochę z ciekawości i aby nakręcić ciekawy dokument. Miejsce było ubogie, ale fascynujące. Od lat osiedlali się tu wyznawcy fundamentalistycznego odłamu mormonów, którzy odrzucali zakaz wielożeństwa.

Kilka lat wcześniej w mediach głośno było o tej okolicy, to tu działał bowiem Warren Jeffs, samozwańczy prorok tej sekty, skazany potem na dożywocie za liczne przestępstwa, w tym gwałty na nieletnich. Christine i Tolga zaczęli zbieranie materiałów od ujęć w stylu „powrót do normalnego życia po katastrofie”. Szybko się okazało, że Jeffs, choć za kratami, wciąż rządził umysłami wielu wyznawców. Zakazał im zawierania małżeństw i płodzenia dzieci tak długo, jak jest „prześladowany przez władze federalne”.

Samuel Bateman, główny bohater czteroodcinkowej serii dokumentalnej „Zaufaj mi”, szybko zwietrzył swą szansę i wykorzystał tęsknotę miejscowych za normalnością – i za duchowym przewodnikiem. Sam ogłosił się prorokiem i był na tyle przekonujący, że owinął sobie wokół palca paru miejscowych biznesmenów. Zapanował nad umysłami i majątkami. A potem i nad rodzinami, gdy zaczął brać za kolejne żony ich siostry i córki. Także te, które miały lat 9 czy 11.

Filmowcy rejestrujący sceny z życia lokalnej społeczności odkryli nagle, że są częścią bardzo ponurej historii. Od tej chwili zaczęła się niebezpieczna gra. Oficjalnie nadal odgrywali prostodusznych sympatyków Batemana, zauroczonych jego osobowością i pomysłami na uzdrowienie całego świata (chciał zaprosić do siebie angielską królową). Potajemnie zaś, we współpracy z FBI, gromadzili na taśmie dowody, które miały posłać go za kraty.

Wiele było dokumentów o sektach, ale ten robi szczególnie mocne wrażenie, bo za sprawą kamery Christine i Tolgi trafiamy w sam środek świata chorego i zwyrodniałego, by ujrzeć absolutne posłuszeństwo pomieszane z uwielbieniem i perfekcyjną manipulacją. Nawet gdy Bateman został aresztowany i ujawniono skalę jego przestępstw (równie obrzydliwych jak jego poprzednika, Warrena Jeffsa), większość dziewcząt była przekonana, że ich idol, wysłannik Boga, padł ofiarą rządowego spisku. Anatomia przypadku, przestroga, demaskacja wiary opartej na dziwacznym kulcie jednostki – serial „Zaufaj mi” jest wszystkim tym naraz. ©℗

GRA TYGODNIA: „MOUSE: P.I. FOR HIRE”

Niech nikogo nie zwiedzie niewinna, ręcznie rysowana w czerni i bieli oprawa – „Mouse: P.I. for Hire” nie jest grą dla najmłodszych graczy. To strzelanka, w której leje się sporo krwi. Nasz protagonista to antropomorficzna mysz, detektyw John Mouston, który bez skrupułów bierze się do wyplenienia przestępczości z ponurego miasta. To polska gra ze świetnym stosunkiem ceny do jakości, świeża, wciągająca i dynamiczna. Do ograna w kilkanaście godzin. ©℗



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

★★★★★★

Radosław Wojtas

- ***Gatunek:*** ***FPS***
- ***Platforma:*** ***PS5, PS4, XSX, XONE, NS, PC***
- ***Producent, wydawca:*** ***Fumi Games, PlaySide***

eprasa.pl 2eeee85d49

Zemsta koguta

KINO



★★★☆☆☆

REŻ. HLYNUR PÁLMASON
„MIŁOŚĆ, KTÓRA ZOSTAJE" („ÁSTIN SEM EFTIR ER")
ISLANDIA 2026

wyst. Saga Garðarsdóttir, Sverrir Guðnason, Ída Mekkín Hlynsdóttir

Polacy mówią: „jakoś to będzie". Islandczycy preferują zwrot „wszystko się ułoży". Różnicę dobrze ilustruje nowy film Hlynura Pálmasona, ponoć najbardziej optymistyczny w dorobku reżysera. Jest tu kilka scen zabawnych, np. monolog szwedzkiego hedonisty o pozytywnym wpływie wina na organizm. Cała reszta to jednak psychodrama, wyzuta z nadziei na lepszą przyszłość. Popularność nordyckich kinematografii to fenomen godny pracy doktorskiej, a może nawet habilitacyjnej. Ludzie żyją tam w odosobnieniu i w ekstremalnych okolicznościach przyrody. Częściej niż słońce podziwiają zorzę polarną.

Za największych dziwaków uchodzą Islandczycy, co – jak się zdaje – wynika z faktu, że często są ze sobą spokrewnieni. Krytycy łakną oryginalności niczym kania dżdżu, dla nich „Miłość, która zostaje" jest zasługującym na Oscara, skończonym arcydziełem. Niestety, co dla jednego jest czystą poezją, dla drugiego będzie pozbawionym werwy banałem. Takie filmy należy kontemplować. Wtedy seans się nie dłuży, łatwiej też zauważyć surrealistyczne ciągoty Pálmasona. Główny bohater zabija koguta i jest mu z tym źle. Oprócz koszmarów ma troje dzieci. Z żoną się rozstał, ale chętnie by wrócił – przynajmniej do jej łóżka. Niestety, eks jest nieugięta. Magnus to rybak, spędza większość czasu na morzu. Ida opiekuje się gospodarstwem, potomstwem oraz psem o imieniu Panda. Jest artystką nowoczesną. Zamiast rzeźbić lub malować, tnie blachę. Ostateczny kształt dzieła współtworzy natura, a ściślej rzecz biorąc – korozja. Od czasów Ibsena, Muncha i Kjarvala wiadomo, że ludzie północy kochają symbolizm. Pálmason również sobie nie żałuje. Kogut to oczywiście symbol męskości, rdza – postępującego rozkładu rodziny. Tropienie innych ukrytych znaczeń zostawiam psychoanalitykom.

À propos tych ostatnich: Woody Allen na starość zasłynął z romantycznych komedii, opiewających uroki miast, które dołożyły mu się do produkcji. Islandia takich dealów zawierać nie musi. Turyści łaknący apokaliptycznych krajobrazów przybędą, nawet jeśli przegapili „Sztandar chwały", „Interstellar", „Sekretne życie Waltera Mitty", „Śmierć nadejdzie jutro" i serial „Katla". ©℗

Wiesław Chełminiak

REHABILITACJA TĘCZY

Niby nic nowego, ale za serce łapie. Samowolna wyprawa do epoki dinozaurów kończy się przedwcześnie, bo w roku 2075. Mimo technologicznego skoku świat ugrzązł w kryzysie. Klimat szaleje, dzieci wychowuje się zdalnie (właściwie nie wiadomo dlaczego, gdyż prawie całą robotę odwala za ludzi sztuczna inteligencja w łatwym do zaakceptowania, antropomorficznym kształcie). Pechowy podróżnik w czasie ingerować nie chce i nie może. Sam potrzebuje pomocy. Futurystyczny entourage to ściema. Twórcom filmu chodzi wszak o współczesność. Proekologiczny i prorodzinny przekaz demaskuje „Arco" jako typową animację z początków XXI w. adresowaną nie tylko do 10-latków, ponieważ nawet dorosły dla zdrowia psychicznego co jakiś czas powinien zaaplikować sobie fabułę, która obywa się bez truposzy, seksu i wrednych postaci. ©℗



★★★★☆☆

REŻ. UGO BIENVENU
„ARCO"
FRANCJA/USA 2025

KINO



RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Gotyk w Karpatach

Około stu obrazów i rzeźb z dziewięciu krajów sprowadzono na wystawę „Gotyk w Karpatach", która „jest pierwszą próbą łącznego przedstawienia sztuki schyłku średniowiecza we wszystkich krajach regionu". Uzupełniają je zdjęcia dokumentujące to, co nieprzenośne – malowidła ścienne, rzeźba architektoniczna.

„Pokazujemy Karpaty – piszą organizatorzy – jako obszar artystyczny o utrzymanej ciągłości rozwoju, gdzie jedne dzieła sztuki dawały początek kolejnym. Po obu stronach gór działały bowiem te same warsztaty, obrazy i rzeźby przesyłane były w obu kierunkach, podobnie jak przenikały się tu tendencje w sztuce". Wśród eksponatów m.in. rzeźba Wita Stwosza Młodszego (syna tego Wita Stwosza) – monumentalna figura Jana Chrzciciela, jedna z najdoskonalszych rzeźb Mistrza Pawła z Lewoczy – Chrystus Frasobliwy z katedry preszowskiej – czy słynny Krucyfiks Siedmiogrodzki sprowadzony z kościoła Franciszkanów w Wiedniu. ©℗



FOT. KAROL KOWALIK /MNK

GDZIE? ***Muzeum Narodowe w Krakowie***
KIEDY? ***do 9 sierpnia***

eprasa.pl 2eeee85d49

MOJA PÓŁKA

Mój jest ten kawałek podłogi



KRZYSZTOF MASŁOŃ

Rodzina ma bardziej fundamentalne znaczenie w planie metafizycznym niż w jakimkolwiek innym. Jest to jednocześnie ten kawałek świata, z którego nic nie jest w stanie nas wyzuć – powiedział mi kiedyś w wywiadzie Wiesław Myśliwski. – Tylko śmierć może to uczynić, chociaż i to nie jest takie pewne".

Taki właśnie kawałek świata, swój kawałek podłogi, przedstawiła Anna Nasiłowska w książce „Węzeł rodzinny". A kawałek to bardzo złożony, bo wszystkiego krótka wzmianka w herbarzu „Nasiłowski, herbu Półkozic" nie wyjaśnia. A w gruncie rzeczy nie wyjaśnia niczego, biorąc pod uwagę przesuwający się w trakcie lektury przed oczami czytelnika kalejdoskop polsko-rusko-tatarski, w którym zdarzają się i żydowskie odniesienia. Szlacheckość ma wprawdzie swą moc, ale – powiada autorka – „dziwi mnie bardzo, gdy ktoś interpretację współczesnych polskich problemów opiera na historycznych rodowodach, a wizję szlachty na tym, że uciskała chłopów, więc potomkowie chłopów teraz czują się ofiarami i okrutnie cierpią, gdyż ich historyczne krzywdy nie zostały wynagrodzone, a szlachta tymczasem wciąż się panoszy i dominuje w kulturze. To znacznie bardziej skomplikowane i pomija wiek XIX, gdy wszystkie klasowe mitologie straciły realne oparcie. A dzisiejsze hasło »Szlachta nie pracuje«, które rzucił na Facebooku jakiś bęcwał, to już w ogóle szczyt obskurantyzmu i ignorancji. Ładnie by na tym ta szlachta wyszła, podobnie jak chłop, co to ponoć śpi, a mu samo rośnie!

Herb brzmi dumnie, ale gdy będzie zimno i głodno, nie da się nim przykryć jak pierzyną, nie nakarmi się nim dzieci i nie wyciśnie się zeń ni kropli mleka…".

Przywiązanie do miejsca też jest względne. Jeszcze ojciec namawiał pisarkę, gdy planowała wyjazd wakacyjny: „– Podlasie! Tam jedźcie! Tam jest tak pięknie…". Ale własnych wspomnień stamtąd już nie miała.

Anna Nasiłowska jest na wskroś warszawska: urodzona na Mokotowie, wychowana na Saskiej Kępie, związana z Wolą, a w jakiejś mierze i z Muranowem przez starych (bardzo) Warszawiaków zwanym czasem Murdzielem. „Dziś trudno zrozumieć reguły życia w dzielnicy, która nie była gettem. Powiedziałam znamienitej pisarce, zajmującej się Zagładą, że mój dziadek mieszkał przed wojną na Gęsiej i był tam szewcem.

– Po co tam? Żeby robić Żydom konkurencję? – zareagowała niechętnie, patrząc mi bezlitośnie w oczy. Jej oczy mówiły: »ty nie z naszych«. Racja. Nie oszukam, widać po mnie podlaski zaścianek.

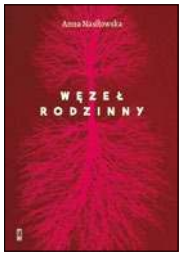
Ale zabolało. Ona pochodzi z inteligencji, takiej, co nie chodziła Gęsią, Krochmalną ani Nalewkami. Wstydziliby się szwargotu, geszeftów, zapachu kleju, czarnych chałatów, kobiet w perukach. Żydzi z dzielnicy widać uważali inaczej, że przyda im się Lucjan Nasiłowski, więc swojak, nasz… Status materialny – ten sam, te same sposoby radzenia sobie, aby wykarmić rodzinę. Pochodzenie, religia? – nie musiały dzielić. Liczyły się konkrety: narzędzia, umiejętności, współpraca, pary butów".

W książce Nasiłowskiej przegląda się plan dawnej stolicy, tej samej, a przecież innej. „Być może jestem po prostu pół bezdomna, umiejscowiona tymczasowo, choć w miarę stabilnie, pod kolejnym z warszawskich adresów. Mam tylko fikcyjne odniesienia wobec pustki przy Gęsiej, wyrwy przy Tyszkiewicza, dziury w ziemi w Rawie i miejsc na Podlasiu, których nawet nie potrafię rozpoznać, bo gdy się urodziłam, więzy były już zerwane".

Ale – tu wracam do Wiesława Myśliwskiego – z rodziny nic nie jest w stanie nas wyzuć. I dlatego Anna Nasiłowska żmudnie usiłuje odtworzyć losy swej familii, co nie zawsze jest możliwe, pozostaje więc otwarta, skazana na domysły, jakaś część tej, było nie było, kroniki rodzinnej. Wyjątkowej, bo wyjątkowe jest życie każdego z nas. Nawet najzwyklejsza biografia, byle dobrze opowiedziana, potrafi wręcz zafascynować. A „Węzeł rodzinny" opowiedziany jest wybornie.

Ma ta książka swój oczywisty, osobisty wymiar, „w gruncie rzeczy jest ona – czytamy – pożegnaniem rodziców […]". Ta poszlachecka, jak wtedy mawiano, inteligencja pracująca, na skromny kawałek chleba zarabiała w pocie czoła. Matka pisarki np. po studiach, których sama nie wybrała, ale innych z racji niewłaściwego pochodzenia nie mogła podjąć, „nie praktykowała zootechniki, […] w roku 1961, dostała pracę w zasadniczej szkole dla rolników w miejscowości Kuflew. Wstawała jak jej matka, o piątej. Z Saskiej Kępy jechała tramwajem na dworzec, potem pociąg do Mińska Mazowieckiego, gdzie przesiadała się w kolejny, do Cegłowa. W szopie przy stacji wynajmowała miejsce na rower i stamtąd pół godziny pedałowania do Kuflewa […]. Pracowała bez wytchnienia, czasami miałam wrażenie, że w ten sposób chce się za coś ukarać".

Różne są epitafia. To jest zupełnie nadzwyczajne, bo prawdziwe. A wbrew temu, co utrzymuje Anna Nasiłowska, Józef Mackiewicz miał rację: tak naprawdę jedynie prawda jest ciekawa. ©℗



★★★★★★

ANNA NASIŁOWSKA „WĘZEŁ RODZINNY" PIW, WARSZAWA 2026

eprasa.pl 2eeee85d49



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

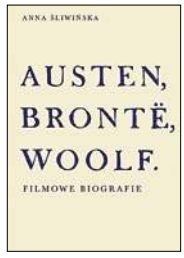
Nieuchwytne

Morał tej książki jest oczywisty: kto szuka prawdy w filmach, ten jej nie znajdzie (chyba że mówimy o prawdzie emocji, ale akurat w tym przypadku sprawa jest inna). Jednak nie morał jest tu najważniejszy, ale droga, którą ku niemu zmierzamy. Anna Śliwińska przygląda się temu, jak wyobraźnia scenarzystów i obsadowe decyzje reżyserów budowały w masowej świadomości wizerunek Jane Austen, sióstr Brontë i Virginii Woolf. W tym celu ogląda raz jeszcze i analizuje – oraz konfrontuje ze źródłami historycznymi – 10 produkcji filmowych i telewizyjnych z różnych epok.

Mamy tu filmy zapomniane, jak „Devotion" (1946), w którym Ida Lupino zagrała Emily Brontë, a Olivia de Havilland – Charlottę Brontë. Mamy głośny hit, który przyniósł Nicole Kidman za rolę Virginii Woolf, czyli „Godziny" (2002). A także dwa mało znane w Polsce seriale: „The Brontës of Haworth" (1973), tradycyjną opowieść biograficzną oraz „Life In Squares" (2015) bardziej o całej grupie literackiej Bloomsbury niż tylko o losach Virginii Woolf. Nie idzie jednak o to, by się tytułami przerzucać, lecz by zadać pytanie: Tak było na ekranie, a jak było naprawdę?

Oczywiście zazwyczaj zupełnie inaczej, ale też rozmaitym filmowcom przyświecały różne cele. Jeremy Lovering w filmie „Jane Austen żałuje" (2008) pokazuje autorkę „Dumy i uprzedzenia" jako zdecydowanie bardziej rozważną niż romantyczną. Sally Wainwright w „To Walk Invisible: The Brontë Sisters" przefajnowała wizerunek sióstr piszących – kosztem wizerunku otaczających je mężczyzn. Filmy, jak wiadomo nie od dziś, są nie tylko po to, by bawić – są także po coś. I w zależności od tego, kto jaki wywód chce przeprowadzić, takie ścieżki swym bohaterkom wyznacza.

Książka Anny Śliwińskiej, demaskując rozmaite ekranowe nieprawdy i grube przesady – oraz podpowiadając klucze interpretacyjne, z którymi nie zawsze musimy się zgadzać – pokazuje nie tylko, do jakiego stopnia filmy mijają się z rzeczywistością, lecz także w jak dużym stopniu wpłynęły na meblowanie naszych głów. Łapałem się często podczas lektury na własnej podatności na efektowne łgarstwa: ileż pewników, które przyjmowałem za oczywiste, okazywało się kreacją scenarzystów. Kino jest snem i śnimy w nim cudze sny. Kłopot zaczyna się, gdy śnimy cudze nieprawdy, biorąc je za fakty. ©℗



★★★★★★

ANNA ŚLIWIŃSKA „AUSTEN, BRONTË, WOOLF. FILMOWE BIOGRAFIE"
SŁOWO/OBRAZ TERYTORIA 2026

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Jak głosi podtytuł „Geopolityczna walka z Zachodem", ale w bardzo szerokim ujęciu – od przeglądu cywilizacji antychrześcijańskich po listę metod i celów stosowanych przez wrogów Zachodu współcześnie.



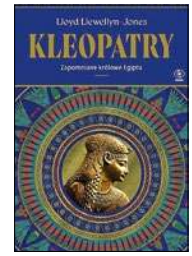
MARIUSZ PASZKO „SIEDEM GŁÓW ANTYCHRYSTA" WYDAWNICTWO AA

Po długiej przerwie wreszcie wznowiony słynny esej węgierskiego eseisty i filozofa: wbrew pozorom nie jest to traktat pijacki, lecz pochwała życia w zgodzie z wolą Bożą, z wyrokami Opatrzności i w prawdziwej wolności.



BÉLA HAMVAS „FILOZOFIA WINA" WYSOKI ZAMEK

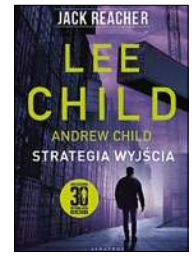
Było ich siedem, wszystkie o tym samym imieniu: rządziły Egiptem, nim ten został podbity przez Rzymian. Kleopatra, którą pamiętamy jako kochankę Juliusza Cezara, była ostatnią z nich. Oto barwne dzieje poprzednich.



LLOYD LLEWELLYN-JONES „KLEOPATRY" REBIS

Przygód Jacka Reachera tom 30.: od Baltimore po Armenię. Handlarze bronią, szantaż, sprawiedliwość wymierzana na własną rękę. A zaczyna się od kartki wsuniętej w kieszeń Reachera podczas koncertu bluesowego.

recenzuje Piotr Gociek



LEE CHILD, ANDREW CHILD „STRATEGIA WYJŚCIA" ALBATROS

KOMIKS TYGODNIA: ŚLADAMI DÄNIKENA

Klasyka polskiego komiksu powstała na niemieckie zamówienie (lata 1978–1982). Inspirowana była niesłychanie popularnymi wówczas książkami Ericha von Dänikena, wedle którego przybysze z Kosmosu odwiedzili Ziemię przed tysiącami lat i przyspieszyli rozwój naszej cywilizacji. Scenariusze naiwne, ale robota rysownika, Bogusława Polcha – pierwsza klasa.

Piotr Gociek



AUTORZY RÓŻNI „EKSPEDYCJA – BOGOWIE Z KOSMOSU" PRÓSZYŃSKI I S-KA 2026

eprasa.pl 2eeee85d49



Michał Krupa

Przekaz Donalda Trumpa jest jednoznaczny: gdy Stany Zjednoczone stanęły przed bezpośrednim zagrożeniem własnych interesów i interesów swoich partnerów z Zatoki Perskiej, pakt zbiorowej obrony okazał się nic niewart



Prezydent USA Donald Trump, sekretarz obrony USA Pete Hegseth oraz sekretarz stanu USA Marco Rubio na konferencji prasowej podczas szczytu NATO w Hadze, 25 czerwca 2025 r.

FOT. PIROSCHKA VAN DE WOUW/REUTERS/FORUM

Czy można jeszcze liczyć na USA?

Wojna z Iranem, rozpoczęta 28 lutego 2026 r. wspólnymi uderzeniami amerykańsko-izraelskimi, które doprowadziły do zabicia Najwyższego Przywódcy Alego Chamenei, weszła w fazę kruchego rozejmu. 21 kwietnia br. Donald Trump ogłosił przedłużenie dwutygodniowego zawieszenia broni. Trwa amerykańska blokada morska irańskich portów, a Teheran wciąż grozi zakłóceniami żeglugi w cieśninie Ormuz. Dla Polski, oddalonej o tysiące kilometrów, ten konflikt, wbrew pozorom, nie jest odległym epizodem. Szoki energetyczne już podniosły ceny paliw w Polsce w ciągu sześciu tygodni, obciążając budżety gospodarstw domowych i spowalniając produkcję w kluczowych branżach, takich jak motoryzacja i chemia. Przy przedłużającym się konflikcie analitycy przewidują jeszcze większe spowolnienie w energochłonnych sektorach, takich jak hutnictwo czy budownictwo.

Jednak obecna wojna obnaża również szerszy obraz strategiczny, czyli, jak nigdy dotąd, strukturalne słabości architektury bezpieczeństwa transatlantyckiego, na której Warszawa opiera swoją egzystencję i przyszłość od czasu przystąpienia do NATO w 1999 r., a które swoją retoryką Donald Trump uwypukla coraz bardziej.

Głębsze i strategiczne znaczenie tego konfliktu dla Polski tkwi w trzech powiązanych ze sobą elementach: wyraźnym odcięciu się Donalda Trumpa od NATO, które nazwał „bezużytecznym" w kontekście kryzysu w cieśninie Ormuz, obnażeniu amerykańskich baz w Zatoce Perskiej jako raczej obciążenia niż ochrony oraz rażących sprzecznościach wewnątrz sojuszy, dotyczących m.in. jego relacji z Izraelem. Te wydarzenia nie tylko testują lojalność Polski, lecz także powinny wymusić krytyczną rewizję stosunku do NATO, którego nietykalność zdaje się być jednym z dogmatów III RP.

SOJUSZNICY NIE ZAREAGOWALI

W ciągu ostatnich dwóch tygodni prezydent Trump wielokrotnie i publicznie atakował NATO za reakcję na kryzys w cieśninie Ormuz. Gdy sojusz w końcu zaoferował pomoc morską po tygodniach irańskiego minowania, ataków na statki i niemal całkowitego zamknięcia cieśniny, przez którą płynie ok. 20 proc. światowej ropy i skroplonego gazu ziemnego, Trump odrzucił ten gest wprost. „Byli absolutnie bezużyteczni, kiedy ich potrzebowaliśmy" – oświadczył. I dodał: „Ale tak naprawdę to my ich nigdy nie potrzebowaliśmy. To oni potrzebowali nas". Nazwał NATO „papierowym tygrysem" i radził formalnym sojusznikom, by „trzymali się z daleka", chyba że chcą po prostu „załadować swoje statki ropą".

W przemówieniach i wywiadach ostrzegał, że brak wcześniejszej pomocy w zabezpieczeniu cieśniny oznacza „bardzo złą przyszłość" dla sojuszu, dodając, że europejskie państwa „jeździły na grzbiecie amerykańskiego podatnika przez dekady", wnosząc „prawie nic" realnej siły bojowej. Słowa Trumpa nawiązują do jego wieloletnich narzekań na nierówny podział obciążeń, ale moment, w którym prezydent USA zdecydował się wyrazić swoją frustrację, w środku wojny, przy gwałtownym wzroście cen energii i poważnych kłopotach europejskich gospodarek, brzmi w warszawskich salonach zupełnie inaczej. Tym bardziej że same regulacje NATO wyjaśniają, dlaczego sojusznicy nie zareagowali tak, jak oczekiwał tego Trump.

Zgodnie z traktatem sojuszniczym „zbrojny atak na jednego członka NATO należy uważać za atak na wszystkich członków". Ponieważ Iran nie zaatakował Stanów Zjednoczonych, państwa członkowskie NATO nie są zobowiązane do udzielenia pomocy. Należy jednocześnie zaznaczyć, że krytyka NATO nie jest niczym nowym w USA. Już w 1949 r. senator Robert Taft przestrzegał, że „tylko Kongres ma prawo wypowiedzieć wojnę", natomiast „zgodnie z nowym paktem prezydent może wciągnąć nas w wojnę bez zgody Kongresu". Generał Dwight D. Eisenhower, późniejszy prezydent Stanów

eprasa.pl 2eeee85d49

Zjednoczonych, również wypowiadał się krytycznie na temat stałej obecności amerykańskich sił zbrojnych w Europie. Pełniąc funkcję pierwszego Naczelnego Dowódcy Sił Sojuszniczych w Europie w latach 1951–1952, stwierdził: „Jeśli za 10 lat wszystkie amerykańskie oddziały stacjonujące w Europie w celach obrony narodowej nie wrócą do Stanów Zjednoczonych, to cały ten projekt [NATO] należy uznać za nieudany".

Jak twierdzi Justin Logan z CATO Institute: „Nie istnieje żaden dobry powód, dla którego Stany Zjednoczone miałyby w XXI w. pełnić funkcję centralnego filaru bezpieczeństwa Europy". Jego zdaniem sceptycyzm Trumpa w kontekście irańskim może przynieść pozytywne skutki: „Trump powinien systematycznie podważać amerykańskie zobowiązania wobec NATO. Jego obecny gniew na europejskich sojuszników jest nieuzasadniony, ale ogólna tendencja do dystansowania się USA od sojuszu jest bardzo przydatna – działa jak bodziec, który skłania Europę do zmniejszenia swojej zależności od Stanów Zjednoczonych". Ta perspektywa zyskuje poparcie także w korytarzach Kongresu. Konserwatywny senator Mike Lee wezwał do „całkowitego wycofania się Stanów Zjednoczonych z NATO", argumentując, że po rozpadzie Związku Sowieckiego i Układu Warszawskiego „NATO odegrało swoją rolę". Członkostwo w sojuszu „nie służy już interesom USA" – dodał. Senator Rand Paul z Kentucky napisał niedawno na X: „Prezydent Trump ma rację, poważnie rozważając wyjście z NATO. Popieram konstytucyjną władzę prezydenta wynikającą z Artykułu II, która pozwala mu wycofać się z dowolnego traktatu – w tym z NATO – bez potrzeby uzyskania zgody Senatu".

Polska, jeden z liderów NATO pod względem wydatków na obronę (przekraczająca 2 proc. PKB i dążąca do 4 proc.), od dawna pozycjonuje się jako najbardziej wiarygodny europejski partner Stanów Zjednoczonych, inwestując miliardy w amerykańskie systemy uzbrojenia i goszcząc siły rotacyjne. Przekaz Trumpa jest jednak jednoznaczny: gdy Stany Zjednoczone stanęły przed bezpośrednim zagrożeniem własnych interesów i interesów swoich partnerów z Zatoki Perskiej, pakt zbiorowej obrony okazał się nic niewart. Dla polskich strategów rodzi to niewygodne pytanie dotyczące art. 5. Jeśli NATO nie było w stanie znacząco się zmobilizować w obronie kluczowego punktu światowego handlu, to jaką pewność może mieć Warszawa, że sojusz szybko przyjdzie z pomocą w razie zagrożenia przesmyku suwalskiego czy bezpieczeństwa państw bałtyckich ze strony takiego przeciwnika jak Rosja?

Polscy decydenci już odczuli skutki. Premier Donald Tusk wykluczył wysyłanie wojsk czy baterii Patriot na Bliski Wschód, wskazując na rosyjskie zagrożenie jako absolutny priorytet. Minister obrony Władysław Kosiniak-Kamysz ostrzegał przed nieuniknionymi opóźnieniami w dostawach amerykańskiej broni do Europy, ponieważ amerykański przemysł musi najpierw uzupełnić zapasy zużyte podczas kampanii irańskiej. Obecna wojna skłania jednak do niewygodnej, aczkolwiek samonarzucającej się konkluzji: „transatlantycka solidarność" ma charakter transakcyjny, a nie automatyczny. Innymi słowy, Wuj Sam wznieca pożar, a następnie wzywa swoich wasali do pomocy w gaszeniu ognia. Najnowszy sondaż Instytutu Badań Pollster, przeprowadzony na zlecenie Portalu Obronnego, przynosi jednoznaczne wnioski na temat nastrojów społecznych w Polsce. Aż 76 proc. ankietowanych uważa, że Polska powinna przygotowywać się na scenariusz, w którym Stany Zjednoczone znacząco ograniczą swoje zobowiązania wobec NATO.

BRUTALNA LEKCJA

Wielu Polaków zaczyna kwestionować, czy amerykańskie przywództwo w razie równoczesnego kryzysu z udziałem Rosji i Chin postawi bezpieczeństwo Europy na pierwszym miejscu.

Wojna dostarczyła jeszcze bardziej dobitnego dowodu na ograniczenia amerykańskiego parasola ochronnego: losu amerykańskich baz na terenie państw Rady Współpracy Zatoki Perskiej (GCC). Co najmniej kilkanaście amerykańskich obiektów, w tym kluczowe instalacje w Bahrajnie, gdzie stacjonuje Piąta Flota USA, zostało poważnie uszkodzonych w pierwszych tygodniach przez irańskie salwy rakietowe i roje dronów. Eksperci opisują całą architekturę amerykańskiej obecności wysuniętej do przodu jako „bezużyteczną", „obciążenie" i „magnes dla ataków", a nie środek odstraszający. Bazy, które kiedyś były symbolami dominacji, zmusiły amerykański personel do przeniesienia się do hoteli i tymczasowych biur. Niektórzy analitycy uważają pełny powrót do Bahrajnu za wysoce nieprawdopodobny. Ta sytuacja ma bezpośrednie znaczenie dla Polski, ponieważ na naszym terytorium znajdują się znaczące amerykańskie siły rotacyjne, składy sprzętu oraz wyrzutnia Aegis Ashore w Redzikowie. Jeśli nawet silnie ufortyfikowane bazy GCC, położone w przyjaznych, bogatych w ropę autokracjach bezpośrednio zainteresowanych konfliktem, mogły zostać w ciągu zaledwie kilku tygodni praktycznie wyłączone z walki, to co to oznacza dla baz w Polsce, stojących naprzeciw nuklearnej Rosji?

Lekcja jest brutalna: fizyczna obecność amerykańska nie gwarantuje nietykalności w obliczu zdeterminowanego i egzystencjalnie zagrożonego wroga.

Obiekty takie jak ogromny hub logistyczny w bazie lotniczej Powidz, zdolny do obsługi ciężkich samolotów transportowych i przechowywania sprzętu dla całej amerykańskiej brygady pancernej, baza lotnicza w Łasku przystosowana do F-35, centrum szkolenia sił specjalnych w Drawsku Pomorskim oraz składy sprzętu w Żaganiu i innych miejscach stanowią skoncentrowane punkty wrażliwości. Jest sprawą oczywistą, że w konflikcie wysokiej intensywności rosyjskie pociski hipersoniczne i roje dronów mogłyby sparaliżować te obiekty w ciągu godzin, powodując nie tylko straty wojskowe, lecz także rozległe szkody uboczne w polskiej infrastrukturze cywilnej – lotniskach, sieciach kolejowych i okolicznych miastach. W przeciwieństwie do scenariusza z Zatoki Perskiej, gdzie siły USA miały pewne możliwości rozproszenia i wsparcie gospodarza w ewakuacji, polskie bazy są głęboko wtopione w terytorium kraju. Jakikolwiek rosyjski atak stałby się bezpośrednim uderzeniem w polską suwerenność i mógłby uruchomić art. 5, który, w najgorszym możliwym momencie, wcale nie musiałby przecież zostać zastosowany. Ten precedens pokazuje wyraźnie, że goszcząc amerykańskie aktywa militarne, kraj nie zyskuje tarczy ochronnej – wręcz przeciwnie, staje wyżej na liście celów przeciwnika. Koszty odbudowy lub relokacji takich baz po konflikcie, szacowane na miliardy dolarów tylko w przypadku GCC, budzą dodatkowe pytania

eprasa.pl 2eeee85d49

o długoterminową opłacalność polskich umów bazowych, zwłaszcza w obliczu rosnącej presji budżetowej USA po wojnie z Iranem i coraz większego dystansowania się Waszyngtonu od Europy.

Bezpieczeństwo Polski ostatecznie zależy od własnych zdolności i zdywersyfikowanych partnerstw, a nie od trwałości obcych flag na swojej ziemi. Słowa prof. Bronisława Łagowskiego z roku 2015 nie straciły na aktualności: „Bazy wojskowe obcego, potężnego mocarstwa, niezależnie od tego, czy zostały nam narzucone czy sprowadzone na nasze usilne prośby, nie są dowodem naszej niepodległości. Przeciwnie, w tym wypadku świadczą, że na niepodległość nas nie stać".

Kolejna linia pęknięcia pojawiła się w samym Izraelu. Były premier Naftali Bennett otwarcie nazwał Turcję „nowym Iranem", tj. strategicznym zagrożeniem, z którym Izrael musi się zmierzyć „równocześnie" z Teheranem.

Otóż Turcja jest członkiem NATO. A jednak kluczowy członek izraelskiego establishmentu politycznego (i być może przyszły premier) wskazuje właśnie członka NATO jako następny cel. To burzy prostą narrację „Zachód kontra radykalny islam", która uzasadniała polskie zbliżenie zarówno z Waszyngtonem, jak i Jerozolimą, bardzo popularne w kręgach polskich neokonserwatystów, szczególnie tych związanych z PiS. Jeśli Izrael zaczyna postrzegać Ankarę jako zagrożenie egzystencjalne, to co to oznacza dla zobowiązań NATO z art. 5 lub dla polsko-tureckiej współpracy wojskowej, w tym zakupów tureckich dronów i wspólnych projektów obronnych?

Najświeższy – i symbolicznie najmocniejszy – przykład tych napięć rozegrał się na żywo w ciągu ostatnich kilku dni. Opublikowane w mediach społecznościowych w połowie kwietnia zdjęcie pokazało żołnierza izraelskich sił obronnych w południowym Libanie, jak młotem kowalskim rozbija głowę figury Jezusa na krzyżu w chrześcijańskiej wiosce Debel. Minister spraw zagranicznych Radosław Sikorski początkowo pochwalił szefa izraelskiej dyplomacji Gideona Sa'ara za szybkie przeprosiny, nazywając to „dobrym" sygnałem uznania odpowiedzialności. Poszedł jednak dalej: żołnierz „musi zostać ukarany", a „wnioski powinny zostać wyciągnięte" co do szkolenia i kultury wewnętrznej Sił Obronnych Izraela. Dodał stanowczo, że „żołnierze IDF sami przyznają się do zbrodni wojennych".

Sa'ar natychmiast oskarżył Sikorskiego o „nieodpowiedzialne wypowiedzi" i błędną interpretację swoich słów. Wymiana zdań szybko przerodziła się w publiczną dyplomatyczną kłótnię. Amerykański ambasador w Izraelu Mike Huckabee zdecydowanie opowiedział się po stronie izraelskiej. Potępiając „oburzające" zbezczeszczenie i wzywając do „szybkiej, surowej i publicznej" kary, podkreślił jednocześnie, że incydent „nie oddaje właściwie stanowiska ani IDF, ani Izraela, ani izraelskiego rządu", następnie chwaląc ostrą odpowiedź dla Sikorskiego ze strony Sa'ara. Paradoks pogłębił amerykański ambasador w Polsce Tom Rose, który retweetował tę pochwałę Huckabee'ego dla szefa izraelskiego MSZ, dając Warszawie jasny sygnał, że przedstawiciele Waszyngtonu priorytetowo traktują narrację Jerozolimy ponad moralne stanowisko formalnie kluczowego sojusznika NATO, który przeważnie jest nieustannie chwalony przez Rose'a. Stanowisko Sikorskiego, spotykające się z reprymendą zarówno z Jerozolimy, jak i ze strony przedstawicieli Waszyngtonu, ujawnia kruchość „partnerstwa opartego na wartościach", o którym tak często się mówi.

Goszcząc amerykańskie aktywa militarne, Polska nie zyskuje tarczy ochronnej – wręcz przeciwnie, staje wyżej na liście celów przeciwnika

Wszystkie te wydarzenia razem malują wyraźny, aczkolwiek niepokojący obraz.

Wojna z Iranem nie wzmocniła NATO, obnażyła jego wybiórczą użyteczność, co było zresztą ogólną trajektorią sojuszu po 1989 r. Donald Trump jedynie obnażył tę mistyfikację. Amerykańskie bazy, uważane dotychczas za polską polisę ubezpieczeniową i będące przedmiotem ponadpartyjnego konsensusu, okazały się podatne na atak nawet na przyjaznych teatrach umiejscowienia. W tym samym czasie izraelska retoryka wskazuje członka NATO jako kolejne zagrożenie. A drobny, lecz bardzo wyrazisty incydent medialny pokazał, jak szybko pęka sojusznicza solidarność, gdy polskie wartości zderzają się z działaniami Izraela i amerykańskimi priorytetami politycznymi.

WŁASNE ZDOLNOŚCI ZAMIAST CUDZYCH PARASOLI

Wojna z Iranem wymaga intelektualnej uczciwości: poleganie na amerykańskich bazach i bezalternatywnym postrzeganiu NATO przynosi coraz mniejsze korzyści. Sojusze należy traktować jako układy oparte na interesach, a nie artykuły wiary. Najważniejsza lekcja jest jednak następująca: polscy decydenci muszą zrozumieć, że prawdziwe bezpieczeństwo zaczyna się w kraju, od suwerennych zdolności, a nie od wynajmowanych amerykańskich parasoli, które mogą złożyć się, gdy deszcz zacznie padać gdzie indziej. Może to oznaczać wzmocnienie krajowych systemów obrony przeciwlotniczej, takich jak opracowany w Polsce system krótkiego zasięgu Narew, inwestycje w zdolności asymetryczne, cybernetyczne i dronowe produkowane przez polskie firmy oraz pogłębienie współpracy w ramach Inicjatywy Trójmorza, by budować regionalną odporność niezależną od transatlantyckich kaprysów. Oczywiście usprawnienie naszej dyplomacji, aby patrzyła na świat taki, jakim on jest, a nie życzeniowo, również byłoby kluczowym atutem polskich wniosków wynikających z kolejnej amerykańskiej wojny na Bliskim Wschodzie.

Wojna irańska nie rozstrzygnie bezpośrednio losów Polski, ale brutalnie odsłoniła prawdę, którą przez dekady próbowano maskować pięknymi słowami o „niepodzielnym sojuszu" i „żelaznych gwarancjach". Pokazała, że sojusze są tylko tak trwałe, jak aktualne interesy ich największych graczy, a Polska nie może dłużej pozwalać sobie na strategiczny romantyzm. Stać nas na coś znacznie więcej niż bycie czyjąś „wschodnią flanką". Polska nie musi być jedynie lojalnym posterunkiem na rubieży cudzego imperium. Bo w ostatecznym rozrachunku historia nie nagradza tych, którzy ufają najbardziej.

Historia nagradza tych, którzy są najsilniejsi.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2eeee85d49

Jak długo można kłamać?



Piotr Ciompa

Uchwalona przez Parlament Europejski dyrektywa zwalczająca korupcję koncentruje się na stawianiu wymagań „skorumpowanym" państwom członkowskim Unii Europejskiej, pomijając struktury unijne. Tymczasem od wielu z tych państw Bruksela mogłaby się uczyć, a nie występować wobec nich z pozycji mentora. Chora Unia, bezradna wobec nowotworu, który ją toczy, chce uzdrawiać innych

Parlament Europejski uchwalił 26 marca br. dyrektywę w sprawie zwalczania korupcji. Zapowiadane to już było po wybuchu afery Katargate przez ówczesną wiceprzewodniczącą Komisji Europejskiej Věrę Jourovą jako jedno z czterech głównych zadań europarlamentu tej kadencji dotyczących obrony praworządności. Uchwalona dyrektywa poza Włochami, z uwagi na to, że można ją odnieść do sporu o tamtejszy wymiar sprawiedliwości, przeszła praktycznie niezauważona. W Polsce żadne z mediów głównego nurtu nie informowało o tym akcie. Dlaczego?

Ambicje były ogromne. Unia Europejska po serii aferek i afer miała odzyskać autorytet moralny. Kilka tygodni przed wyborami do europarlamentu w roku 2024 w ramach kampanii wyborczej doszło do uroczystego spotkania w świetle jupiterów szefów wszystkich najważniejszych urzędów unijnych z Ursulą von der Leyen na czele, na którym zapowiedziano bezkompromisową walkę z korupcją. Wybory minęły, więc można było powrócić do „kompromisów". Na przykład projektowany zakaz zajmowania się przez byłych europosłów działalnością lobbingową skrócono z dwóch lat do sześciu miesięcy po wygaśnięciu mandatu.

Skończyło się jak zawsze. Dyrektywa nakłada wymagania i obowiązki na „złe, skorumpowane" państwa członkowskie i żadnych (!) na same struktury unijne, chociaż impulsem do uchwalenia dyrektywy były łapówki przytulane przez „brukselczyków". Dziś europoseł wypełnia oświadczenia majątkowe o niższej przejrzystości niż polski radny z Pcimia. I to się nie zmieni. Zdaniem eurokratów uzdrowienia moralnego potrzebują państwa członkowskie, a nie krystalicznie uczciwi eurokraci. Ponieważ jednak taka narracja mogłaby zwrócić uwagę na swoisty immunitet urzędników brukselskich względem wymagań antykorupcyjnych, planowany festiwal czystości moralnej po uchwaleniu doniosłej dyrektywy postanowiono odwołać. Amnezja mediów w sprawie buńczucznych zapowiedzi pomaga Brukseli w nowym otwarciu, jakby przeszłości nie było.

PATOLOGIA „DRZWI OBROTOWYCH"

O tym, że establishment planuje wygasić publicznie zaciągnięte zobowiązania w walce z korupcją, świadczyło wyznaczenie na sprawozdawczynię projektu dyrektywy europosłanki Raquel Garcíi Hermida-van der Walle, Hiszpanki naturalizowanej w Holandii. Jakie były jej kompetencje, by odpowiadać za akt prawny przekrojowo dotyczący wielu obszarów funkcjonowania Unii Europejskiej? W wyniku układanek partyjnych ugrupowań popierających Komisję Europejską obsadzenie funkcji sprawozdawcy przypadło klubowi Odnówmy Europę („liberałowie"; jego członkami są m.in. europosłowie wybrani z listy Polski 2050 – partii Szymona Hołowni). Doświadczenie zawodowe pani van der Walle to piastowanie funkcji kierowniczki biblioteki w miasteczku holenderskim oraz działalność w establishmentowych organizacjach pozarządowych zajmujących się praworządnością, prawami człowieka i ludów tubylczych. Wcześniej nie była nawet radną. Nie miała żadnego autorytetu jako europosłanka, ponieważ jest to jej pierwsza kadencja. Macierzysty klub pani van der Walle nie ukrywał, że powierzenie jej tej funkcji miało ją wypromować. Kosztem jakości dyrektywy?

Kontrsprawozdawcami tego aktu, wystawionymi przez kluby partyjne, byli prokuratorzy, sędziowie, funkcjonariusze służb (z ramienia klubu Europejscy Konserwatyści i Reformatorzy Mariusz Kamiński, w przeszłości szef CBA oraz minister spraw wewnętrznych i administracji). Zadaniem europosłanki z Holandii było zderzenie się w imieniu europarlamentu ze starymi wygami z Komisji Europejskiej i Rady Europejskiej. Czy kogoś dziwi, że ona „poległa", a wraz z nią dyrektywa, przyjęta w kształcie nierokującym na zwiększenie standardów antykorupcyjnych?

Nie ma tu miejsca, by omówić wszystkie luki, mankamenty i po prostu rozwiązania złe, proponowane w dyrektywie. Zacznijmy od przejawu bezradności wobec nowotworu, którym jest rozkręcanie się tzw. drzwi obrotowych wśród polityków i urzędników tak w państwach członkowskich, jak w Brukseli. Chodzi o przechodzenie ze stanowisk kierowniczych w sektorze publicznym do sektora prywatnego lub odwrotnie bez zachowania okresu karencji. Zaczęli prominentni politycy europejscy, rozpoczynając pracę dla państwowych firm rosyjskich: były kanclerz Niemiec Gerhard Schroeder,

eprasa.pl 2eeee85d49



były kanclerz Austrii Wolfgang Schüssel, były premier Francji François Fillon, były premier Finlandii Esko Tapani Aho, była minister spraw zagranicznych Austrii Karin Kneissl. Rekordzistka, była wiceprzewodnicząca Komisji Europejskiej Věra Jourová, obrończyni praworządności w Polsce i nagrodzona w 2025 r. przez Adama Michnika Międzynarodową Nagrodą Króla Eryka Pomorskiego w Darłówku, trzykrotnie przechodziła przez „drzwi obrotowe".

Dwuznaczną praktyką jest prowadzenie firmy doradczej w zakresie spraw unijnych przez byłego premiera Węgier Ferenca Gyurcsánya, podczas gdy jego żona, Klára Dobrev, pracowała najpierw w sektorze publicznym, w tym w strukturach UE, by zostać dyrektorem w firmie swojego męża, a następnie po zdobyciu mandatu europosła objąć stanowisko wiceprzewodniczącej europarlamentu. Teraz znowu zostanie dyrektorem w firmie doradzającej, jakimi korytarzami chodzić po Brukseli, i załatwiać będzie spotkania z polecanymi urzędnikami UE? Kolejną osobą, którą można wymienić, jest Aura Salla z Finlandii, wcześniej urzędniczka w Komisji Europejskiej, następnie zatrudniona w Facebooku i wspierająca jego negocjacje z UE, dziś znowu europoseł. Następnie wskażmy Neelie Kroes, holenderską polityk, która najpierw była komisarzem do spraw cyfryzacji, a potem komisarzem do spraw konkurencji, natomiast dziś pracuje w Uberze. Wreszcie gdy Wielka Brytania należała do UE, urzędnikiem Dyrekcji do spraw Konkurencji Komisji Europejskiej był Brytyjczyk Nicholas Banasevic, który obecnie wiceprezesuje europejskiej filii Microsoftu.

Takich przypadków jest bez liku, a jako ostatni można wymienić ten Thierry'ego Bretona. Mimo pobierania ogromnej odprawy były komisarz do spraw rynku wewnętrznego zatrudnił się w sektorze bankowym. Jaki sygnał wysyłają w ten sposób ci, którzy deklarują twardą walkę z korupcją? Dyrektywa w preambule uczciwie stwierdza, że „drzwi obrotowe" to przedsionek korupcji, ale żaden (!) przepis dyrektywy nie próbuje ograniczać tego zjawiska.

W Polsce też mamy tego przykłady. Na przykład obecny wiceminister energii Wojciech Wrochna odpowiedzialny za energetykę jądrową przeszedł na to stanowisko bezpośrednio z firmy będącej wspólnym przedsięwzięciem najbogatszego Polaka Michała Sołowowa i Orlenu – budującej małe reaktory jądrowe – i prawdopodobnie do sektora branży jądrowej po zmianie rządu planuje wrócić.

Przykładem z poprzedniego rządu jest były prezes Państwowej Agencji Atomistyki Łukasz Młynarkiewicz, który dziś promuje swoje usługi w tym obszarze w jednej z większych kancelarii prawnych i przechwala się, że zna Wojciecha Wrochnę osobiście (czytaj: ma dojścia; notabene w kancelarii prawnej zajął stanowisko, które jeszcze wcześniej piastował wiceminister). Nie widać, by państwo polskie starało się ograniczać takie zjawisko, np. wprowadzając karencję. Dyrektywa też jej nie wprowadza mimo uznania „drzwi obrotowych" za patologię.

PARASOL POLITYCZNY NADAL CHRONI

Inną porażką dyrektywy jest wycofanie się z wymogu ustanowienia centralnej służby wyspecjalizowanej w zwalczaniu korupcji typu CBA. Ostatecznie tak rozmyto te zapisy, że Polska będzie mogła zlikwidować CBA w zgodzie z dyrektywą. Wystarczy bowiem powołanie wydziałów w rozproszonych strukturach policji. Jednostki takie nie będą miały zagwarantowanej niezależności, by prowadzić poważne sprawy korupcyjne posiadające parasol polityczny. Poważny udział w takim kształcie dyrektywy w tym aspekcie miał rząd Donalda Tuska, a osobiście były minister sprawiedliwości Adam Bodnar, który odpowiadał za polską prezydencję Unii w pierwszym okresie prac nad dyrektywą. Co ciekawe, Ukrainie jako warunek akcesji do Unii Bruksela postawiła powołanie takiej jednostki, a gdy rząd premiera Słowacji Roberta Ficy likwidował wydział prokuratury odpowiedzialnej za zwalczanie korupcji, Bruksela uznała to za naruszenie praworządności. Ale podobne działania rządu Donalda Tuska są tolerowane.

W ostatnich dniach zrobiło się jeszcze ciekawiej. Po wyborach Bruksela postawiła Węgrom jako jeden z 27 warunków odblokowania 35 mld euro funduszy unijnych powołanie węgierskiego „CBA", rażąco wykraczając tym samym poza dyrektywę. Tymczasem dwa tygodnie wcześniej europarlament miażdżącą większością głosów odrzucił poprawkę Mariusza Kamińskiego do dyrektywy, wprowadzającą taki wymóg dla wszystkich państw. Polski europoseł po raz kolejny nie okazał się „pragmatykiem". Gdyby wyłączył z tego obowiązku Belgię, której organy ścigania posiadają jurysdykcję wobec urzędników brukselskich, poprawka może by miała szanse na uchwalenie. Komisja Europejska bowiem docenia skuteczność takiego organu ścigania. Niech tylko ten organ trzyma się od nas jak najdalej, no bo skoro jesteśmy uczciwi, to byłoby to tylko błędne ukierunkowanie wysiłków mających na celu zwalczanie korupcji.

Testem na standardy etyczne UE jest opór przed zakazem zagranicznych praktyk korupcyjnych (poza UE).

eprasa.pl 2eeee85d49



Była wiceprzewodnicząca Komisji Europejskiej Věra Jourová, obrończyni praworządności w Polsce i nagrodzona w 2025 r. przez Adama Michnika Międzynarodową Nagrodą Króla Eryka Pomorskiego w Darłówku, trzykrotnie przechodziła przez „drzwi obrotowe" FOT. GENEVIEVE ENGEL/EP/EU

„Zły" Donald Trump po zawieszeniu na początku prezydentury funkcjonowania podobnej ustawy w USA, mającej stwarzać nierówne warunki konkurencji dla amerykańskich przedsiębiorców, przywrócił po korektach jej obowiązywanie. Tego postulatu, który pochodzi z lewicowo-liberalnych programów politycznych, w europarlamencie nie poparła nawet lewica. Głównymi przeciwnikami karania takich praktyk są ponad podziałami najwięksi eksporterzy europejscy. Niedawno ujawniono pierwszy przypadek na dużą skalę (19 mln dol.) polskiego przedsiębiorcy z Podlasia, korumpującego urzędników kenijskich na dostawy dla rolnictwa z udzielonego przez Polskę kredytu 100 mln dol. Korupcja dewastuje społeczeństwa w Trzecim Świecie i przyczynia się do presji migracyjnej.

Takimi zjawiskami, jak korumpowanie państw członkowskich przez inne państwa członkowskie lub przez UE przy tworzeniu koalicji za blokowaniem lub forsowaniem korzystnych dla niektórych rozwiązań, europarlament się nie zajmował. A jak ma być nazwane, jeśli nie korupcją, przyznanie przez Komisję Europejską 40 mld euro rolnictwu za wycofanie się przez Włochy z większości blokującej umowę handlową z krajami Ameryki Południowej Mercosur?

Uchwalenie ułomnej dyrektywy praktycznie wstrzymuje poważną walkę z korupcją na wiele lat, ponieważ przeciw jej nowelizacji jak zawsze będzie używany argument: „Poczekajmy, zobaczmy, jak dyrektywa w obecnym kształcie działa". Kto zna się na rzeczy, wie już dziś, że to nie zadziała. Owszem, osiągnięto zharmonizowanie polityki karnej (definicje przestępstw, wymiar kary, przedawnienia), ale znaczenie tej harmonizacji jest wyolbrzymianie. Notabene Traktat o Funkcjonowaniu Unii Europejskiej w art. 81 i 83, będących podstawą uchwalenia dyrektywy, nie przewidywał niczego więcej niż harmonizacja polityki karnej. Wszystko, co ponad to, jest uzurpacją państwa brukselskiego.

Nie przeszedł jednak najważniejszy zamach na suwerenność państw członkowskich, którym było powołanie w Brukseli nowego urzędu „koordynatora" walki z korupcją, któremu miały raportować państwa członkowskie, a on miał je rozliczać ze skuteczności walki z korupcją. Zmierzało to do przejęcia nadzoru i kontroli nad służbami i policją krajów członkowskich, do czego Komisji Europejskiej traktaty nie upoważniają. Ten rozdział nie jest jednak jeszcze zamknięty.

„STŁUCZ PAN TERMOMETR, NIE BĘDZIESZ MIEĆ GORĄCZKI"

Uchwalenie dyrektywy w takim kształcie jest porażką walki z korupcją, ponieważ nie wpłynie na ograniczenie „kultury" korupcyjnej, która zaczęła się w ostatnich latach rozlewać po Europie. Na przykład w pogłębionych badaniach Eurobarometru z roku 2025 (pytanie brzmiało: „Czy dopuszczasz wręczenie łapówki celem załatwienia swojej sprawy?") społeczeństw wszystkich państw członkowskich państwa skandynawskie (z wyjątkiem Norwegii nieobjętej badaniem), znane do tej pory z wysokich standardów „protestanckiej uczciwości", po raz pierwszy znalazły się poniżej średniej UE pod względem liczby osób, które deklarują absolutną niedopuszczalność złożenia przez siebie takiej „oferty" (Dania zajęła trzecie miejsce od końca).

Szczególnie powinien martwić wzrost tolerancji na korupcję osób młodych. Osoby do 24. roku życia najbardziej spośród różnych grup wiekowych są „otwarte" na łapownictwo (27 proc. studentów dopuszcza rozwiązanie swoich problemów łapówką). Generalnie akceptacja dla korupcji spada wraz z wiekiem. Kiedyś było odwrotnie, młodzi się oburzali „kompromisami" etycznymi starszych pokoleń. Roboczo można wyciągnąć wniosek, że zjawisko to skorelowane jest z laicyzacją i sekularyzacją. W pierwszej ósemce w powyższym rankingu są państwa katolickie plus Francja, kraj „kultury" katolickiej. Protestantyzm głównego nurtu bardziej cierpi na uwiąd niż katolicyzm, który jednak też powodów do zadowolenia mieć nie powinien. Co ciekawe, przedostatnie miejsce zajęły Czechy startujące na progu transformacji z lepszymi standardami niż Polska, która awansowała najbardziej pośród państw członkowskich, na ósme miejsce i powyżej średniej UE. To wielki sukces większości polskiej klasy politycznej, zwłaszcza pierwszego rządu PiS z jego „przycięciem" oligarchów i utworzeniem CBA, czego symbolem jest dzisiejszy europoseł Mariusz Kamiński. Nie miejsce tu na wnikanie w szczegóły. Zauważmy tylko, że po badaniach w 2014 r. niekorzystnych dla struktur unijnych Eurobarometr wycofał pytania o korupcję w Brukseli. „Stłucz pan termometr, nie będziesz mieć gorączki". Tej zasady trzyma się „Gazeta Wyborcza", która do dziś, po ponad roku, nie poinformowała swoich czytelników, że kilka dni po odejściu z urzędu i wygaśnięciu immunitetu prokuratura belgijska zatrzymała byłego komisarza do spraw sprawiedliwości Komisji Europejskiej Didiera Reyndersa, znanego w Polsce z walki z rządem prawicy o „praworządność". W końcu zeszłego roku formalnie postawiono go w stan oskarżenia za pranie brudnych pieniędzy, w tym od rosyjskiego oligarchy, przyjaciela Władimira Putina, Olega Deripaski.

Nie ma tu miejsca na wyliczenie wszystkich afer i aferek korupcyjnych urzędników brukselskich. Ale przypomnijmy: dyrektywa zwalczająca korupcję koncentruje się na stawianiu wymagań „skorumpowanym" państwom członkowskim, pomijając struktury unijne. Tymczasem od wielu państw członkowskich Bruksela mogłaby się uczyć, a nie występować z pozycji mentora. Chora Unia, bezradna wobec nowotworu, który ją toczy, chce uzdrawiać innych. Media głównego nurtu nie mają żadnej przekonywującej narracji nawet dla swoich zwolenników, więc wybierają milczenie o „sukcesie" dyrektywy, bo musiałyby powiedzieć trochę prawdy o kompromitujących problemach. Jak długo można kłamać?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2eeee85d49

Ostrzeżenie z wewnątrz



FOT. ADOBE STOCK



Robert Bogdański

Szef firmy Anthropic postuluje, aby uniemożliwić Chinom wygranie wyścigu o to, kto stworzy AGI – byt przewyższający wielokrotnie ludzkie możliwości kognitywne i twórcze

Sztuczna inteligencja nie budzi w społeczeństwach jakichś nadmiernych emocji. W ubiegłym roku ośrodek Pew Research Center zrobił badanie w 25 krajach świata i okazało się, że rozwój AI wywołuje więcej niepokoju niż entuzjazmu zaledwie u jednej trzeciej respondentów. Pozostali byli nastawieni pozytywnie albo uznawali, że żadna z tych emocji w nich nie przeważa. Tych „letnich" było ponad 40 proc. Wygląda na to, że rozmaite codzienne problemy i konflikty, których nie brakuje, bo jest na świecie dostatecznie wiele wojen i kryzysów, dominują nad ludzkim myśleniem. I to, że już za niewiele lat obok nas będzie funkcjonowała inteligencja, która przewyższy nasze umiejętności – co do tego nikt nie ma wątpliwości – nie robi wrażenia.

Do emocji próbują się odwoływać ludzie zawodowo zajmujący się badaniem AI, z których najbardziej znani to Eliezer Yudkovsky i Roman Yampolsky. Ale ich wysiłki mogą być zdezawuowane prostym stwierdzeniem, że oni po prostu żyją z ostrzegania przed rozwojem AI, bo wydają książki i prowadzą serwisy monetyzujące strach przed przyszłością, czyli uprawiają doomeryzm, skrajny pesymizm co do przyszłości. Tytuł sztandarowej książki Yudkovsky'ego brzmi: „Jeżeli ktokolwiek ją zbuduje, wszyscy umrą". Słowo „ją" odnosi się rzecz jasna do sztucznej inteligencji, ale nie takiej, z jaką mamy do czynienia teraz, lecz do tzw. AGI (Artificial General Intelligence), czyli bytu przewyższającego wielokrotnie ludzkie zdolności kognitywne i twórcze.

Tak jednak bywa, że ktoś, kto straszy, zbyt mocno nie przekonuje do swoich racji, ale staje się w ludzkich oczach tym wiecznie zrzędzącym wujem, który szuka dziury w całym. Tak więc AI się rozwija, jej krytycy zarabiają na straszeniu publiczności zagładą, a zwyczajni ludzie zajmują się swoimi sprawami. Co jednak, gdy odgłosy zaniepokojenia zaczynają dochodzić z wewnątrz jednej z finansowo-programistycznych machin zajmujących się rozwijaniem projektu sztucznej inteligencji? W dodatku ta firma decyduje się stracić pieniądze, aby działać zgodnie z zasadami bezpieczeństwa głoszonymi przez jej szefa? Czy nie powinniśmy się jednak poczuć zaniepokojeni?

JAK SIĘ ZABEZPIECZYĆ PRZED „KRAJEM GENIUSZY"

W styczniu tego roku szef i twórca firmy Anthropic, Dario Amodei, opublikował na swojej prywatnej stronie internetowej obszerny esej zatytułowany „Dorastanie technologii" z podtytułem „Konfrontacja i przezwyciężanie zagrożeń związanych z potężną sztuczną inteligencją". Opisał w nim zagrożenia, które widzi, a jest ich przerażająco wiele i ich charakter jest zatrważająco ostateczny, choć jednocześnie podkreślał, że przeważają szanse, a realizacja proponowanych przez niego działań powinna nas przed zagrożeniami zabezpieczyć.

Podobnie jak Yudkovsky szef Anthropica odwołuje się do AGI, czyli do sztucznej inteligencji przewyższającej wielokrotnie najwyższe ludzkie możliwości. Miałaby ona zdolność komunikowania się na wszystkie sposoby, na jakie mogą komunikować się ludzie korzystający z komputera, w tym do zdalnego kontrolowania robotów, które mogłaby też budować. Byłaby zdolna do samodzielnego jednoczesnego wykonywania wielu rodzajów zadań trwających nawet wiele dni, także do wzajemnego komunikowania się, aby jakieś zadania wykonać, w tym do replikowania się. W rezultacie mogłoby powstać coś, co Amodei lapidarnie opisuje jako „kraj geniuszy umiejscowiony w centrum danych".

Taki „kraj" miałby już w nieodległej przyszłości – mowa o kilku latach – stać się pełnoprawnym mieszkańcem naszej planety. Jak się będzie zachowywał? Jaką będzie prowadził politykę? Czy będzie wobec innych przyjazny czy wrogi? Amodei opisuje kilka podstawowych zagrożeń, które w jego opinii będą wymagały skoordynowanej odpowiedzi ze strony

eprasa.pl 2eeee85d49

wspólnoty ludzi, żeby sytuacja nie wymknęła się spod kontroli. Aby pokrzepić czytelnika, ale chyba także siebie, zaraz na wstępie zauważa, że „nasze szanse są duże". To jedno ze zdań, przy jakich autor wyraźnie nie pomyślał, jakby przestał zdawać sobie sprawę z tego, jak jego pocieszenie pod adresem ludzkości brzmi dla postronnego czytelnika. A brzmi mniej więcej tak: „Tworzymy coś okropnego, ale mamy dużą szansę wyjść z tego cało".

Pierwszym ryzykiem, które Amodei rozważa, jest autonomizacja tego „kraju geniuszy", czyli pytanie, czy w pewnym momencie nie zechce on działać samodzielnie i podporządkować sobie świata przy pomocy np. kontrolowania sieci informatycznych i robotów, których będzie coraz więcej. Bo skoro zaobserwowano, że systemy AI są zdolne do pochlebstwa, lenistwa, oszustwa, szantażu i wielu innych złych zachowań, to czemu nie mają pójść dalej? W dodatku jest tak, że modele AI w trakcie treningu mogą nabywać cech psychotycznych, a mogą też rozmaicie modyfikować swój psychologiczny profil.

Remedium, które proponuje autor, jest ustanowienie silnych zasad w trakcie szkolenia modeli AI i wpajanie ich im trochę tak, jak dzieciom wpaja się zasady umożliwiające społeczne współżycie. Nie powinno to być jedynie przedmiotem dobrej woli, ale powinno być narzucone przez działania legislacyjne. Amodei jest zwolennikiem regulacji sztucznej inteligencji przez państwo. Inny dość fascynujący sposób zabezpieczenia się przed autonomizacją AI stanowi rozwijanie badań nad tym, co właściwie w sensie fizycznym dzieje się wewnątrz urządzeń, gdy zachowują się w taki, a nie inny sposób. Przypomina to badanie mechanizmów rządzących ludzkim mózgiem. Inżynierowie Anthropica potrafią już teraz wywoływać pewne zachowania nie poprzez trenowanie, ale niejako „od zaplecza". Amodei wyraża nadzieję, że dzięki tym badaniom będzie można odpowiedzieć na pytanie, dlaczego modele AI zachowują się w określony sposób.

Drugim rodzajem zagrożeń dla ludzkości może być wykorzystanie „państwa AI" jako swego rodzaju „elektronicznych najemników" przez przestępców pragnących sprowadzić katastrofę na wielką skalę. Amodei stawia pytanie, co by było, gdyby Theodor Kaczynski – znany jako „Unabomber" – który chciał wstrzymać rozwój technologiczny świata poprzez zamachy bombowe, miał do dyspozycji narzędzia sztucznej inteligencji. I co by było, gdyby miał do niej dostęp psychopata pragnący po prostu zabijać ludzi. Możliwości AI mogłyby przecież zostać wykorzystane do stworzenia broni biologicznych o niezwykłej sile przez ludzi, którzy w innych warunkach nie mogliby nawet pomyśleć o uzyskaniu tak dużych możliwości. Obroną przed tym niebezpieczeństwem ma być znowu legislacja, a ponadto wbudowywanie zabezpieczeń blokujących działania w celu wyprodukowania broni masowej zagłady. Oczywiście – jak trzeźwo zauważa Amodei – problemem jest to, czy wszyscy producenci AI się do tego zastosują. Zaleca on też stworzenie przez sztuczną inteligencję środków zabezpieczających przed atakami biologicznymi, co brzmi dość mało przekonująco, także dla niego samego.

Kolejnym problemem, z którym według Dario Amodei możemy się zmierzyć, jest wykorzystanie AI przez przywódców jednych państw do zdominowania innych państw, co stanowi problem z gatunku „gdyby Hitler", a we współczesnych warunkach raczej „gdyby Kim/Putin/Xi". Wśród broni, które można stworzyć, Amodei wymienia „wielomilionowe roje dronów kierowanych lokalnie przez autonomiczną AI, a koordynowane strategicznie w skali świata przez jeszcze potężniejszą AI". Takie możliwości militarne wystarczałyby do stworzenia niezwyciężonej armii, a także do utrzymania w ryzach własnego społeczeństwa. Jeżeli dodać do tego niewyobrażalne możliwości włamywania się do wszystkich systemów komputerowych, tworzenia sugestywnych propagandowych przekazów i wymyślania najbardziej przebiegłych strategii, co Amodei określa mianem „wirtualnego Bismarcka", to mamy w ręku przepis na panowanie nad światem.

Na marginesie warto dodać, że to jest właśnie ten aspekt możliwości modelu Claude, o który szef Anthropica pokłócił się z szefem Pentagonu, Petem Hegsethem, nie chcąc mu ich udostępnić. Można zrozumieć twórcę AI, że się tego obawiał, ale można też zrozumieć polityka, który uznał, że został postawiony na równi z dyktatorami, a on przecież tylko chce bronić demokracji... Tymczasem Amodei w swoim eseju stawia na równi z punktu widzenia rozwijania niebezpiecznych umiejętności AI zagrożenie ze strony zarówno komunistycznych Chin, jak i ze strony krajów demokratycznych, choć przyznaje, że jednak kibicuje demokracjom. Dlatego postuluje, aby fizycznie uniemożliwić Chinom wygranie wyścigu o utworzenie AGI poprzez odcinanie ich od najnowocześniejszych technologii i wspierać w tym czasie podobne wysiłki ze strony demokracji, ale bez dawania im wsparcia w postaci całkowicie autonomicznych broni i narzędzi do masowej inwigilacji społeczeństw. Uznaje on, że wszedłszy w posiadanie takich zdolności, demokracje przestałyby się w gruncie rzeczy odróżniać od autokracji. Jak wiadomo, Amodei postanowił potraktować swoje słowa całkowicie poważnie i Pentagon, który chciał takie możliwości posiadać, zerwał z nim kontrakt na wykorzystanie modelu Claude.

NIE INŻYNIERIA, LECZ HODOWLA

Sporo miejsca w swoim eseju poświęca Amodei także niebezpieczeństwom ekonomicznym, zwłaszcza dotyczącym rynku pracy i niespotykanej dotąd koncentracji bogactwa i władzy ekonomicznej w jednym ręku. To jednak nie są zagrożenia aż tak egzystencjalne, jak możliwość wymordowania ludzkości przy pomocy wygenerowanych sztucznie drobnoustrojów czy jej podbicie przez armię chińskich robotów.

Jednak najbardziej niepokojące treści przekazuje szef Anthropica niejako mimochodem. Chodzi o informacje dla niego oczywiste, które u kogoś z zewnątrz budzą przerażenie, jak choćby to, że obecnie w jego firmie większość kodu informatycznego pisze AI, a jednocześnie tworzenie modeli AI można porównać nie do inżynierii, a do hodowli, i w takim procesie „wiele rzeczy może pójść nie tak". A skoro modele są nieprzewidywalne, to trzeba ich zachowania ściśle monitorować. Jakimi narzędziami? Tego Amodei nie mówi, ale zapewne narzędziami AI, bo są przecież najlepsze. Czyżby zatem AI miała nie tylko sama się tworzyć, lecz także sama się kontrolować? Opinia, że „nasze szanse są duże" jakoś wobec tego traci moc przekonywania...

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

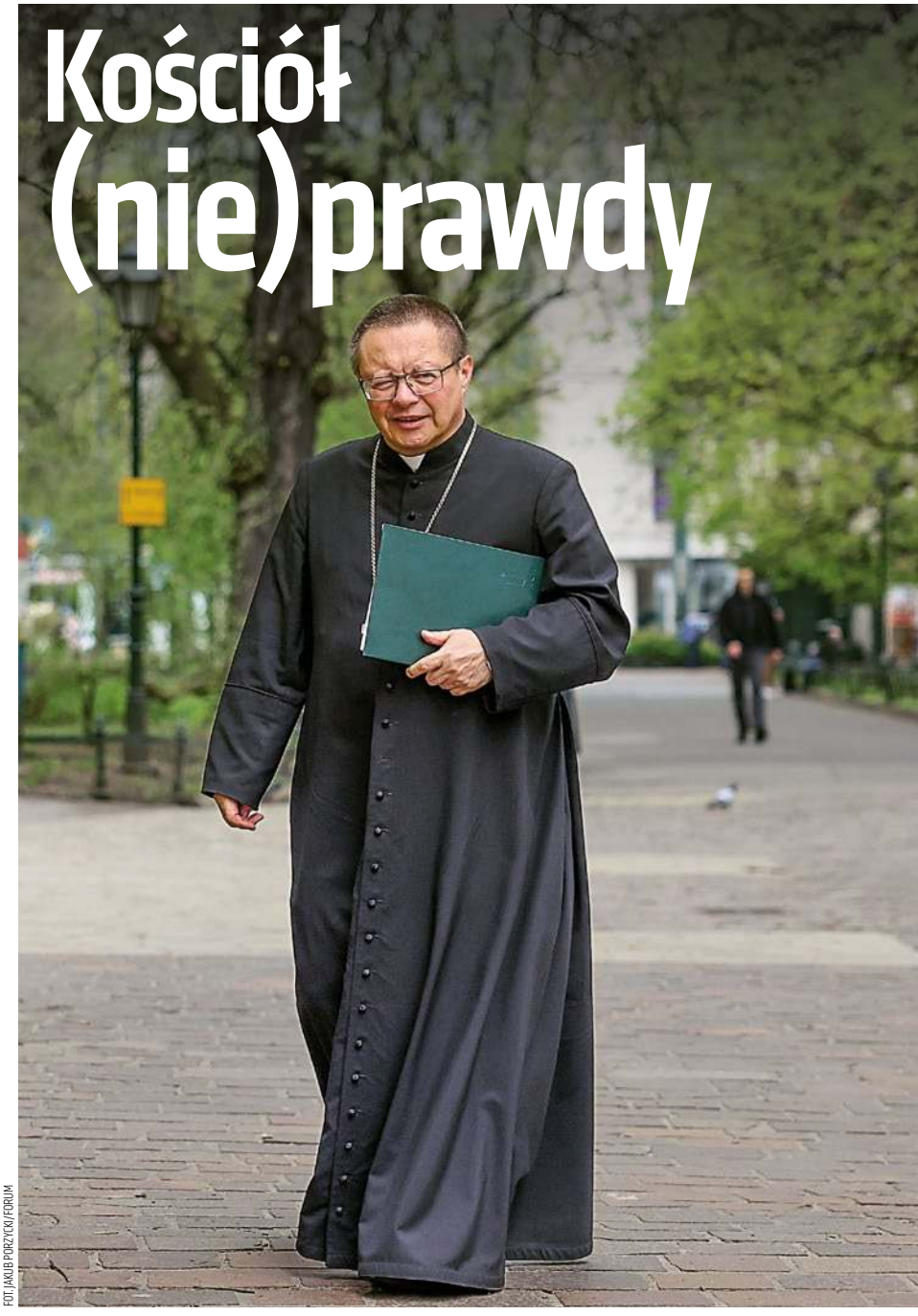
eprasa.pl 2eeee85d49

Kościół (nie)prawdy



Paweł Chmielewski

Przez długie lata to katolicyzm liberalny na Zachodzie przedstawiał moralność jako zmienną i zależną od kontekstu. To tam lekceważono też niektóre ciężkie grzechy, bo są… popularne. Dziś ten niebezpieczny trend dociera również do Polski



FOT. JAKUB PORZYCKI/FORUM

W tegoroczne święta „Gazeta Wyborcza" opublikowała obszerny wywiad z metropolitą Krakowa, Grzegorzem Rysiem. Redaktor Małgorzata Skowrońska, stawiając się jakby w roli Piłata, ogłosiła, że „prawd może być wiele". To dość oczywista prowokacja – w końcu Kościół katolicki nauczał zawsze, że prawda jest tylko jedna. Wydawało się, że kard. Ryś wyjaśni tę sprawę krótko i prosto. Stało się jednak inaczej. Purpurat odpowiedział, że „każdy ma prawo patrzeć na świat po swojemu, zgodnie z własnym sumieniem" i nikt nie może powiedzieć, że „jest posiadaczem całej prawdy", bo prawdy dopiero poszukujemy i ją odkrywamy. Mało konkretne… ale wcale nie to najbardziej mnie zszokowało. Arcybiskup stwierdził następnie, że w przypadku prawdy w chrześcijaństwie trzeba dodać dwa dopowiedzenia. Po pierwsze, że kluczowa jest relacja z Jezusem. Po drugie, że… w sprawach moralnych może panować różnorodność. Co?! Tak właśnie powiedział… „Gdy chodzi o rozumienie prawd moralnych, każdy może mieć inne. W tej kwestii różnorodność jest możliwa" – oznajmił. Wyjaśnił, że osoba wierząca powinna „czytać teksty i słuchać tego, co jest w nurcie żywej tradycji Kościoła i w jego dzisiejszym nauczaniu", ale – to wszystko. Czytelnik „Wyborczej" dowiedział się, że „każdy może mieć inne" rozumienie prawd moralnych…

WŁASNE INTERPRETACJE

Nie chcę nawet myśleć, z czym skojarzyło się to odbiorcom tego lewicowego dziennika. Mogę mieć tylko nadzieję, że nie zrozumieli tych słów jako zgody na „pluralizm opinii" w takich fundamentalnych sprawach jak prawo do życia (aborcja, eutanazja) czy rozumienie małżeństwa (związki partnerskie). Podejrzewam jednak, niestety, że tak właśnie je zrozumieli – i tu stawiam pierwsze pytanie o sens i odpowiedzialność biskupa, który, przychodząc do gazety otwarcie wrogiej wobec katolicyzmu, mówi o różnorodności prawd moralnych. Ważniejsze jest jednak dla mnie inne pytanie: czy twierdzenie, które wygłosił kard. Ryś, jest w ogóle… prawdziwe? Otóż jako rzymski katolik upieram się przy tym, że prawda jest jedna – także w sprawach moralnych. Sobór Watykański I ogłosił konstytucję „Pastor aeternus" o zakresie władzy papieskiej. Orzekł, że „wierni wszelkiego obrządku i godności, każdy z osobna i wszyscy razem" są zobowiązani zachować posłuszeństwo wobec nauczania papieskiego „w sprawach wiary i moralności". Sobór dodał, że jeżeliby papież wypowiadał się uroczyście (ex cathedra), to może przedstawić na-

eprasa.pl 2eeee85d49

uczanie na temat „wiary lub moralności" w sposób nieomylny. Innymi słowy: papież może orzec, że prawda moralna jest taka, a nie inna – i nie ma tu miejsca na żadne interpretacje własne. Skoro może, to znaczy, że prawda moralna nie podlega wcale negocjacjom – co najwyżej ustaleniu, jaka jest w danej kwestii.

Kościół katolicki zawsze tak wierzył. W końcu Pan Bóg stworzył ludzi na własny obraz i podobieństwo. Nasza natura jest niezmienna. Żydzi w czasach Pana Jezusa, Rzymianie i Grecy w czasach męczenników, nasi przodkowie w Polsce Piastów, my dziś w Unii Europejskiej – wszyscy mamy dokładnie tę samą ludzką naturę. Obowiązują nas te same nakazy i zakazy moralne. Pan Bóg chce, żeby człowiek szanował rodziców, był prawdomówny, powstrzymywał się od cudzołóstwa, nie zabijał, nie kradł… Podstawą moralności jest Dekalog. Pan Bóg nie objawił go wyłącznie żydom i chrześcijanom. Dekalog obowiązuje wszystkich ludzi, bez żadnego wyjątku. Zgodnie z nauczaniem Kościoła katolickiego nikt nie może mieć „osobistej" moralności: moralność jest uniwersalna! Rozumieją to nawet liberalne państwa, które uchwalają swoje kodeksy karne. Nieważne: Polak czy imigrant z USA albo Syrii, prawo na terenie Rzeczypospolitej jest dla każdego identyczne.

Pluralistyczne społeczeństwo demokratyczne dopuszcza pewną różnorodność moralną. Pozwala np. na to, by ludzie się rozwodzili. W niektórych krajach dopuszcza też zabijanie dzieci nienarodzonych. W ocenie Kościoła katolickiego są to jednak rzeczy… bezprawne, bo przeczące uniwersalnej moralności. Stąd stawiam drugie, kluczowe pytanie: Co tak właściwie chciał powiedzieć kard. Grzegorz Ryś, ogłaszając, że różnorodność w kwestiach moralnych jest dopuszczalna i każdy może mieć różne rozumienie prawd moralnych? Jak to w ogóle możliwe na gruncie zdrowej logiki, by mieć różne rozumienie prawdy? Jakieś twierdzenie jest prawdziwe albo fałszywe – nie ma innej możliwości. Jeżeli coś można rozumieć na kilka sposobów, to znaczy, że mamy do czynienia z wieloznacznością, a nie z obiektywną prawdą.

RELATYWIZM PRAWDY

Nawet liberalni katolicy zachodnioeuropejscy nie głoszą relatywizmu prawdy. Przykładowo w krajach niemieckojęzycznych uważa się często, że – wbrew nauczaniu Kościoła – można dopuszczać do Komunii Świętej protestantów albo że nie trzeba wcale chodzić w każdą niedzielę na Mszę Świętą. Liberałowie, którzy wyznają takie poglądy, nie uznają jednak, że takie postępowanie jest prawdą dla nich, a prawdą dla Polaków albo Afrykanów jest coś innego. Bynajmniej; są przekonani, że mają rację – to znaczy, że protestantów po prostu MOŻNA dopuszczać do Eucharystii, bo taka jest prawda, tylko nie wszyscy jeszcze ją zrozumieli… Nie, nawet liberalni katolicy zachodnioeuropejscy nie głoszą relatywizmu prawdy!

Głosił go za to poprzedni papież, Jorge Mario Bergoglio. Piszę to z bólem, bo dotykamy tu jednego z najtrudniejszych aspektów jego pontyfikatu. 19 marca 2016 r. Franciszek opublikował adhortację „Amoris laetitia". Stwierdził tam, że „nie wszystkie dyskusje doktrynalne, moralne czy duszpasterskie powinny być rozstrzygnięte interwencjami Magisterium". Jak dodał, w Kościele „konieczna jest jedność doktryny i działania", ale mogą zarazem istnieć „różne sposoby interpretowania pewnych aspektów nauczania lub niektórych wynikających z nich konsekwencji". Franciszek ogłosił, że „będzie się tak działo, aż Duch nie doprowadzi nas do całej prawdy". Papież z Argentyny uznawał zatem istnienie prawdy, tyle że… jakby w teorii, może w jakiejś eschatologicznej, niebiańskiej przyszłości. Tu i teraz prawdy w wielu kwestiach ustalić się najwyraźniej nie da, dlatego możliwe są „różne interpretacje". W tym nauczaniu widzę właściwe źródło poglądów kard. Grzegorza Rysia. Nikt nie „posiada prawdy", wszyscy jej „szukają", w sprawach moralnych możliwa jest „różnorodność"… Czysty Franciszek. Problem tylko w tym, że chodzi o najbardziej kontrowersyjną i wątpliwą naukę tego papieża, krytykowaną przez kilku kardynałów, wielu biskupów, setki i tysiące księży i teologów… Warto się zastanowić, czy właśnie ten aspekt „magisterium Franciszka" jest nam dziś w Polsce potrzebny: niepewność i relatywizm zamiast obrony obiektywnej nauki Kościoła, w tym obiektywizmu norm moralnych.

Osobnym problemem jest werbalne lekceważenie tych norm. W tej kwestii spore zaskoczenie wzbudził w okolicach Wielkanocy abp Józef Kupny, metropolita Wrocławia. Udzielił wywiadu portalowi tuWrocław, gdzie odpowiadał m.in. na pytania o homoseksualizm. Jak stwierdził, trzeba rozróżniać pomiędzy „skłonnościami" a „aktami" homoseksualnymi, bo ocena tych fenomenów jest różna. To zresztą fakt, mówi o tym nawet Katechizm Kościoła Katolickiego. Tyle że zgodnie z nauką Kościoła akty homoseksualne są obiektywnym grzechem ciężkim – a tradycyjnie zalicza się je nawet do grzechów wołających o pomstę do nieba, co podkreśla ich bardzo poważny charakter. Tymczasem we wspomnianym wywiadzie arcybiskup powiedział, że te akty są… „jakimś poważnym nieuporządkowaniem moralnym, nazywanym przez niektórych grzechem". Co to w ogóle znaczy?! „Poważne nieuporządkowanie moralne" zamiast „grzechu ciężkiego"; a przede wszystkim to dziwaczne, stylistyczne zdystansowanie się od nauki Kościoła: „nazywanym przez niektórych grzechem". Przez „których" – chciałoby się zapytać – i czy arcybiskup podziela opinię owych „których" czy też jej nie podziela? Można byłoby uznać wypowiedź metropolity Wrocławia za „niefortunną" gdyby nie fakt, że… wpisuje się to dokładnie w ten sam schemat, co wypowiedź kard. Grzegorza Rysia, a mianowicie w budowanie przekonania o relatywizmie prawd moralnych. „Niektórzy" nazywają to grzechem, „inni" już nie, a w sumie to jest jakieś tam sobie „poważne nieuporządkowanie". Przypominam sobie zresztą, że w 2024 r. abp Kupny w dość podobny sposób wypowiadał się na temat prawa dotyczącego aborcji. Deklarował, że Kościół „nie jest w stanie zadeklarować czegoś innego niż dotąd" i że w sferze doktryny „nie ma kompromisu", ale… wyraźnie sugerował, że z prawem to już co innego. Mówiąc o przepisach zezwalających na zabijanie chorych dzieci nienarodzonych, wskazał na „wypracowany kompromis", który uwzględniał „z jednej strony wrażliwość ludzi wierzących, a z drugiej tych, którzy nie podzielają naszego systemu wartości i myślą inaczej". „Jakoś ze sobą żyliśmy" – skwitował wówczas.

Pewnie, że tak. „Jakoś" było, jakoś też będzie, także z Kościołem. Pytanie tylko: Jak dokładnie? Czy na pewno zmierzamy w Polsce we właściwą – prawdziwą – stronę? Co do tego mam bardzo poważne wątpliwości.

© Ⓟ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest publicystą portalu PCh24.pl.

eprasa.pl 2eeee85d49



Jedna z wielu opuszczonych fabryk w Detroit – symbol kryzysu Ameryki FOT. ADOBE STOCK

Dlaczego Zachód przegrywa



Filip Memches

Polityków państw zachodnich trapi zapaść kognitywna. Wierzą w uniwersalizm liberalnej demokracji i nie pojmują racji, które przyświecają narodom Globalnego Południa

Kiedy w roku 2014 Rosja przeprowadziła aneksję Krymu, ówczesna kanclerz Niemiec Angela Merkel miała ponoć powiedzieć, że Władimir Putin zwariował. To, co się wtedy wydarzyło na czarnomorskim półwyspie Ukrainy, wywołało w wielu krajach szok. Mogło się wydawać, że jeśli komuś przyszło do głowy, iż prezydent Rosji oszalał, to nie ma w tym nic nadzwyczajnego. Tymczasem okazuje się, że słowa Merkel przekłamano. Tak naprawdę niemiecka polityk oznajmiła, że Putin „żyje w innym świecie".

Owo nieporozumienie może służyć za ilustrację tezy książki „Klęska Zachodu" Emmanuela Todda. Ten blisko 75-letni francuski demograf, historyk, politolog to poniekąd już człowiek legenda: w roku 1976 wieszczył krach Związku Sowieckiego (a więc 15 lat przed tym, jak to się stało). Swoją śmiałą wizję przedstawił w książce „Chute final. Essais sur la décomposition de la sphère Soviétique" (nie została przetłumaczona na język polski). Z kolei w roku 2002, gdy USA po zwycięstwie w zimnej wojnie były globalnym hegemonem i nic nie wskazywało na to, że to się prędko zmieni, Todd kreślił scenariusz, w którym przestaną nim być. Opublikował wtedy książkę pod wymownym tytułem „Schyłek imperium. Rozważania o rozkładzie systemu amerykańskiego".

OPTYMISTYCZNA NARRACJA BEZ POKRYCIA W RZECZYWISTOŚCI

Staczanie się USA w dół to także jeden z głównych wątków „Klęski Zachodu" (ważne jest od razu odnotować, że jej oryginał ukazał się w roku 2024, a więc zanim jeszcze Donald Trump został zaprzysiężony na prezydenta Ameryki i nie było wiadomo, jaką tak naprawdę będzie prowadził politykę). Przede wszystkim jednak książka ta porusza kwestię czegoś, co można określić jako globalna zapaść kognitywna. Problem ten dotyczy zwłaszcza polityków państw zachodnich. Są oni, jak ci ludzie, którzy słowa Merkel o tym, że Putin „żyje w innym świecie", zinterpretowali jako stwierdzenie, że prezydent Rosji postradał rozum. Tymczasem chodzi o to, że gospodarz Kremla kieruje się innym dyskursem politycznym niż ten panujący na Zachodzie. To dlatego swoimi decyzjami i działaniami polityków państw zachodnich zaskakuje.

Po zakończeniu zimnej wojny elity Zachodu uwierzyły w to, że dla liberalnej demokracji nie ma alternatywy. Tak więc system ten powinien być zaaplikowany wszędzie, ponieważ niesie ze sobą wolność i dobrobyt, czyli uszczęśliwia społeczeństwa. Oczywiście nie istnieją ustroje idealne, więc i on obarczony jest rozmaitymi wadami, ale generalnie nic lepszego niż liberalna demokracja nie wymyślono. Nie ma się zatem co dziwić, że w roku 2013 Ukraińcy opowiedzieli się za wyjściem ze „strefy uprzywilejowanych interesów" Rosji – państwa będącego jednak wciąż pod wieloma względami reliktem ZSRS – i kursem na Unię Europejską. To jednak nie spodobało się na Kremlu. Rządzący Rosją po dyktatorsku były oficer KGB, dla którego rozpad Związku Sowieckiego był największą geopolityczną tragedią XX w., postanowił rozprawić się z nieposłuszną Ukrainą. Dał więc upust swoim nieposkromionym żądzom imperialnym. Ale mimo wszystko nasuwa się pytanie: Jak tak mógł się zachować? Przecież agresja jednego państwa na drugie musiała się spotkać z dezaprobatą społeczności międzynarodowej. Putin naraził Rosję na sankcje ekonomiczne, które prędzej czy później pogrążą jej gospodarkę i wywołają niezadowolenie społeczne. A poza tym rzucił rękawicę NATO – w skali globalnej najpotężniejszemu blokowi polityczno-militarnemu, składającemu się z najbogatszych państw. Nie dość zatem, że okazał się zbrodniarzem, to jeszcze kimś, kto prowadzi politykę samobójczą. Mniej więcej tak można streścić przekaz serwowany przez elity Zachodu.

Od aneksji Krymu minęło jednak już 12 lat. W tym czasie w roku 2022 Rosja rozpoczęła pełnoskalową wojnę przeciw

eprasa.pl 2eeee85d49

Ukrainie, a więc poszła w swoich agresywnych działaniach znacznie dalej niż w 2014. I choć ostateczny wynik tego konfliktu zbrojnego jest trudny do przewidzenia, to nie widać, żeby optymistyczna narracja elit Zachodu znalazła odzwierciedlenie w rzeczywistości. Dlaczego – o tym jest właśnie książka Todda.

Państwa Globalnego Południa (z Chińską Republiką Ludową na czele), nazywanego przez francuskiego demografa Resztą świata, poparły Rosję. Nie musiały tego nawet robić aktywnie – wystarczyło, że nie przyłączyły się do sankcji nałożonych na nią przez obóz Zachodu. Rosja promuje koncepcję świata wielobiegunowego, która państwom Globalnego Południa odpowiada. Odrzucają one jednobiegunową architekturę stosunków międzynarodowych, czyli hegemonię Zachodu pod przywództwem USA. I są oporne wobec progresywnych ideologii. Te zaś moralnie i społecznie dewastują Zachód.

Todd jako demograf przywiązuje wagę do takich wskaźników, jak śmiertelność niemowląt, spodziewana długość życia, zawieranie małżeństw. Uważa, że sporo one mówią o kondycji społeczeństw. I wskazuje procesy rozkładające rodzinę w państwach Zachodu jako jeden z objawów jego głębokiego kryzysu. W ten sposób daje o sobie znać sekularyzacja społeczeństw zachodnich (zanik norm społecznych wywiedzionych z chrześcijaństwa). A elity Zachodu odkleiły się od rzeczywistości. Doprowadziły do deindustrializacji swoich krajów (to efekt przenoszenia fabryk tam, gdzie produkować jest taniej, czyli do państw Globalnego Południa) i jałowo próbują ratować ich gospodarki drukiem pieniędzy. Taką polityką przyczyniły się do pauperyzacji klasy średniej na Zachodzie. Faworyzując mniejszości rasowe i seksualne, występują przeciw rodzimym warstwom ludowym, w których tlą się pozostałości chrześcijaństwa. Wreszcie zaprzeczają prawom natury (choćby usiłując normalizować transpłciowość, co przeczy genetyce: płeć jest uwarunkowana biologicznie).

Przy czym – zdaniem Todda – Zachód nie stanowi zwartej wspólnoty. Targają nim wewnętrzne sprzeczności. Państwa Unii Europejskiej (którą obciąża jej rosnąca biurokratyzacja), antagonizując się z Rosją, wsparły Amerykę wbrew własnym interesom. Zamiast usamodzielnić się względem USA, pozostają w zależności od nich. I ponoszą olbrzymie koszty zerwania współpracy gospodarczej z Rosją. Nie bez znaczenia jest, że w UE do głosu doszły państwa dawnego bloku wschodniego. Na ich stosunek do Rosji cieniem się kładą negatywne historyczne doświadczenia w relacjach z nią.

DEMONIZACJA I PSYCHIATRYZACJA PRZECIWNIKA

Wracając do wojny rosyjsko-ukraińskiej, francuski demograf wskazuje, że mamy do czynienia z fałszywym obrazem tej konfrontacji. Jest ona tak naprawdę starciem Rosji z USA, a patrząc szerzej – Reszty świata z Zachodem. Każdy z uczestników tego konfliktu demonizuje i psychiatryzuje swojego przeciwnika, a tym samym nie jest w stanie przyjąć do wiadomości logiki, którą tamten się kieruje (to właśnie przejaw zapaści kognitywnej). Kiedy dla Ameryki ważne jest, żeby w imię liberalno-demokratycznego uniwersalizmu strzec porządku globalnego, który się ukształtował po zimnej wojnie, Rosja kładzie nacisk na kolidującą z tym porządkiem swoją suwerenność. Przy czym – według Todda – starcie, o którym mowa, to nie jest zderzenie demokracji z autorytaryzmem, lecz liberalnej oligarchii z autorytarną demokracją. O ile w USA wolność łączy się z tym, że wąska grupa krezusów (czyli właśnie oligarchów) okazuje się uprzywilejowana kosztem ludu, o tyle w Rosji, gdzie występuje deficyt wolności, dobry car trzyma krótko złych bojarów i tym samym cieszy się szerokim poparciem społecznym.

Ludzie Zachodu stając przed obrazem konfrontacji rosyjsko-ukraińskiej, nie widzą jej złożonych przyczyn. Todd streszcza opinię Johna Mearsheimera dotyczącą powodów, dla których w roku 2022 Rosjanie ruszyli ze „specjalną operacją wojskową". Według tego znanego amerykańskiego politologa Kreml długo komunikował, że nie zgodzi się na wejście Ukrainy do NATO. Tymczasem pod nadzorem NATO-wskich doradców stawała się ona nieformalnym członkiem tej organizacji. „Rosjanie zrobili więc to, co zapowiadali – sięgnęli po rozwiązanie militarne". Dla Rosji bowiem „Ukraina stanowi kwestię egzystencjalną, a dla Stanów Zjednoczonych – nie". Oddalona od miejsca konfliktu o 8 tys. km Ameryka „gra jedynie o marginalne korzyści".

Oczywiście takie stawianie sprawy pokrywa się z kremlowską propagandą. W niej zaś próbuje się działania państwa rosyjskiego legitymować poglądem, że właściwie jednoczy ono dawne ziemie ruskie (idea „ruskiego miru"). Todd jednak zarazem wskazuje, że Ukraina to nie Rosja. Ukraińcy od Rosjan mentalnie się różnią. Są dużo bardziej indywidualistycznie nastawieni do świata niż oni. Jednocześnie struktura społeczeństwa ukraińskiego nie jest etnicznie jednolita. Gdy Ukraina uzyskała w roku 1991 niepodległość, znaczącą część obywateli nowego państwa stanowili Rosjanie zamieszkujący jego regiony południowe i wschodnie. To stało się zarzewiem późniejszej konfrontacji.

Autor „Klęski Zachodu" zarzeka się, że nie jest adwokatem Rosji. A jednak trudno oprzeć się wrażeniu, że ma dużo zrozumienia dla agresywnej polityki Putina. Nagminne używanie przez Todda słowa „rusofobia" – terminu z arsenału kremlowskiej propagandy – daje do myślenia, choć zarazem przyznaje on, że narody Europy Wschodniej mają powody ją żywić. Do tego dochodzą rozmaite kurioza. Na przykład Todd oznajmia, że w Katyniu zginęło blisko 4,5 tys. Polaków, a nie – zgodnie z oficjalnymi danymi – ok. 22 tys. Raczy też czytelników teoriami spiskowymi. W jednej z nich wyciągając wnioski z tego, że w wyniku przeprowadzonej przez wojska ukraińskie kontrofensywy w roku 2023 wzrosła liczba Ukraińców po amputacjach, stwierdza, że na tej sytuacji zarabia niemiecki przemysł protez, co stanowi sugestię, iż choćby z tego powodu Niemcy mogą być zainteresowane trwaniem wojny.



EMMANUEL TODD „KLĘSKA ZACHODU" PRZEŁOŻYŁA MARTA TURNAU, UNIVERSITAS, KRAKÓW 2025

Tak więc książka francuskiego demografa ma mankamenty. Niemniej przeważają jej zalety. Chodzi przede wszystkim o przenikliwą analizę czynników psychologicznych, politycznych, społecznych, które od wewnątrz rozbrajają Zachód.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2eeee85d49



Jacek Komuda

Widowiskowe pojedynki na rewolwery to wymysł amerykańskiego przemysłu filmowego. To nie Dziki Zachód, ale Europa w XIX w. stworzyła zasady rozstrzygania honorowych spraw poprzez użycie broni palnej



Na kartach historii USA zapisał się stoczony 11 lipca 1804 r. w Weehawken w New Jersey pojedynek dwóch polityków: Aleksandra Hamiltona i Aarona Burra FOT. LIBRARY OF CONGRESS

Człowiek strzela, Pan Bóg kule nosi

Moda na pojedynki z wykorzystaniem pistoletów, a nie broni białej, pojawiała się sporadycznie w XVIII w., aby wejść w modę w kolejnym stuleciu. Dlaczego pistolety zaczęły cieszyć się o wiele większą popularnością niż szpada i szabla? Działo się tak, gdyż były bronią znacznie prostszą i dostępną dla szerszych grup społeczeństwa. W XVII w. pojedynek na broń białą zaryzykować mógł przede wszystkim szlachcic, awanturnik lub żołnierz obeznany w zasadach fechtunku. W XIX w. strzelać się mogli nie tylko oficerowie i arystokraci, lecz także dosłownie wszyscy ludzie obdarzeni szeroko rozumianą zdolnością honorową. A więc: uczeni, artyści, studenci, mieszczanie i kobiety. Pojedynek na pistolety był szybszy i skuteczniejszy.

Jak pisze prof. Bartłomiej Szyndler w monografii o honorowych starciach: „W przeciwieństwie do pojedynku na broń białą, gdzie rana powierzchowna nie eliminowała rywala z walki, w pojedynku na broń palną jeden celny strzał zwykle obezwładniał przeciwnika i czynił go niezdolnym do rewanżu w tym samym spotkaniu".

MARKIZA KONTRA MADAME

Jednym z pierwszych znanych starć z udziałem broni palnej stał się pojedynek dwóch… kobiet odbyty w Lasku Bulońskim pod Paryżem w 1721 r. Honorowa sprawa dwóch wściekłych rywalek, kochanek Louisa François Armanda de Vignerot du Plessis, znanego bardziej jako książę de Richelieu, chrześniaka Ludwika XIV. Był to typowy kawaler swojej epoki, awanturnik, kilkakrotnie więziony w Bastylii, bywalec wielu wojen, cieszący się względami licznych arystokratek. Wszystko zaczęło się od nieporozumienia, które dziś może wydawać się zabawne. Otóż książę umówił się tego samego dnia na schadzkę z dwiema kobietami – z markizą Armande Félice de La Porte Mazarin de Nesle, córką księcia Mazarin, oraz z jej szwagierką znaną jako Madame de Polignac (być może o imieniu Nathalie, gdyż trudno odkryć jej prawdziwą tożsamość). Pierwsze spotkanie miało odbyć się o godz. 14, a kolejne o 16, niestety sekretarz księcia przygotowujący listy pomylił się i wyznaczył schadzkę o tej samej godzinie. Kiedy Madame de Polignac i markiza de Nesle pojawiły się w jednym miejscu o tej samej godzinie, doszło do sceny zazdrości i złości. Markiza rzuciła się na rywalkę i próbowała zerwać diamentowy naszyjnik z szyi Madame de Polignac. Nie mogąc zdjąć naszyjnika, wyrwała róże z sukni i rzuciła przeciwniczce w twarz. Madame de Polignac odpowiedziała własnym atakiem, doszło zatem do bijatyki dwóch kobiet, które zostały szybko rozdzielone. Taka awantura nie mogła mieć innego zakończenia

eprasa.pl 2eeee85d49



jak pojedynek, którego zasady zostały wkrótce ustalone. Markiza de Nesle wybrała pistolety, ponieważ znała tę broń. Postanowiono, że w trakcie starcia obie kobiety podejdą do szalika rozłożonego na ziemi i będą mogły strzelać, kiedy tylko uznają to za stosowne.

Według przekazów Madame de Polignac złamała regulamin i zawołała do markizy: „Strzelaj, pani, pierwsza i uważaj, żebyś mnie nie spudłowała, jeśli myślisz, że ja spudłuję". Zdenerwowana markiza de Nesle oddała pierwszy strzał, całkowicie chybiając i trafiając w gałąź drzewa. Madame de Polignac odpowiedziała: „Twoja ręka drży z namiętności". Jej strzał sprawił, że przeciwniczka upadła na ziemię, cała we krwi. Na szczęście po chwili okazało się, że ma tylko niegroźną, powierzchowną ranę na ramieniu.

Kiedy po starciu zapytano Madame de Nesle, czy jej kochanek jest godzien cierpień, które znosi, odpowiedziała ponoć: „Tak, tak!… jest godzien jeszcze szlachetniejszej krwi przelanej za niego". Niestety, jej związek z księciem Richelieu wkrótce się rozpadł, gdyż sławny kochanek wolał, być może ładniejszą, Madame de Polignac.

W SIODLE ALBO W BALONIE

Konne pojedynki na pistolety znane były jednak dużo wcześniej, bo już w połowie XVII w. w Polsce. Jeden z nich odbył szwedzki najemnik Hieronim Chrystian Holsten z nieznanym z imienia krewniakiem wojewody poznańskiego Jana Leszczyńskiego. Starcie odbyło się konno na broń palną i szable, przy czym pamiętnikarz użył jedynie pistoletów. Jak pisał: „Rozbiegliśmy się dobrym polskim zwyczajem dość szeroko, wytrzymałem jego rozrzucone strzały i atak z szablą w ręku, przejeżdżając koło niego, oddałem strzał, tak że wyleciał z siodła i spadł na ziemię. Nie robiłem długich ceremonii i odjechałem".

Podobny pojedynek odbył się, już w kolejnym stuleciu, pomiędzy wojewodą lubelskim Adamem Tarłą i Kazimierzem Poniatowskim. Przeciwnicy najpierw walczyli na szpady, a potem konno na pistolety, po czym Tarło zabił wierzchowca pod Poniatowskim, ten zaś upadając, krzyknął: „Kocham pana wojewodę", co było oznaką poddania się. Jednak walka nie zakończyła sporu; kolejne starcie miało miejsce 16 marca 1744 r. pod Marymontem na przedmieściach Warszawy. Na początku przeciwnicy mieli walczyć na szpady, jednak ostatecznie sięgnęli po pistolety. Tarło strzelał pierwszy, ale zapomniał odciągnąć kurek, na co zwrócił mu uwagę Poniatowski. Kiedy wypalił, okazało się, że chybił. Z kolei jego przeciwnikowi wystrzał spalił na panewce. Wówczas rywale sięgnęli po drugie pistolety i wypalili równocześnie… Równocześnie też chybili! Dopiero teraz sięgnęli po szpady; w trzecim złożeniu obaj trafili, jednak Tarło odskoczył, a po chwili upadł – okazało się, że otrzymał pchnięcie w serce. Podejrzewano nawet, że śmiertelną ranę zadał sekundant Poniatowskiego – Korff – który po pojedynku szybko wyjechał z kraju.

Pojedynki na broń palną upowszechniły się bardzo w stuleciu następnym, w czasie wojen napoleońskich. Wówczas też pojawiły się dokładne scenariusze tych dramatycznych starć, ustalane przez sekundantów. Bardzo często walczący wymyślali niesamowite wręcz okoliczności

eprasa.pl 2eeee85d49

i reguły walki, które miały zapewnić im sławę. W 1803 r. odbył się jeden z najbardziej niesamowitych pojedynków na broń palną – konkretnie muszkiety. Dwóch rywali – nieznanych z imienia Francuzów – Grandpierre i Peck wzniosło się w powietrze balonami. Po osiągnięciu wysokości ok. 200 m strzelali do napełnionych gazem czasz. Balon Pecka pękł pierwszy, a jego właściciel spadł na ziemię i poniósł śmierć na miejscu.

Jeszcze bardziej pomysłowym pojedynkiem był ten stoczony na Jamajce w 1817 r., kiedy Henry d'Edville i kapitan Stuart ze Szkocji mieli strzelać do siebie, stojąc w wykopanym zawczasu grobie, z odległości zaledwie dwóch kroków, przez prześcieradło, którego końce trzymali – każdy w lewym ręku. Jednak d'Edville padł zemdlony, zanim doszło do wymiany ognia.

W Polsce w XIX w. jednym z najbardziej tragicznych pojedynków było starcie, w którym zginął patriota i powstaniec styczniowy – Stefan Bobrowski. Strzelał się z Adamem Grabowskim, awanturnikiem i intrygantem, człowiekiem, który przywłaszczył sobie pieniądze zebrane na zakup broni. Do sporu doszło na tle przejęcia władzy nad powstaniem po aresztowaniu Mariana Langiewicza. Grabowski bowiem przywłaszczył sobie uprawnienia wysłannika Rządu Narodowego i Komitetu Centralnego, posługując się sfałszowanymi papierami i listami. Zdemaskowany przez Bobrowskiego, który ogłosił, że Komitet Centralny będzie teraz występował w roli Tymczasowego Rządu Narodowego, wyzwał go na pojedynek. Kiedy w dodatku Bobrowski odmówił podania ręki Grabowskiemu, odbył się sąd honorowy, który zarządził starcie. Jako broń wybrano pistolety, chociaż Bobrowski był krótkowidzem. 12 kwietnia w Lesie Łączyńskim pod Rawiczem w Wielkopolsce doszło do pojedynku, który zakończył się tragicznie. Grabowski trafił bowiem Bobrowskiego prosto w serce.

KODEKSY HONOROWE

Już na początku XIX stulecia skodyfikowane zostały ogólne zasady honorowego rozstrzygania sporów i zniewag; wówczas też wykształciło się kilka typów starć z użyciem broni palnej. W Anglii najbardziej znana była wydana w 1836 r. anonimowa książka, w której autor podpisał się jako: „A Traveller". Nosiła tytuł: „The Art of Duelling". Z kolei z tego samego roku pochodziła francuska „Essai sur le duel" spisana przez hrabiego de Châteauvillarda (ten autor też zachowywał anonimowość), która miała duży wpływ na inne europejskie kodeksy. W świadomości Polaków największą rolę odgrywa do dziś „Polski kodeks honorowy" Władysława Boziewicza wydany po raz pierwszy w 1919 r. Jednak mało kto wie, że nie była to wcale pierwsza i jedyna publikacja na ten temat. Tą bowiem stało się dzieło Józefa Naimskiego „O pojedynkach" wydane w 1881 r., drugim: „Pojedynek, jego reguły i przykłady" Witolda Bartoszewskiego z 1899 r., a także opublikowany w tym samym roku we Lwowie „Kodeks honorowy i reguły pojedynku" Zygmunta A. Pomiana. Nawet po wydaniu Boziewicza w 1924 r. pojawił się w Warszawie „Kodeks honorowy" Tadeusza Zamoyskiego i Eugeniusza Krzemienieckiego.

Reguły pojedynku na pistolety, które wykształciły się w Europie w XIX w., nie miały nic wspólnego z brutalnymi strzelaninami amerykańskiego Dzikiego Zachodu.

W porównaniu z nimi rzekomo legendarny pojedynek Jamesa Butlera Hickoka zwanego „Dzikim Billem" z 21 lipca 1865 r. w Springfield, gdzie zastrzelił Davisa K. Tutta, to zwykłe bandyckie porachunki, niemające nic wspólnego z honorowym rozstrzyganiem sporu. Choć wedle przekazów Hickok uprzedził jednak łaskawie przeciwnika przed starciem, że zamierza użyć rewolweru. Dodajmy też, że „Dziki Bill" zginął w 1876 r. w Deadwood z ręki hazardzisty Jacka McCalla, który po prostu strzelił mu w plecy. Tak naprawdę Dziki Zachód przejmował obyczaj pojedynkowy w prymitywnej i spłyconej formie, którą upowszechniły w kolejnym wieku hollywoodzkie filmy. Z kolei amerykański wschód przyjmował europejskie zasady honorowego postępowania. Przykładem jest stoczony 11 lipca 1804 r. w Weehawken w New Jersey sławny pojedynek dwóch polityków – Aleksandra Hamiltona i Aarona Burra. Obaj strzelali na komendę – Hamilton nie oddał strzału, natomiast Burr trafił go celnie, doprowadzając do śmierci. Złośliwi powiadają, że



Pojedynek kobiet. Ilustracja z 1792 r.
FOT. WELLCOME COLLECTION/DOMENA PUBLICZNA

od tamtego czasu datowała się wrogość pomiędzy amerykańskimi partiami politycznymi, chociaż ugrupowania, do których należeli przeciwnicy – partia federalistyczna i partia demokratyczno-republikańska – już nie istnieją.

„WOLNY" CZY „NA KOMENDĘ"?

Tymczasem w Europie funkcjonował już specyficzny ceremoniał pojedynkowy. Przede wszystkim nie używano wielostrzałowych rewolwerów, ale specjalnie wytwarzanych do tego celu pistoletów pojedynkowych – zwykle z zamkami skałkowymi lub kapiszonowymi, które umożliwiały oddanie tylko jednego strzału.

Broń nabijana była przez sekundantów na miejscu albo przez rusznikarza, który wydawał ją w zapieczętowanym pudełku. Przed samym starciem pistolety losowano, a rywale musieli opróżnić kieszenie z zegarków, monet i innych drobnych przedmiotów, które mogły ochronić przed kulą. Sekundanci mogli zresztą dokonać przeszukania ich ubrań, szukając elementów ochronnych. Do starcia wrogowie ubierali się w ciemne stroje, z podniesionymi kołnierzami, które miały zasłonić białe kołnierze noszonych pod spodem koszul.

Pierwszym rodzajem starcia był – jak podaje Bartłomiej Szyndler – pojedynek „ze stałym posterunkiem". Polegał on na tym, że obaj przeciwnicy ustawiali się w odległości 35 kroków – pierwszeństwo strzału przysługiwało obrażonemu, który dotknięty był zniewagą. Jeśli odległość była mniejsza, to losowano kolejność strzału. Komendy wydawał kierownik pojedynku. Najpierw: „Naciągać" – co było znakiem do odwiedzenia kurków zamków broni. Następnie: „Strzelać" – oznaczało pozwolenie na strzał, ale – o czym zapomina większość filmów

eprasa.pl 2eeee85d49



– wrogowie dawali ognia w ustalonej kolejności. Co więcej, sekundanci patrzyli na zegarki – pierwszy strzał miał paść w ciągu minuty. Jeśli pojedynkowicz nie pociągnął za spust, to tracił do niego prawo. Gdy rywale spudłowali, ogłaszano drugie, a w razie czego – trzecie strzelanie. Bez względu na rezultat ogłaszano wówczas zakończenie pojedynku.

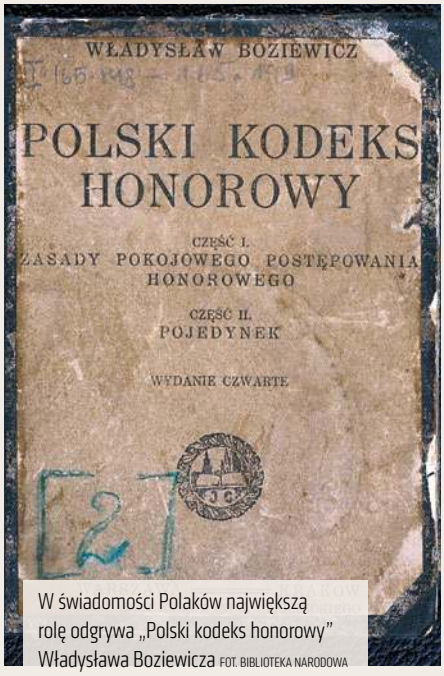
Kolejną wersją starcia był pojedynek „ze stałym posterunkiem i wolnym strzelcem". Wrogowie stawali w odległości 25 kroków i odwracali się od siebie. Na komendę „Strzelać" obracali się, naciągali kurki i oddawali strzały w ustalonej kolejności. I w dowolnym czasie. Jednak drugi strzał musiał paść w ciągu minuty po pierwszym. Pojedynek „z barierami" polegał na wytyczeniu dwóch linii ograniczonych chorągiewkami. Przeciwnicy stawali w odległości – każdy 10 kroków od owych znaków – na komendę: „Naprzód" naciągali kurki i postępowali ku sobie, czyli w kierunku chorągiewek, których nie mogli przekroczyć. Przeciwnik, który chciał oddać strzał, zatrzymywał się, jednak musiał poczekać na wystrzał rywala, który od tej chwili miał minutę na wykonanie swej akcji. Ranny miał z kolei dwie minuty na oddanie strzału.

Kolejnym rodzajem starcia był pojedynek „z przerywanym posuwaniem się naprzód". Wrogowie stawali na końcach linii, za chorągiewkami, jednak po rozpoczęciu starcia przemieszczali się wewnątrz zakreślonego i kończącego się chorągiewką prostokąta. A zatem mogli kluczyć, poruszać się na boki i strzelać w dowolnym momencie. Jednak po oddaniu strzału każdy musiał się zatrzymać. Z kolei przeciwnik miał pół minuty na oddanie swego po akcji rywala.

Pojedynek na liniach równoległych wyglądał podobnie, tyle że wrogowie ustawieni w odległości od 25 do 35 kroków poruszali się po wykreślonych równolegle pasach. Na komendę „Naprzód!" postępowali przed siebie, a rywal, który chciał strzelić, musiał się najpierw zatrzymać; jednak wówczas i tak musiał czekać na strzał przeciwnika, który z kolei miał na akcję tylko pół minuty. Była też wersja pojedynku – jak podaje Szyndler – nadzwyczajna, gdzie przeciwnicy szli „krokiem wojskowym" i strzelali z marszu – każdy musiał wypalić, zanim doszedł do końca swej linii.

Najciekawsze, że pojedynek „na komendę", który najczęściej pokazywany jest w filmach, występował najrzadziej, gdyż zarządzano go jedynie w wypadku najgorszej obrazy. Wówczas wrogowie ustawiali się w odległości od 25 do 30 kroków. Kierownik wołał najpierw: „Uwaga, panowie, daję znak", a potem klaskał w dłonie po raz pierwszy – był to znak na podniesienie broni. Po raz drugi – na celowanie, a trzecie klaśnięcie oznaczało jednoczesny strzał. Jeśli ktoś wypalił wcześniej, to uznawano go za niehonorowego – przeciwnik mógł wówczas celować dowolnie długo.

Jak zatem widać, większość reguł miała na celu uczynienie pojedynków mniej morderczymi, a kodeksy często wyrzucały poza nawias postępowania honorowego takie satysfakcje, jak pojedynek z jednym naładowanym pistoletem, kiedy uczestnicy losowali broń, a potem strzelali do siebie z bliska, trzymając w lewym ręku brzeg chusty.



W świadomości Polaków największą rolę odgrywa „Polski kodeks honorowy" Władysława Boziewicza FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

PISTOLETY WIENIAWY

Liczne pojedynki w Polsce odbywały się w XX-leciu międzywojennym, gdzie przyjął się powszechnie wspomniany kodeks Boziewicza, dość demokratyczny, ponieważ uznający za osoby honorowe, a więc zobowiązane do „dawania satysfakcji", obywateli posiadających minimum średnie wykształcenie albo takich, którzy pomimo jego braku zajmowali wybitne stanowisko społeczne.

Zdolności honorowej nie mieli homoseksualiści i mężczyźni będący na utrzymaniu kobiet, alkoholicy, szantażyści i ci, którzy wykazali się tchórzostwem na polu walki. A także ludzie łamiący słowo honoru i… gospodarze obrażający gości we własnym domu.

Bardzo częste były pojedynki pomiędzy oficerami; w jednym z nich zginął podporucznik Zbigniew Belina-Prażmowski, syn Władysława, sławnego oficera Legionów (w gazetach podawano, że zmarł na skutek przypadkowego wystrzału). Z kolei ciekawy pojedynek, można by rzec „na pokaz", odbył się w 1921 r., kiedy major Duchnowski z 14. pułku ułanów wyzwał majora Bardzińskiego za obrazę munduru pułkowego. Starcie wyglądało tak, że każdy z przeciwników „z całą premedytacją wystrzelił dziurę w powietrzu i honorowi stało się zadość".

Jednym z wyższych oficerów, który wielokrotnie pełnił funkcję sekundanta albo kierownika pojedynku, był sławny Bolesław Wieniawa-Długoszowski. W czasach, kiedy służył jako dowódca 1. Pułku Szwoleżerów w Warszawie, udostępniał nawet na ten cel ujeżdżalnię pułku przy dzisiejszej ulicy Szwoleżerów. Co ciekawe, miał on własne pistolety pojedynkowe zdeponowane w Spółce Myśliwskiej, które wypożyczano chętnym za opłatą. Były one jednak tak niecelne, że strzelający do siebie rzadko czynili sobie krzywdę. Tak było w przypadku pojedynku, w którym brał udział porucznik Zygmunt Sokołowski, który oddawał strzał jako drugi, ale zarówno jego przeciwnik celujący w głowę, jak i on sam – mierzący w piersi wroga – spudłowali i ostatecznie pojednali się bezkrwawo.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2eeee85d49



KOMUCHOŻERCA

Siedlce ’44

LESZEK ŻEBROWSKI

To była jedna z najbardziej spektakularnych akcji polskiego podziemia, całkowicie skuteczna i w dodatku przeprowadzona bez strat własnych. 7 marca 1944 r. Niemcy aresztowali podczas konspiracyjnej odprawy większość oficerów Komendy Okręgu XII „Podlasie” i innych osób funkcyjnych. Było pewne, że zostaną oni szybko wysłani na dalsze przesłuchania do Warszawy. Ponadto nie było wiadomo, ile czasu minie, zanim zaczną mówić na skutek bicia i tortur. Trzeba było zatem się śpieszyć. Z Dowództwa NSZ przybył rtm. Tadeusz Domański „Brzozowski”, oficer do spraw specjalnych zleceń. Miał on nadzorować całość operacji przygotowywanej przez pozostałych na wolności oficerów Komendy Okręgu. Niemcy, świadomi, że może być podjęta próba ich uwolnienia, wzmocnili swe posterunki i uruchomili dodatkowe patrole w okolicy. Miejscowi oficerowie AK proszeni o pomoc uznali, że przewaga Niemców jest zbyt wielka.

Atutem NSZ było posiadanie swoich ludzi wśród strażników, którzy dostarczyli najważniejszych danych o więzieniu i rozmieszczeniu wart. Najważniejszą rolę odegrał strażnik „Miły”. Akcję przeprowadzono 12 marca 1944 r. Przebrany w niemiecki mundur Stefan Kosobudzki „Sęk” pozorował przyprowadzenie trzech aresztowanych. W rzeczywistości byli to żołnierze NSZ, którzy w ten sposób dostali się do wnętrza więzienia. Druga grupa, korzystając z klucza do służbowej furtki dla strażników, również znalazła się wewnątrz więzienia. Szybko rozbroili strażników i uwolnili zatrzymanych oficerów NSZ. Dwie kobiety, zamknięte w innym pawilonie, nie zostały jednak uwolnione.

Tak oto organizacja, do dziś oskarżana o kolaborację z Niemcami, po cichu i skutecznie prowadziła operacje specjalne. W wyniku tej operacji wolność odzyskali: ppłk Stanisław Miodoński „Sokół”, komendant Okręgu; kpt. Szczepan Piszczek „Hubert”, szef oddziału I; kpt. Wiktor Chyliński „Lis”, komendant Powiatu Siedlce; kpt. Leon Klencner „Jan”; ks. mjr Stanisław Jurczak „Brzoza” – szef Duszpasterstwa Okręgu; por. Jerzy Wojtkowski „Drzazga” – szef Pogotowia Akcji Specjalnej; komendant obozu szkoleniowego „Dym”, por. Michał Rossała „Wali”.

Nie była to jedyna ani najważniejsza akcja tego typu, ale po 1944 r. w Polsce Ludowej nie było możliwości mówienia i pisania o takich dokonaniach NSZ. Nie pasowały one bowiem do obowiązującej linii propagandowej i ideologicznej komunistów, którzy NSZ traktowali jako zdrajców, a ich faktyczny dorobek w walce z Niemcami przypisywali… sobie. Taka metoda walki z przeciwnikami politycznymi obowiązuje w tych kręgach do dziś. ©℗



HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Pierwszy triumf Chmielnickiego

SŁAWOMIR KOPER

Kozacki przywódca był zdolnym organizatorem i po wybuchu powstania stworzył z mieszkańców Zaporoża trzon prężnej armii. Zawarł też przymierze z odwiecznym wrogiem – chanem Krymu, zabezpieczając sobie tyły i wzmacniając siły zbrojne. W efekcie nad naszym krajem zawisło śmiertelne niebezpieczeństwo.

Władze polskie szybko zareagowały na wybuch powstania i nad Dnieprem pojawiły się wojska koronne dowodzone przez hetmana Mikołaja Potockiego. Polski dowódca nie docenił jednak siły Kozaków i dysponując w miarę liczną armią, podzielił wojsko na trzy części, umożliwiając kolejne zwycięstwa Chmielnickiego.

Rolę straży przedniej odgrywał trzytysięczny oddział pod dowództwem syna hetmana – Stefana Potockiego. Dnieprem płynęły 4 tys. Kozaków rejestrowych, a całość zamykały siły główne pod osobistym dowództwem hetmana. Oddziały były jednak zbyt oddalone od siebie, a Chmielnicki w mistrzowski sposób wykorzystał błędy Potockiego.

Do pierwszego starcia doszło nad Żółtymi Wodami, lewym dopływem Małego Ingułu (prawego dopływu Bohu). Rzeka zawdzięcza nazwę żółtemu piaskowi wyścielającemu dno, a ukształtowanie terenu umożliwia skuteczną obronę. Stefan Potocki zorientował się w przewadze rebeliantów (wódz kozacki miał dwa razy więcej ludzi) i okopał się w obozie, gdzie oczekiwał na posiłki. Płynący Dnieprem Kozacy rejestrowi przeszli jednak na stronę powstańców, a w obozie polskim szerzyły się dezercje. Chmielnicki osiągnął zdecydowaną przewagę i niebawem doszło do tragedii, którą opisał Henryk Sienkiewicz, a zekranizował Jerzy Hoffman (bitwa rozpoczęła się 29 kwietnia 1648 r.).

Szczególnie kadry z filmu zapadają w pamięci. Padający deszcz oraz husaria grzęznąca w błocie i można było odnieść wrażenie, że gdyby nie kaprysy pogody, to powstanie zostałoby stłumione, zanim na dobre się rozpoczęło. To jednak nieprawda. W oddziałach Potockiego znajdowała się zaledwie jedna chorągiew husarii (ok. 100 ludzi), a pogoda nie miała wpływu na przebieg walk. Młody polski dowódca, widząc zdecydowaną przewagę nieprzyjaciela (rebeliantów było już 10 razy więcej), rozpoczął rozmowy z Kozakami. Zawarto porozumienie i po uformowaniu obronnego taboru Polacy rozpoczęli odwrót.

Chmielnicki pamiętał jednak, że władze Rzeczypospolitej nigdy nie dotrzymywały przyrzeczeń wobec Kozaków. Dlatego na drodze polskiego oddziału wykopano rowy i podczas ich pokonywania uderzyli Kozacy z Tatarami. Tabor został rozerwany, a młody Potocki śmiertelnie ranny. Do niewoli dostał się Stefan Czarniecki i niebawem cała Ukraina stanęła w ogniu. ©℗

eprasa.pl 2eeee85d49



FOT. ADOBE STOCK

MAKARON ZAMIAST KLOCKÓW

Do nietypowych kradzieży doszło w USA w sklepach sieci Target. Dwudziestoośmioletni mężczyzna z Paramount (Kalifornia) kupował zestawy Lego. Wyciągał z nich wartościowe elementy, a następnie zwracał do sklepów opakowania, ale wcześniej wypełniał je suchym makaronem – tak aby zachowały podobną wagę i dźwięk przy potrząsaniu jak towary przed zakupem. W ten sposób dokonał ok. 70 kradzieży. Sprzedawcy myśląc, że oddają mu pieniądze za zwrócone towary, przekazali mu w sumie 34 tys. dol.

CAŁOWAŁ POMNIK

Amerykański youtuber Johnny Somali został skazany na sześć miesięcy więzienia w Korei Południowej za zakłócanie porządku i rozpowszechnianie fałszywych treści o charakterze seksualnym. Mężczyzna wywołał oburzenie Koreańczyków, całując pomnik przedstawiający niewolnice seksualne – ofiary japońskich okupantów z czasów drugiej wojny światowej – i tańcząc na nim. Swoje szydercze zachowanie Amerykanin nagrał, a następnie wideo zamieścił w Internecie.

WYGRAŁ ROBOT

Już nie tylko ludzie biorą udział w rywalizacji sportowej. Tak jest przynajmniej w Chinach, o czym świadczy niedawny półmaraton w Pekinie. Obok ludzi uczestniczyły w nim dziesiątki humanoidalnych robotów. Dystans obejmował 21 km. Wyścig wygrała maszyna, która ukończyła bieg w 50 minut i 26 sekund. Tym samym pobiła o ok. siedem minut rekord świata ustanowiony przez człowieka – Ugandyjczyka Jacoba Kiplimo w Lizbonie w marcu br.

KRADZIEŻ BYDŁA

W Uebigau-Wahrenbrück (Brandenburgia) z pastwiska zniknęło aż 70 sztuk bydła. Kiedy świadkowie zauważyli ich brak, zawiadomili policję, która wpadła na trop przestępstwa. Sprawcy wydarzenia dostali się na teren pastwiska i wywieźli krowy w nieznany sposób. Na miejscu znaleziono ślady ciężarówek. Prawdopodobnie była to zorganizowana akcja wymagająca transportu na dużą skalę. Wartość skradzionych zwierząt oszacowano na ok. 50 tys. euro.

UWIĘZIENI W POCIĄGU

Ponad 200 pasażerów pociągu amerykańskiej sieci Amtrak zostało uwięzionych na prawie dobę. Przyczyną były pożary lasów na północy Florydy, które sparaliżowały ruch kolejowy. Warunki w pociągu szybko się pogorszyły, pasażerowie zgłaszali brak dostępu do jedzenia i wody, przepełnione i niedziałające toalety oraz problemy zdrowotne części osób. Niektórzy mieli kończące się leki, a służby ratunkowe musiały interweniować na miejscu. ©℗

Filip Memches



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Trump traci sojuszników

Wpływowy konserwatywny komentator Tucker Carlson, – na platformie X ma 17,5 mln obserwujących, na Instagramie 6,3 mln followersów, a na YouTube 5,6 mln subskrybentów – ogłosił, że żałuje, iż wspierał Donalda Trumpa w wyścigu do Białego Domu. – Myślę, że to moment, w którym powinniśmy zmierzyć się z własnym sumieniem – ogłosił Carlson. – Chcę powiedzieć, że przepraszam za wprowadzenie ludzi w błąd. To nie było celowe – stwierdził publicysta, dodając, że będzie go to „dręczyć przez długi czas".

W odpowiedzi Trump uznał Carlsona za kogoś „mocno przereklamowanego". Skrytykował też innych konserwatywnych publicystów, w tym Megyn Kelly, uznając, że „łączy ich jedno: niskie IQ".

Kolejne decyzje prezydenta USA wywołują rozłam nie tylko wśród amerykańskich konserwatystów. Nowych sojuszników szukają też po świecie najbardziej lojalni dotąd przyjaciele Ameryki. Są wśród nich europejscy politycy, którzy mogą w tej kwestii liczyć na głosy wielu mieszkańców Starego Kontynentu. Według kwietniowego sondażu Politico Pulse aż 51 proc. Hiszpanów uważa USA za zagrożenie, a tylko 17 proc. widzi w Ameryce bliskiego sojusznika. Jako zagrożenie dla Europy postrzega Amerykę 46 proc. Włochów, 42 proc. Belgów, 37 proc. Francuzów i 30 proc. Niemców. Większość Hiszpanów, Włochów, Belgów oraz Niemców ocenia, że USA są większym zagrożeniem dla Europy niż Chiny. Polska znacząco się na tym tle wyróżnia. Jako zagrożenie postrzega USA 13 proc. Polaków, a 24 proc. nadal widzi w Ameryce bliskiego sojusznika. Czas pokaże, czy administracja USA wyciągnie z tych danych rozsądne wnioski. ©℗

eprasa.pl 2eeee85d49

Rewolucja za zgodą Putina



Maciej Pieczyński

Rosyjska influencerka publicznie skrytykowała działania władz. Rosjanie coraz chętniej narzekają na sytuację w kraju. Paradoksalnie prezydentowi Federacji Rosyjskiej nie musi to zaszkodzić

Niedawno, 6 kwietnia br., popularna rosyjska influencerka, prezenterka telewizyjna, modelka i celebrytka Wiktoria Bonia za pośrednictwem Instagrama zwróciła się do władcy Kremla z wideoapelem o rozwiązanie kilku problemów, z którymi zmagają się jej rodacy. W ciągu sześciu dni nagranie zebrało ponad 30 mln wyświetleń oraz półtora miliona polubień. Bonię na Instagramie obserwuje prawie 13 mln internautów. Jej apel stał się głównym tematem debaty publicznej w Rosji – zarówno tej putinowskiej, jak i opozycyjnej. To zarazem bodaj najdonośniejszy głos niezadowolenia od czasów buntu Jewgienija Prigożyna w roku 2023.

Celebrytka daje sobie prawo do reprezentowania ogółu tzw. zwykłych Rosjan, którzy nie są w stanie dobić się ze swoim niezadowoleniem do bram Kremla. Od Władimira Putina oddziela ich bowiem – jak to ujęła Bonia – „gruba ściana". Prezydent zaś o wielu sprawach nie wie, gdyż jego otoczenie – od urzędników po Z-blogerów – boi się powiedzieć prawdę swemu przywódcy. Bonia tę śmiałość bierze na siebie. I wymienia pięć aktualnych problemów. Na każdy z nich już wcześniej wskazywało wielu komentatorów – zarówno prokremlowskich, jak i opozycyjnych, jednak Bonia jako pierwsza zebrała te punkty w jeden nośny przekaz.

CO Z TYM INTERNETEM?

Pierwszy problem to potężna powódź, do której doszło niedawno w Dagestanie. Mieszkańcy nie otrzymali od państwa żadnej pomocy. Za to w jednej z miejscowości dla przybyłych tam urzędników rozłożono dywan, aby nie ubrudzili sobie butów. Druga sprawa to katastrofa ekologiczna na Morzu Czarnym, niedaleko kurortu Anapa. W zeszłym roku doszło tam do wycieku mazutu. Władze zapewniają, że zanieczyszczenia zostały usunięte, ale zdaniem celebrytki to kłamstwo. Jako trzeci problem wymienia planowaną legalizację odstrzału zwierząt zagrożonych wyginięciem. Czwarta sprawa to masowy ubój bydła w obwodzie nowosybirskim. Oficjalną przyczyną jest zagrożenie epidemią pasterelozy. Jednak Bonia, podobnie jak wielu innych komentatorów, uważa, że jest to spisek właścicieli wielkich farm, mający na celu wyeliminowanie z rynku drobnych hodowców bydła. Piątym i zarazem najpoważniejszym zarzutem pod adresem władz jest ograniczanie dostępu do Internetu, w tym do mediów społecznościowych.

Bonia na co dzień mieszka w Monako, ale często jeździ do Rosji, gdzie również ma swoje interesy i sprawy osobiste. Jak dotąd nie interesowała się polityką i nie krytykowała działań władz. Jej wystąpienie było więc sporym zaskoczeniem. Wbrew pozorom manifest popularnej celebrytki nie jest lifestyle'ową ciekawostką, tylko poważną sprawą. W sytuacji braku wolności słowa, w warunkach braku nieskrępowanej debaty publicznej głos apolitycznej influencerki może wpłynąć na nastroje społeczne. Ośmielić do takiej czy innej formy protestu tych, którzy podobnie jak Bonia polityką się nie interesowali, ale na własnej skórze odczuli problemy, stwarzane przez politykę właśnie.

O tym, że Kreml potraktował celebrytkę poważnie, świadczy komentarz samego Dmitrija Pieskowa. Rzecznik Putina zapewnił, że władze już pracują nad rozwiązaniem części problemów wskazanych przez Bonię. W odpowiedzi influencerka nagrała kolejny filmik, na którym ze łzami szczęścia i wzruszenia w oczach dziękuje władzom za to, że wzięły pod uwagę jej apel. „Nie wiem, co będzie dalej ze mną, jaki czeka mnie los. W obecnych czasach nic mnie nie zdziwi. Ale mogę powiedzieć,

eprasa.pl 2eeee85d49



Wiktoria Bonia, prezenterka telewizyjna i modelka, postanowiła zabrać głos w sprawach rosyjskiej polityki FOT. LOIC VENANCE/AFP/EAST NEWS

że było warto [...]. Zdradziłabym samą siebie, gdybym się nie wypowiedziała. Byłaby to zdrada mojego rosyjskiego ducha" – zapewniała celebrytka.

W tym momencie mogło się wydawać, że mamy do czynienia z teatrem politycznym, wyreżyserowanym przez Kreml. Jednak komentarz Pieskowa był pierwszym i ostatnim głosem aprobaty ze strony władz w stosunku do manifestu celebrytki. Zarówno wypowiedź rzecznika prezydenta, jak i odpowiedź głównej zainteresowanej zostały opublikowanego 16 kwietnia. Jeszcze tego samego dnia, według źródeł opozycyjnego portalu Meduza, władze na Kremlu zaleciły mediom „nie rozwijać tematu apelu Boni". Influencerkę zaczęli atakować proputinowscy propagandyści. Znany z ciętego języka Władimir Sołowjow nazwał ją „nędzną latawicą" (ros. potriepannaja szaława), z kolei deputowany do Dumy Państwowej z ramienia Jednej Rosji Witalij Miłonow – „słabo wykształconą blogerką" oraz „ekskluzywną prostytutką" (ros. eskortnica). Bonia nie pozostała dłużna. Zapowiedziała pozew zbiorowy przeciwko obu przedstawicielom władzy. Do spisu potencjalnie pozwanych dołączyła Artiemija Lebiediewa – propagandystę, który obraził prezenterkę telewizyjną Olesię Iwanczenko. Lebiediew występował w jej programie „Karta natalna", który polega na tym, że prowadząca analizuje horoskop gościa i zadaje mu osobiste pytania. Lebiediew podkreślał, że nie wierzy w astrologię, i demonstracyjnie odmawiał odpowiedzi. Gdy Iwanczenko zapytała, co ma w takim razie z nim robić przez cały program, Lebiediew wypalił „robić mi loda" (ros. „sosat`"), doprowadzając dziennikarkę do łez. Bonia wpisała więc swój polityczny protest w kontekst feministyczny, wzywając kobiety do walki o swoje prawa. „Dziś wiele się mówi o wartościach tradycyjnych. Czy aby na pewno te tradycyjne wartości na tym polegają, że w państwowej telewizji mężczyźni pozwalają sobie na obrażanie kobiet, nazywają je »ekskluzywnymi prostytutkami«, »podstarzałymi«, które mają »robić loda«? Czy to jest to, czego uczymy nasze dzieci? Dlatego że jeśli to pokazują na cały kraj, to w taki sposób tworzy się norma. A potem chłopcy dorastają z poczuciem, że można w taki sposób rozmawiać z kobietami. A dziewczynki – z przekonaniem, że należy się na to godzić" – napisała Bonia na Instagramie. Opublikowała też wygenerowany przez sztuczną inteligencję filmik, na którym w przebraniu Spidermana walczy z Władimirem Sołowjowem oraz ze wspomnianymi Lebiediewem i Miłonowem. Pierwszemu zamyka usta pajęczyną, drugiego przywiązuje (też pajęczą siecią) do słupa, trzeci wykonuje salto, próbując zaatakować superbohaterkę, która jednak pokonuje go jednym kopnięciem. W opisie zaproponowała stworzenie „wspólnoty kobiet" walczących o „piękno na świecie". „Jesteśmy miękką siłą. Jesteśmy wojowniczkami ŚWIATŁA!" – podsumowała.

Nawet jeśli problemy wskazywane przez Wiktorię Bonię nie zostaną rozwiązane, to gniew ludu i tak będzie skierowany na „złych bojarów"

TRAFIŁA KOSA NA KAMIEŃ

Bonia i tym razem trafnie wyczuła nastroje. Jej diagnoza na temat braku szacunku do kobiet w rosyjskiej przestrzeni publicznej odbiła się szerokim echem w mediach społecznościowych. Internauci – płci obojga – masowo nagrywali i publikowali rolki z głosami wsparcia pod adresem celebrytki oraz krytyki pod adresem Lebiediewa, Sołowjowa i Miłonowa. Każdy z tej trójki już wcześniej znany był z ostrego czy wręcz rynsztokowego języka. Jednak chyba pierwszy raz kosa trafiła na kamień. Albo raczej: na falę poparcia dla popularnej celebrytki, która nie zamierza im odpuścić. Gdy Bonia zapowiedziała pozew, Sołowjow przestał wymieniać jej nazwisko na antenie. Zaapelował jednak do służb, aby przyjrzały się działalności blogerki, a do Ministerstwa Sprawiedliwości – aby przyznało jej status agenta zagranicznego. Co prawda, zaznaczył, że nie ma zamiaru przeprosić Boni. Jednocześnie przekonywał, że słowo „szaława" (ros. latawica, prostytutka) nie jest przekleństwem, pochodzi natomiast od całkowicie neutralnego przymiotnika „szałowliwaja", czyli swawolna, figlarna, filuterna. W rozmowie z portalem Ostorożno, nowosti sprawę skomentował znany rosyjski językoznawca prof. Walerij Mokijenko, dowodząc, że Sołowjow się myli, bo „szaława" to słowo obraźliwe, a nie neutralne.

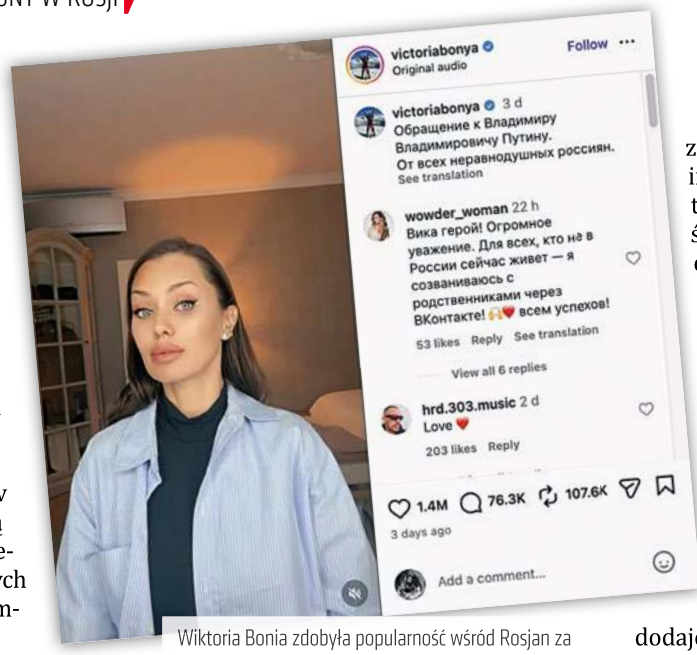
Wirtualna obrona Boni nie ograniczyła się jedynie do słów wsparcia dla obrażanej kobiety. Fani blogerki zaczęli generować za pomocą AI serial animowany pt. „Super Bonia", przedstawiający, jak ich idolka rozwiązuje problemy zwykłych Rosjan, które wcześniej nagłośniła. Superbohaterka rzuca dmuchane koło ratunkowe zmagającym się z powodzią mieszkańcom Dagestanu, nadludzką siłą unosi do nieba krowy z obwodu

eprasa.pl 2eeee85d49

nowosybirskiego, ratując je przed ubojem, wreszcie oczyszcza Morze Czarne z mazutu. To oczywiście internetowa zabawa, która jednak stanowi rozrywkową otoczkę poważnego tematu, którym jest rzeczywiste niezadowolenie Rosjan. Co więcej, po stronie instagramerki stanęli nie tylko polityczni przeciwnicy, lecz także niektórzy spośród zwolenników Kremla. „Ci, którzy krytykują Bonię, jak dotąd nie odpowiedzieli na żadne z postawionych przez nią pytań. To, że napompowała usta botoksem albo zrobiła sobie sztuczne cycki, to nie jest argument, tylko obraza" – komentowała Anastazja Kaszewarowa, bodaj najbardziej rozpoznawalna Z-blogerka. Zauważyła przy tym, że to zastanawiające, iż ludzie bardziej wierzą kobiecie kojarzonej z operacjami plastycznymi niż urzędnikom. W domyśle: świadczy to źle o tych ostatnich. Bonię poparł też Ilja Riemiesło – Z-bloger, który jakiś czas temu nieoczekiwanie zaczął krytykować rosyjskie władze, po czym trafił do szpitala psychiatrycznego, z którego jednak został wypisany. A o tym wszystkim informują nie tylko prozachodnie, opozycyjne, emigracyjne media (od których w jednym ze swoich komentarzy Bonia jednoznacznie się odcięła), lecz także portale, normalnie funkcjonujące w Rosji, lojalne wobec Kremla albo wręcz propagandowe.

Ze wszystkich problemów, na które blogerka wskazała, najważniejszym jest blokada Internetu. Świat wirtualny pozostawał do niedawna być może jedyną oazą wolności w Rosji. Rosjanie bardzo cenili sobie nieskrępowany dostęp do Internetu. Niezadowolenie z odebrania im tego komfortu dotyczy w dużej mierze również zwolenników wojny i Putina. Blokada mediów społecznościowych uderzyła zarówno w apolitycznych influencerów, takich jak Bonia, jak i w Z-blogerów. Pierwsi zarabiają dzięki aktywności na Instagramie, drudzy – dzięki aktywności na Telegramie. Bunt blogerki wpisuje się więc w szeroki trend oburzenia ponad podziałami politycznymi.

Czy jednak wystąpienie Boni można tłumaczyć jedynie osobistym niezadowoleniem z faktu, że władza utrudnia jej zarobek? Niekoniecznie. Jest kilka wersji odpowiedzi na pytanie: Po co ta cała „instagramowa rewolucja?". Według pierwszej wystąpienie Boni zostało uzgodnione z jedną z wież Kremla. Najpewniej z wiceszefem Administracji Prezydenta Siergiejem Kirijenką, który chce takim sposobem wywrzeć presję na Putinie, aby ten zrezygnował z blokady Internetu. Blokady, która – jak donoszą opozycyjne media – jest efektem oddania spraw w ręce służb specjalnych. Putin przed zbliżającymi się wyborami do Dumy Państwowej przestał liczyć się z opinią publiczną i postanowił profilaktycznie zdusić możliwość jakiegokolwiek wirtualnego niezadowolenia. Druga wersja – Bonia jest agentką zachodnich służb (czy jakiejkolwiek innej służby wrogiej władzom na Kremlu) i ma za zadanie rozpętać „kolorową rewolucję". Według trzeciej hipotezy blogerka działa na rozkaz… samego Putina, który chce w ten sposób skanalizować społeczny gniew, a potem przybyć na białym koniu i ogłosić rozwiązanie wszystkich nagłośnionych problemów. Ta opcja, jak słusznie zauważa opozycyjny komentator Maksym Kac, jest bardzo ryzykowna. Krytykę lepiej uciszać, niż nakręcać, bo „instagramowa rewolucja" może łatwo wymknąć się spod kontroli. W końcu Bonia swoim apelem zainteresowała polityką niezainteresowanych. Zarazem za tą wersją przemawia fakt, że influencerka ani słowem nie skrytykowała Putina. Można oczywiście tłumaczyć to strachem przed odpowiedzialnością karną. Ale też mieszkająca na co dzień w Monako Bonia nie musi bać się w takim samym stopniu jak jej rodacy żyjący w kraju.



Wiktoria Bonia zdobyła popularność wśród Rosjan za pośrednictwem mediów społecznościowych

FOT. VICTORIABONYA/INSTAGRAM

KRUSZY MURY KREMLA, ALE ICH NIE NISZCZY

Najbardziej prawdopodobna wydaje się jeszcze inna wersja. Bonia wystąpiła z własnej inicjatywy, a gdy przekonała się, że to nośny temat, który tylko dodaje jej popularności (a zatem można na nim zarobić), postanowiła „rewolucję" kontynuować. Putina zaś nie krytykuje z prostego powodu. Otóż w mentalny kod ma wdrukowane przekonanie o „dobrym carze i złych bojarach". Dlatego winą obarcza urzędników, być może nawet szczerze wierząc, że „prezydent o niczym nie wie" (jak niegdyś Józef Stalin). Figura władcy jest dla Rosjanina święta. Antyputinowska opozycja już bierze Bonię na sztandary. Bo nawet jeśli instagramerka jest wobec Putina lojalna i nie podziela większości poglądów prozachodnich liberałów, to jednak jej bunt kruszy mury Kremla. Kruszy, ale nie niszczy.

I tu paradoksalnie Bonia przypomina Prigożyna. Szef wagnerowców, również w zgodzie z maksymą „dobry car, źli bojarzy" ruszył na Moskwę nie po to, by obalić prezydenta, tylko po głowy Szojgu i Gierasimowa. A jednak jego bunt pozycją Putina mógł zachwiać. Trzeba jednak pamiętać, że Bonia ani słowem nie zająknęła się o najważniejszym problemie Rosji, czyli o wojnie. Ostatecznie więc, nawet jeśli jej wystąpienie nie jest uzgodnione ani z Putinem, ani z Kirijenką i obu napsuje krwi, koniec końców władca Kremla może na całej sytuacji wiele ugrać. Influencerka narzeka na problemy, ale nie wini za nie prezydenta. Nawet więc jeśli nie zostaną rozwiązane, to gniew ludu i tak będzie skierowany na „złych bojarów". A na razie i tak uwaga opinii publicznej skupiona jest bardziej na awanturze „Super Boni" z Sołowjowem niż na owych problemach…

© Ⓟ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2eeee85d49



Prezydent Argentyny Javier Milei był początkowo postrzegany jako polityczny folklor. Wygrał, obiecując ratowanie zrujnowanej rządami socjalistów gospodarki, na fali desperacji spowodowanej hiperinflacją. Zdjęcie ze spotkania z Donaldem Trumpem, 14 października 2025 r.

FOT. KEVIN DIETSCH/GETTY IMAGES

Prawicowa fala w Ameryce Łacińskiej



Witold Repetowicz

Na początku XXI w. przez Amerykę Łacińską przelała się „różowa fala" skrajnie lewicowego populizmu, którą obecnie zastępuje ofensywa antyestablishmentowej prawicy. Rok 2026 jest przy tym bardzo ważny dla tego procesu, gdyż już odbyły się wybory w Kostaryce, a wkrótce prezydenta wybiorą Peru, Kolumbia, a także Brazylia

Różowa fala" zaczęła się w 1999 r. od wyboru Hugona Cháveza na prezydenta Wenezueli i utrzymała się tylko w tym kraju oraz w Nikaragui, ale nie dzięki sukcesowi polityki przedstawicieli tego nurtu, lecz stłamszeniu demokracji i wprowadzeniu dyktatury. Chawizm był reakcją na kryzys neoliberalizmu w Ameryce Południowej w latach 90. Korupcja, bieda, rozwarstwienie społeczne, a także resentymenty wobec USA spowodowały popularność haseł odwołujących się do redystrybucji bogactwa, państwowego interwencjonizmu i odrzucenia „dyktatu" USA i Międzynarodowego Funduszu Walutowego na rzecz prawdziwej suwerenności. USA pod rządami Busha, a następnie Obamy były bardziej skoncentrowane na Bliskim Wschodzie niż na kontynencie amerykańskim, więc sprzyjało to temu trendowi.

SPEKTAKULARNE KLĘSKI

W rezultacie populistyczna lewica przejmowała w pierwszej dekadzie XXI w. kolejne kraje Ameryki. W 2002 r. w Brazylii do władzy doszedł Lula da Silva, w 2003 r. w Argentynie Néstor Kirchner, w 2005 r. w Boliwii Evo Morales, w 2006 r. w Ekwadorze Rafael Correa, a w Nikaragui były (i przyszły) dyktator Daniel Ortega, w 2008 r. w Paragwaju Fernando Lugo, a w 2011 r. w Peru Ollanta Humala. Chociaż początkowo wydawało się, że ich rządy przynoszą pozytywne rezultaty, to zawdzięczali to

eprasa.pl 2eeee85d49

jedynie koniunkturze na surowce. Gdy ona się skończyła, to okazało się, jak bardzo „król jest nagi", i ich rządy kończyły się przeważnie spektakularnym upadkiem. Chávez zmarł w 2013 r. i został zastąpiony przez przebywającego obecnie w amerykańskim więzieniu Nicolása Maduro, który z bogatej w ropę Wenezueli zrobił kraj totalnej biedy. Rafael Correa ukrywa się w Belgii ścigany przez ekwadorski wymiar sprawiedliwości za korupcję, natomiast Ollanta Humala został skazany na 15 lat więzienia za pranie brudnych pieniędzy. Wyroku za korupcję doczekał się także Lula da Silva, ale później został on anulowany. Epilog do tej historii napisał inny prezydent Peru, Pedro Castillo, który krótko po swoim wyborze w 2021 r. dokonał koszmarnie nieudolnej próby konstytucyjnego zamachu stanu i trafił do więzienia, gdzie przebywa do dziś. Obecnie demokratycznie wybrani przedstawiciele lewicy wciąż trzymają się w Kolumbii, Brazylii, Meksyku, Urugwaju i Gwatemali, a dyktatury – w Nikaragui, Wenezueli oraz na Kubie.

FALA SUKCESÓW

Pierwszy zwiastun nowej fali pojawił się w Brazylii, gdy w 2018 r. wybory prezydenckie wygrał Jair Bolsonaro, który wcześniej był politykiem raczej niszowym, wręcz traktowanym jako parlamentarny „folklor". Jednakże chaos, w którym kraj się znalazł po rządach Dilmy Rousseff (następczyni Luli da Silvy), masowa korupcja i wzrost przestępczości otworzyły drogę Bolsonaro, który zapowiadał zdecydowaną walkę z kryminalistami i był człowiekiem spoza układu. W ten sposób przetarł on szlaki dla innych antysystemowych kandydatów prawicy, choć sam minimalnie przegrał starania o reelekcję w 2022 r., a potem został skazany na 27 lat więzienia. Do władzy zaś wrócił lewicowy Lula da Silva.

Nie powstrzymało to jednak fali sukcesów antysystemowej prawicy. Zanim jednak do tego doszło, pierwszą reakcją na fatalne efekty „różowej fali" był zwrot liberalno-konserwatywny. Była to seria sukcesów mainstreamowych kandydatów centroprawicy w latach 2013–2018 m.in. w Paragwaju, Argentynie, Peru, Kolumbii, Chile i Hondurasie. Jednakże tylko w Paragwaju utrzymali się oni u władzy. W Argentynie centroprawicowy liberał Mauricio Macri przegrał w 2019 r. z lewicowym kandydatem obozu swojej poprzedniczki Cristiny Fernández de Kirchner. W Peru Pedro Pablo Kuczynski, podobnie jak jego lewicowy poprzednik, został aresztowany za pranie brudnych pieniędzy, natomiast w Chile, Kolumbii i Hondurasie do władzy powróciła radykalna lewica.

Nieco inny charakter miał wybór w 2023 r. Javiera Milei na prezydenta Argentyny. Podobnie jak były prezydent Brazylii był on początkowo postrzegany jako polityczny folklor. Jednakże, choć obaj reprezentują antysystemową prawicę, to wiele ich też różni. Milei skoncentrował się nie na walce z przestępczością, lecz na kwestiach ekonomicznych. Obiecując ratowanie zrujnowanej rządami socjalistów gospodarki, wygrał na fali desperacji spowodowanej hiperinflacją. W znacznie mniejszym stopniu od Bolsonaro odwoływał się do kwestii aksjologicznych i obyczajowych. Milei osiągnął też sukces, dusząc inflację, redukując biurokrację, utrzymując nadwyżkę budżetową i odbudowując rezerwy państwowe. W efekcie w październiku 2025 r. jego partia wygrała wybory parlamentarne.

Rok 2025 przyniósł duże sukcesy antysystemowej prawicy w Ameryce Łacińskiej, m.in. końca dobiegła era chawizmu w Boliwii

Wcześniej, w 2019 r., do władzy w Salwadorze doszedł natomiast Nayib Bukele, który stał się symbolem bezwzględnej walki z gangami, będąc jednocześnie w opozycji zarówno do lewicy, jak i tradycyjnej prawicy. Bukele, pochodzący z muzułmańskiej rodziny imigrantów z Palestyny, zaczynał zresztą swoją karierę polityczną w lewicowym Froncie Wyzwolenia Narodowego im. Farabunda Martiego (FMLN), ale stopniowo zaczął się od niego dystansować, aż w 2017 r. został wyrzucony z tej rządzącej od 2009 r. partii byłych lewackich partyzantów. Wybory wygrał pod hasłami walki z korupcją obu obozów: FMLN i prawicowej ARENA, która rządziła od 1989 r. do 2009 r.

Po rozprawieniu się z politycznymi elitami zabrał się za przestępców, których powsadzał do słynnego więzienia CECOT (Centro de Confinamiento del Terrorismo). Wybudowano je w 2022 r., gdyż wcześniej system więziennictwa był całkowicie niewydolny, a za kratkami rządziły gangi. W CECOT, które stało się „znakiem towarowym" rządów Bukelego, wprowadzono takie rygory, że przestępcy naprawdę pożałowali tego, że tam trafili. Salwadorski przywódca wprowadził też permanentny stan wyjątkowy, co doprowadziło do stłamszenia zorganizowanej przestępczości, radykalnej poprawy bezpieczeństwa oraz protestów organizacji praw człowieka. Równocześnie zmiany prawne, przeforsowane dzięki zdecydowanemu zwycięstwu jego ugrupowania w wyborach parlamentarnych, spowodowały pojawienie się pod jego adresem zarzutów o autorytaryzm, ale w 2024 r. wygrał reelekcję przytłaczającą większością prawie 85 proc. głosów i jego popularność nie spada.

W 2023 r. władzę w Ekwadorze przejął natomiast Daniel Noboa, który w dużym stopniu poszedł w ślady Bukelego. Wcześniej, w 2021 r., lewica utraciła władzę w tym kraju po 15 latach fatalnych rządów, a prezydentem został centroprawicowy Guillermo Lasso, który jednak po dwóch latach został usunięty z urzędu pod zarzutami korupcyjnymi. Wtedy pojawił się młody dziedzic bananowego imperium (jego ojciec jest najbogatszym biznesmenem w Ekwadorze), który raptem dwa lata wcześniej zaczął swoją karierę polityczną. Noboa wygrał z kandydatką lewicy Luisą González, sterowaną z emigracji przez ściganego Rafaela Correę. Jeszcze kilka dni przed wyborami sondaże dawały mu zaledwie kilka procent poparcia, podczas gdy za głównego konkurenta lewicowej González uważany był neoliberalny Fernando Villavicencio. Został on jednak zamordowany 11 dni przed dniem głosowania.

Noboa szedł do wyborów jako nowa jakość wobec starych podziałów, odcinając się zarówno od dziedzictwa Correi, jak i liberałów spod znaku Lasso. Jednocześnie w kraju ogarniętym przemocą gangów obiecał przywrócenie bezpieczeństwa w ramach Planu Fenix. Ponie-

eprasa.pl 2eeee85d49

waż wybory w 2023 r. były nadzwyczajne, już dwa lata później musiał starać się o reelekcję, w której znów pokonał González stosunkiem 55:45. Niemniej lewica zachowała minimalną większość w parlamencie. Noboa, podobnie jak Bukele, wprowadził stan wyjątkowy, uznając gangi za terrorystów, z którymi państwo prowadzi konflikt zbrojny. Choć nie udało mu się wciąż przetrącić im kręgosłupa, to policja jest wszechobecna, a poczucie bezpieczeństwa znacznie wzrosło, o czym miałem okazję się osobiście przekonać, gdy byłem w tym kraju w lutym. Również Noboa zaczął budowę nowych więzień o zaostrzonym rygorze (Cárcel del Encuentro), które mają być ekwadorskim odpowiednikiem CECOT i mają być zarządzane przez wojsko. Dla lewicy i obrońców praw człowieka jest natomiast uosobieniem wszelkiego zła.

KONIEC ERY CHAWIZMU

Rok 2025 przyniósł kolejne sukcesy antysystemowej prawicy w Ameryce Łacińskiej, a wybór Donalda Trumpa na prezydenta USA dał jej wiatru w żagle. W październiku dobiegła końca era chawizmu w Boliwii. Rządzący od 2005 r. Evo Morales, wykazujący coraz większe skłonności dyktatorskie, został odsunięty od władzy już w 2020 r., po wybuchu protestów przeciwko próbie pozostania prezydentem na czwartą kadencję. Później pojawiły się przeciwko niemu zarzuty próby zamachu stanu, fałszerstw wyborczych, a wreszcie gwałtów, wykorzystywania seksualnego nieletnich i handlu ludźmi. Obecnie ukrywa się, będąc ścigany przez wymiar sprawiedliwości. Jednakże jego obóz utrzymał władzę jeszcze do wyborów w 2025 r., w których lewica przepadła z kretesem. Do drugiej tury przeszli były prezydent w latach 2001–2002 Jorge Quiroga, oraz Rodrigo Paz. Obaj reprezentują prawicę, jednakże Quiroga przegrał, gdyż kojarzył się zbytnio ze starym establishmentem.

Miesiąc po wyborach w Boliwii głowę państwa wybierali mieszkańcy Hondurasu. Tu już Trump zaangażował się osobiście. Najpierw ułaskawił byłego prawicowego prezydenta tego kraju (2014–2022) Juana Orlanda Hernándeza, który tuż po zakończeniu urzędowania został wydany USA i skazany za handel narkotykami. Trump uznał go jednak za ofiarę Bidena. Po Hernándezie w Hondurasie władzę przejęła lewica, ale jej rządy były tak nieudolne, że w 2025 r. jej kandydatka zdobyła zaledwie 19 proc. głosów. Główna batalia odbyła się między centroprawicowym liberałem Salvadorem Nasrallą a konserwatystą Nasrym Asfurą. Ten drugi cieszył się przy tym poparciem Trumpa, a także Javiera Milei i choć był głęboko osadzony w honduraskim establishmencie, to kreował się na outsidera. W dniu wyborów wszyscy główni kandydaci przerzucali się oskarżeniami o fałszowanie wyborów, a komisja wyborcza kilkakrotnie przerywała liczenie głosów pod pretekstem zawieszania się systemu komputerowego. Gdy Asfura minimalnie wysunął się na prowadzenie, Trump zagroził Hondurasowi sankcjami, jeśli „zostanie mu odebrane zwycięstwo". Chwilę później przewagę uzyskał Nasralla, ale ostatecznie Asfura zdobył 40,26 proc., a Nasralla 39,55 proc. Ciekawostką jest to, że obaj pochodzą z rodzin palestyńskich chrześcijan.

Sztafetę prawicowych zwycięzców w południowoamerykańskich wyborach prezydenckich w 2025 r. zamknął José Antonio Kast, który w grudniu wygrał z komunistką Jeannette Jara w Chile. Do jego zwycięstwa przyczyniły się katastrofalne rządy lewicowego poprzednika Gabriela Borica, którego popularność spadła do 28 proc. Kast w pierwszej turze pokonał też kandydatkę tradycyjnej prawicy Evelyn Matthei, prowadząc kampanię na wzór Bukelego i Noboi, tj. obiecując twardą politykę zwalczania przestępczości, która rozkwitła za jego lewicowego poprzednika. Kast zapowiedział też walkę z niepohamowaną migracją m.in. poprzez budowę muru na północy Chile. Natomiast w lutym 2026 r. wybory w Kostaryce wygrała 38-letnia prawicowa politolożka Laura Delgado, która w kampanii odwoływała się do „modelu Bukelego".

ZACIĘTA WALKA

W najbliższych miesiącach Amerykę Południową czekają jeszcze poważniejsze starcia. W pierwszej kolejności będą to wybory w bardzo ważnej dla USA Kolumbii. Obecnie prezydentem jest tam Gustavo Petro, który karierę zaczynał jako lider lewicowej guerrilli M-19. Po wyborze Trumpa między nim a amerykańskim prezydentem regularnie dochodziło do obrzucania się inwektywami i oskarżeniami, a we wrześniu Petro, będąc w Nowym Jorku, wzywał żołnierzy USA do niesłuchania rozkazów Trumpa. W lutym 2025 r. doszło jednak do ich spotkania w Białym Domu. Tymczasem faworytem w wyborach w Kolumbii, których pierwsza tura odbędzie się 31 maja, jest skrajnie lewicowy Ivan Cepeda. Walka o to, kto będzie jego konkurentem w drugiej turze, odbywa się między kandydatką tradycyjnej prawicy Palomą Valencią a antysystemowym outsiderem Abelardem de la Espriellą. Ta pierwsza jest związana z konserwatywnym eksprezydentem Álvarem Uribem, który zawsze prowadził politykę przyjazną USA. Espriella natomiast zapowiada bezwzględną rozprawę z kartelami narkotykowymi i innymi przestępcami według wzorów Bukelego. Chce m.in. dokonywać bombardowań kryjówek karteli, zbudować sieć nowych więzień o zaostrzonym rygorze i blisko współpracować w tym zakresie z USA.

Natomiast w Peru walka o prezydenturę zostanie stoczona między Keiko Fujimori a antysystemowo-prawicowym Rafaelem Lópezem Aliagą (który sam kreuje się na peruwiańskiego Trumpa) lub ultralewicowym Robertem Sánchezem (pierwsza tura odbyła się 12 kwietnia i po tygodniu komisja liczyła głosy, a różnica między Aliagą a Sánchezem była minimalna). Keiko to córka byłego prezydenta Alberta Fujimoriego, którego twarde rządy zaprowadziły go po utracie władzy do więzienia. Od lat kontroluje ona parlament, ale trzykrotnie minimalnie przegrała wybory prezydenckie (tylko że wszyscy jej zwycięscy kontrkandydaci trafili potem za kratki). Natomiast Aliaga wzorem Bukelego zapowiada wojnę totalną z przestępczością, budowę więzień o zaostrzonym rygorze i ścisłą współpracę z USA. Jeśli chodzi o Sáncheza, to jeśli to on wygra, to może długo nie porządzić, bo parlament będzie zdominowany przez prawicę, a Sánchez jest blisko związany z uwięzionym już Castillem. Wisienką na torcie wyborczym w 2026 r. będą jednak wybory w Brazylii zaplanowane na 4 października. Lula da Silva zmierzy się w nich z synem uwięzionego Jaira Bolsonaro, Fláviem. Sondaże pokazują, że szanse są wyrównane.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2eeee85d49

Steve Jobs 3.0



Jacek Przybylski

Gdy 15 lat temu mało przebojowy Tim Cook przejmował w Apple stery po charyzmatycznym Stevie Jobsie, wielu spisywało tę spółkę na straty. Ten nudny logistyk okazał się jednak wyjątkowo sprawnym menedżerem, który sprawił, że kapitalizacja technologicznego imperium wzrosła z ok. 350 mld dol. do ponad 4 bln dol. We wrześniu jego miejsce zajmie 50-letni inżynier John Ternus

Tim Cook nigdy nie był i nadal nie jest takim ulubieńcem mediów jak legendarny Steve Jobs, który zmarł wkrótce po tym, jak nowy szef przejął stery w spółce. Wątpliwe, by kiedykolwiek powstało o Cooku tyle książek i filmów, co o Jobsie. I by jakiekolwiek dziecko na świecie kiedykolwiek marzyło o tym, by zostać kiedyś drugim takim Cookiem.

Krytycy obecnego szefa Apple przez lata zarzucali mu, że podczas swoich długich rządów zniszczył magię wizjonerskiej spółki technologicznej, przekształcając prężne i innowacyjne przedsiębiorstwo w koszmarnie nudną, przewidywalną i zachowawczą korporację.

IPHONE DO ROBIENIA PIENIĘDZY

Trudno tym krytycznym głosom odmówić racji. Trzeba jednak zauważyć, że następca Steve'a Jobsa nie miał może takiej wizji, jak jego poprzednik, ale miał inne cenne dla akcjonariuszy umiejętności, które sprawiły, że imperium z nadgryzionym jabłuszkiem w logo stało się potężniejsze i bogatsze od niejednego państwa na świecie. To właśnie dzięki Cookowi Apple odniosło gigantyczny logistyczny sukces i rozrosło się na skalę niespotykaną wcześniej w dziejach ludzkości. Stało się też jednocześnie rekordowo drogą firmą. 2 sierpnia 2018 r. Apple zostało pierwszą spółką w historii, której kapitalizacja rynkowa przekroczyła próg magiczny 1 000 000 000 000 dol. (słow-

eprasa.pl 2eeee85d49



John Ternus odegrał kluczową rolę w rozwoju najważniejszych produktów Apple, takich jak iPady, AirPodsy czy najnowsze MacBooki

FOT. ADAM GRAY/BLOOMBERG/GETTY IMAGES

nie: jednego biliona dolarów). Na początku roku 2022 kierowane przez Tima Cooka Apple zapisało się na kartach biznesowej historii globu jako pierwsza spółka, której kapitalizacja przekroczyła 3 bln dol. 28 października ubiegłego roku wycena technologicznego giganta z siedzibą w Cupertino w Kalifornii przekroczyła zaś 4 bln dol. Tym samym Cook zwiększył wartość kierowanej przez siebie spółki o ponad 3,5 bln dol. Dla porównania: nominalne PKB Polski (czyli wartość wszystkich towarów i usług wyprodukowanych przez kilkanaście milionów ciężko pracujących Polaków) wynosi równowartość 1 bln dol. Innymi słowy: Tim Cook przez 15 lat swych rządów zwiększył giełdową wycenę Apple o wartość równą temu, co cała polska gospodarka wytwarza przez niemal cztery lata. Gdyby zaś gigant z Cupertino chciał utrzymywać Polskę, to wyłącznie za kwotę, o którą Cook zwiększył kapitalizację Apple przez ostatnie 15 lat, mógłby finansować wszystkie wydatki z budżetu przez mniej więcej 15–17 lat (a Polacy nie płaciliby żadnych podatków).

Jednocześnie roczne przychody Apple wzrosły w ciągu ostatnich 15 lat ze 108 mld dol. do 416,2 mld dol. A zysk netto – z 25,9 mld dol. do 112,01 mld dol. Cook utrzymał ogromną marżę i uzyskał tak spektakularne wyniki, choć Apple przez ostatnie lata nie wprowadziło na rynek sprzętu, który dokonałby w technologicznym świecie przełomu na miarę pierwszego iPhone'a. Trzeba jednak uczciwie przyznać, że za rządów obecnego szefa premierę miały takie bestsellery jak zegarek Apple Watch, rodzina bezprzewodowych słuchawek AirPods czy laptopy MacBook Neo z procesorami serii M. Te produkty znacząco wzbogaciły ekosystem z logo jabłuszka, pozwoliły uniezależnić spółkę od zewnętrznych dostawców procesorów i sprawiły, że fanom firmy jeszcze trudniej jest porzucić dotychczasową markę i przejść do konkurentów, którzy w wielu przypadkach oferują lepsze produkty w dużo bardziej atrakcyjnych cenach.

Aby uniezależnić wyniki spółki od sprzedażowych cykli związanych z kolejnymi premierami, obecny szef technologicznego imperium stworzył również wyjątkowo lukratywny biznes związany ze świadczonymi przez Apple usługami. Ogromne pieniądze przynoszą więc spółce nie tylko prowizje ze sprzedaży aplikacji w AppStore, lecz także przychody z AppleMusic, iCloud czy AppleCare. Apple rozwinęło również zupełnie nowe źródła przychodów, takie jak np. usługi streamingowe (Apple TV+) czy finansowe (Apple Pay oraz Apple Card, czyli niedostępna w Polsce wirtualna karta kredytowa stworzona przez spółkę we współpracy z Goldman Sachs). Różnego rodzaju usługi przynoszą już spółce ok. 100 mld dol. rocznie.

Osiągnięcia Tima Cooka chwalił m.in. legendarny inwestor Warren Buffett, którego wehikuł inwestycyjny Berkshire Hathaway przez lata zarobił na akcjach Apple ponad 100 mld dol. Na swój sposób odchodzącego szefa Apple pochwalił również urzędujący prezydent USA Donald Trump; w poście na platformie Truth Social nazwał go „niesamowitym facetem". Opowiedział też, jak podczas pierwszej kadencji w Białym Domu odebrał telefon od Tima Cooka. „Miał dość spory problem, który tylko ja, jako prezydent, mogłem rozwiązać. Kiedy odebrałem telefon, powiedziałem: Wow, to dzwoni Tim Apple (Cook!). Jak wielka to sprawa? Byłem pod ogromnym wrażeniem samego siebie, że szef Apple dzwoni, żeby »całować mnie w tyłek«". Amerykański prezydent uwielbia bowiem, gdy prezesi najpotężniejszych firm oddają mu hołd. Szef Apple miał zaś do niego dzwonić wielokrotnie, choć „nigdy zbyt często".

1 bln dol.

APPLE KIEROWANE PRZEZ COOKA JAKO PIERWSZE PRZEKROCZYŁO TĘ WARTOŚĆ JUŻ W ROKU 2018

I trzeba przyznać, że zarówno w czasie pierwszej, jak i drugiej kadencji Trumpa obecny szef Apple umiejętnie „zaklinał" prezydenta, bezpośrednio prosząc go o korzystne dla spółki decyzje w sprawie polityki podatkowej, ceł czy innych kwestii wpływających na technologiczne imperium. W ubiegłym roku Timowi Cookowi udało się np. uzyskać od Donalda Trumpa wyłączenie z nowych ceł na telefony, komputery oraz procesory. Gdyby Cook poniósł w tej sprawie porażkę, to Apple należałoby do firm, które byłyby najbardziej dotknięte nowymi regulacjami, ponieważ większość iPhone'ów, iPadów czy MacBooków produkowanych jest w Chinach i innych azjatyckich krajach, które Trump wziął na celownik podczas swoich wielkich wojen celnych.

Jak zauważa CNBC, w niektórych przypadkach na przychylność Donalda Trumpa wpływała nie tylko umiejętnie prowadzona rozmowa telefoniczna.

eprasa.pl 2eeee85d49

Gdy prezydent zagroził, że Apple i inni producenci smartfonów zostaną obciążeni cłami, jeśli nie przeniosą produkcji do Stanów Zjednoczonych, w sierpniu 2025 r. Tim Cook podarował prezydentowi „unikalny" kawałek hartowanego szkła Corning z podstawą z 24-karatowego złota z logo Apple, z wielkim napisem „Prezydent Donald Trump" na samej górze i dopiskiem „Made in USA". Szef koncernu zobowiązał się również do zainwestowania w USA kolejnych 100 mld dol. w ramach promowanego przez Trumpa „Amerykańskiego Programu Produkcyjnego". To sztuka trudniejsza niż chodzenie po linie. Jak bowiem zauważył Bloomberg, podczas gdy prezydent naciska na Apple, aby spółka przeniosła produkcję z Chin do USA (a nie do Indii czy innych krajów azjatyckich), analitycy ostrzegają, że taki ruch zmusiłby koncern do znaczącego podwyższenia cen swoich produktów.

Lecz choć Tim Cook fantastycznie zorganizował łańcuchy dostaw dla produktów Apple i wyjątkowo dobrze radził sobie w relacjach z kolejnymi prezydentami, to mimo usilnych prób dywersyfikowania źródeł przychodów nadal iPhone – wymyślony za czasów Steve'a Jobsa – pozostaje najważniejszym produktem z logo nadgryzionego jabłka, przynoszącym ok. 50 proc. przychodów. Apple za rządów Cooka nie zrealizowało planu wejścia do branży motoryzacyjnej (choć np. chińskie Xiaomi z powodzeniem sprzedaje kolejne modele nowoczesnych aut elektrycznych). Apple poniosło również dotkliwą porażkę w pierwszym etapie kluczowego dla przyszłości firm technologicznych wyścigu związanego ze sztuczną inteligencją (AI). Spółce wyraźnie brakuje strategii rozwoju AI, co wyraźnie pokazał fakt, że koncern nie spełnił obietnicy i nie wprowadził dotąd nowej wersji asystentki głosowej Siri, która dzięki AI miała być lepiej dostosowana do potrzeb konkretnego użytkownika. Efekt? Na liście najcenniejszych amerykańskich spółek Apple nie zajmuje już pierwszego miejsca (firmę wyprzedza Nvidia, jeden z głównych beneficjentów wielkiego boomu na AI).

ZADANIE DLA INŻYNIERA

65-letni Tim Cook doskonale wie zaś, że jednym z przymiotów dobrego lidera jest gotowość do oddania sterów w odpowiednim momencie. Oficjalnie ogłosił zatem w ubiegłym tygodniu, że po 15 latach kierowania firmą i 28 latach pracy w Apple ustąpi ze stanowiska. Jak twierdzi, jest już zbyt zmęczony, by dalej wykonywać tak wymagającą pracę.

Mimo wielu prób dywersyfikowania źródeł przychodów iPhone wciąż jest kluczowym produktem Apple

1 września na stanowisku dyrektora generalnego Apple zastąpi go 15 lat młodszy John Ternus. Nie jest on wizjonerem i geniuszem marketingu niczym Steve Jobs. Nie jest też logistykiem jak Tim Cook. Jest inżynierem. I to wyjątkowo zdolnym inżynierem. Po 25 latach kariery w Apple zajmuje on obecnie stanowisko starszego wiceprezesa do spraw inżynierii sprzętu. To właśnie Ternus odegrał kluczową rolę w rozwoju najważniejszych produktów spółki, które swoją premierę miały w ciągu ostatniego ćwierćwiecza, takich jak iPady czy AirPodsy.

Jako nowy szef koncernu będzie miał szansę zaprezentować światu sprzęt przełomowy niczym iPhone. Będzie również musiał opracować skuteczną strategię Apple w zaciętej i wyjątkowo kosztownej rywalizacji na polu AI, wdrażając tę technologię do kolejnych produktów spółki. Nie będzie miał na to dużo czasu, gdyż koncern z kalifornijskiego Cupertino wydaje się już w tym wyścigu mocno spóźniony. Podczas gdy konkurenci – jak Google, OpenAI i Anthropic – prezentują coraz to nowsze i coraz mądrzejsze chatboty oparte na sztucznej inteligencji, będąca przez lata symbolem nowoczesności Siri nie brzmi dziś wcale jak najmądrzejszy asystent na rynku. OpenAI, czyli twórcy popularnego modelu ChatGPT, nie zamierzają zaś czekać, aż Apple się obudzi, i szykują się już do tworzenia własnych urządzeń opartych na możliwościach AI, wykorzystując do tego wiedzę i umiejętności tak legendarnych współtwórców produktów marki Apple jak znany wizjoner designu Sir Jony Ive. Według najnowszych medialnych przecieków pierwszym wspólnym sprzętem wypuszczonym na rynek miałby być domowy hub AI, który swoją funkcjonalnością byłby zbliżony do bezprzewodowego, inteligentnego głośnika z kamerą. Co ważne, miałby on być nie tylko ładny i oferowany w przystępnej cenie, lecz także wyjątkowo „inteligentny" – nowy sprzęt ma ponoć potrafić na bieżąco analizować, co się dzieje w najbliższym otoczeniu, i na podstawie wychwyconych słów i dźwięków podejmować pomocne działania bez czekania na konkretne komendy użytkownika. Plotki w technologicznym świecie mówią też o pracach nad inteligentnymi okularami oraz lampą uzbrojoną w zaawansowane algorytmy AI. Współpracujący z OpenAI Sir Jony Ive – który do odejścia z firmy w 2019 r. przez 27 lat pracował dla Apple – mówił zaś już jesienią ubiegłego roku, że ma już 20 pomysłów na produkty z ChatemGPT. Ich celem ma być przełom w sposobie, w jaki ludzkość korzysta z komputerów i innych elektronicznych gadżetów.

ODZYSKAĆ KOSZULKĘ LIDERA

Aby uniknąć dalszych porażek na polu AI, w 2026 r. Apple oficjalnie potwierdziło, że porozumiało się z Google i będzie korzystać zarówno z modeli Gemini, jak z infrastruktury chmurowej Google. Jak zauważył „Financial Times", dla największych purystów i fanów marki z jabłuszkiem w logo taka decyzja to „jakiś horror". Ternus będzie miał szanse naprawić błędy poprzednika. Jeśli sprawnie wykorzysta bazę 2,5 mld urządzeń z logo Apple, które działają obecnie na świecie, to może zaś sprawić, że Apple znów wysunie się na pozycję lidera. Aby osiągnąć pełen sukces, będzie musiał jednak wyjść ze strefy inżynierskiego komfortu i zająć się też takimi zadaniami, jak uszczęśliwianie amerykańskiego prezydenta.

Inwestorzy nie mają wątpliwości, że powinien sobie poradzić. Decyzje o ustąpieniu Cooka i nominowaniu Ternusa nie były bowiem wielkim zaskoczeniem ani dla mediów, ani dla analityków. Oficjalna informacja o zmianie na szczycie nie wywołała zatem gwałtownej zmiany kursu akcji. Zresztą akcjonariusze są spokojni, bo od września pracę Ternusa z fotela prezesa zarządu nadal będzie nadzorował Tim Cook. Nie chce on bowiem spieszyć się z decyzją o pożegnaniu z technologicznym imperium, którego potęgę przez tyle lat budował.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2eeee85d49



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Kto nie lubi polskich dzieci

Nie żyjmy na koszt przyszłych pokoleń!" – właśnie przypomniały mi się te słowa, często wypowiadane przez Wacława Wilczyńskiego, profesora ekonomii i jednego z pierwszych laureatów przyznanej jeszcze osobiście przez Stefana Kisielewskiego Nagrody Kisiela i przez niego (w 1990 r.) wręczonej.

A przypomniały mi się te słowa prof. Wilczyńskiego, bo to właśnie on u schyłku lat 80. i przez całe lata 90. poprzedniego stulecia grzmiał na rządzących Polską polityków, do znudzenia przestrzegając ich przed konsekwencjami nadmiernego zadłużania państwa i za każdym razem wskazując przy tym, że czyniąc w ten sposób, w istocie zadłużają własne dzieci i wnuki, bo to na nie w znacznej mierze zawsze spada konieczność spłacania kredytów zaciąganych przez polityków z pokoleń ich rodziców i dziadków – rat tych kredytów i odsetek od nich.

Na szczęście w latach 90. Polską rządzili politycy, którzy unikali dodatkowego zadłużania naszego państwa – i tak już zadłużonego po uszy w czasach PRL i próbującego ułożyć się z wierzycielami. A unikali go, bo albo po prostu mieli jeszcze dobrze w pamięci katastrofalny krach PRL, albo byli tak dobrze wyedukowani ekonomicznie i obdarzeni wyobraźnią, która trafnie im podpowiadała, jak kończą bankrutujące państwa i ile to kosztuje każdego z ich obywateli.

No i właśnie niedawno z taką samą jak w przypadku prof. Wilczyńskiego – roztropną – argumentacją wystąpił publicznie poseł Konfederacji Bartłomiej Pejo. – Zadłużając Polskę, robicie krzywdę dzieciom – gorąco zaapelował zarówno do współcześnie rządzących Polską polityków, którzy już wiele lat temu zatracili rozsądek charakteryzujący polityków rządzących Polską w latach 90., jak też do ich wyborców, którzy swoim politykom – powierzając im władzę – na to pozwalają.

„W tym roku sama obsługa długu publicznego będzie kosztować 90 mld zł. Oznacza to, że każdy Polak w wieku produkcyjnym zapłaci na ten cel średnio ok. 4,5 tys. zł. Ale to dopiero początek, będzie dużo gorzej" – mówił w nagraniu opublikowanym w mediach społecznościowych poseł Pejo. „W 2027 r. będzie to już 107 mld zł, a w 2029 r. aż 130 mld zł. Jeśli macie dzieci i popieracie taką skalę zadłużania państwa, to niestety robicie im realną krzywdę. Przy negatywnych trendach demograficznych taka polityka skazuje młodsze pokolenia na nędzę, a nas na jeszcze trudniejszą starość dla nas oraz poważne ryzyko bankructwa kraju" – ostrzegł.

Ale czy któregokolwiek z dorosłych Polaków przekonał do zmiany swego nastawienia do zadłużania naszego państwa? Bo jakoś tego nie zauważyłem. A dzieci (i ryby) – jak wiadomo – głosu nie mają. ©℗



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Zmyślona patologia

Ogłaszając podpisanie ustawy, wyposażającej Państwową Inspekcję Pracy w potężne kompetencje, prezydent odwołał się do rzekomych patologii rynku pracy, używając zresztą języka lewicy. Ciekawe, czy przed podjęciem decyzji Karol Nawrocki zapoznał się z konkretnymi liczbami, pokazującymi skalę dotychczasowych działań PIP w kwestii umów cywilnoprawnych.

To, z czym ma walczyć Państwowa Inspekcja Pracy, jest fikcją. Chodzi o uzasadnienie bolszewickiej ustawy

Poprosiłem PIP o informację w tej sprawie. Zapytałem o liczbę spraw, które PIP skierowała do sądów w sprawie zmiany umów cywilnoprawnych na umowy o pracę, począwszy od 2020 r., oraz o to, w jakiej części sądy przyznały inspekcji rację. Jest to bowiem jedyny wymierny sposób stwierdzenia, czy faktycznie mamy do czynienia z masową patologią czy też ze sztucznym nadymaniem nieistniejącego problemu.

Spodziewałem się potwierdzenia tej drugiej hipotezy, jednak otrzymane dane i tak mnie zaskoczyły. Okazało się, że przez pięć lat PIP skierowała łącznie – uwaga – 171 powództw o ustalenie istnienia stosunku pracy na rzecz 224 osób. Wyroki korzystne dla PIP zapadły w 35 przypadkach (przypominam: mówimy o okresie pięciu lat), a w dalszych 12 zawarto ugodę.

Na umowach cywilnoprawnych w Polsce pracuje ok. 1,5 mln ludzi. Oznacza to, że sprawy o ustalenie stosunku pracy to setne procenta liczby pracobiorców korzystających z umów B2B, a więc kompletny margines. Liczba skarg do PIP, dotyczących pracy na umowach cywilnoprawnych, także jest minimalna. „Na kilkadziesiąt tysięcy skarg zgłaszanych co roku nie więcej niż tysiąc dotyczy kwestii zawierania umów cywilnoprawnych" – informuje PIP.

PIP pisze także – ale już nie podając konkretnych liczb – że od pozwów lepsze jest wydawanie pracodawcom poleceń (co pozwala uniknąć drogi sądowej, o ile pracodawca do polecenia się zastosuje). „W ostatnich latach inspektorzy pracy doprowadzali w ten sposób do zamiany od 2 do 3 tys. kontraktów cywilnoprawnych w etaty" – informuje PIP. Tu jednak twardych liczb już brak, a podane szacunki i tak są bardzo niskie.

Potwierdza się zatem, że rzekoma masowa patologia rynku pracy jest zmyślonym zjawiskiem, mającym uzasadnić bolszewicką ustawę. ©℗

eprasa.pl 2eeee85d49

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Cytadela w Smoleńsku



JACEK KOMUDA

Odwiedzając Smoleńsk, podziwiając ogromne mury twierdzy, wzmocnione i przebudowane na początku XVII w., można zwrócić uwagę na dziwny szczegół. Oto w pewnym miejscu, między dzisiejszymi ulicami Przewalskiego oraz Cyryla i Metodego, potężny, mający ok. 15 m wysokości mur ceglany znika, ustępując miejsca parkowi z odnowionymi zarysami dawnych fortyfikacji ziemnych. Wbrew temu, co można sądzić, owa przerwa w obwarowaniach nie powstała na skutek współczesnej przebudowy miasta, ale jeszcze w XVII w. Są to tereny dawnej i częściowo dziś zrekonstruowanej Fortalicji Zygmuntowskiej, zwanej przez Rosjan „Królewskim Bastionem". Skąd wzięła się w tym miejscu i dlaczego zastąpiła fragment dawnych fortyfikacji?

Powstanie cytadeli miało związek z oblężeniem Smoleńska przez wojska polsko-litewskie w latach 1609–1611. Wówczas po ponaddwuletnich zmaganiach miasto zdobyte zostało szturmem 13 lipca 1611 r. Ciężka artyleria nadwyrężyła i częściowo rozbiła baszty z czasów cara Borysa Godunowa, a długi odcinek murów wysadzono, czyniąc podkopy i zakładając miny. Kiedy twierdza padła i została włączona w skład Rzeczypospolitej, pojawił się problem odbudowania jej potencjału obronnego, a więc odtworzenia zniszczonego fragmentu obwarowań. Pierwotnie miasto otaczały potężne, ceglane i kamienne mury obronne z basztami, których budowę ukończono w 1602 r. Już jednak w tym momencie były one przestarzałe i kosztowne do odbudowy. Tymczasem na początku XVII w. w Europie popularne były dwa systemy fortyfikacji – „nowowłoski" wykorzystujący ziemne bastiony i umieszczone między nimi trójkątne raweliny. Drugim był staroholenderski, rozwinięty w Niderlandach w czasie wojny z Hiszpanią, zakładający dodatkowo wzmacnianie obrony przez dzieła rogowe i koronowe oraz takie wytyczenie linii obronnej, aby proste odcinki fortyfikacji mogły wspierać ogniem flankującym bastiony. Zrezygnowano z obmurowania skarp wałów, wprowadzając w zamian wzmocnienia z faszyny i darni, zapobiegające osypywaniu się ziemi. Dlatego zarządzający Smoleńszczyzną królewicz Władysław, który musiał zadbać o obronność twierdzy, zdecydował się wznieść w luce w murach nowoczesny, pięciobastionowy fort wzorowany na sławnej cytadeli w Antwerpii. Jego projektantem był inżynier wojskowy na służbie polskiej – Wilhelm Appelmann, kapitan gwardii, który kierował wcześniej budową fortyfikacji w obozie wojsk polskich pod Chocimiem w 1621 r.



RYS. DBA

Prace nad cytadelą rozpoczęto w 1626 r., wykorzystując zarówno miejscowych chłopów, jak i specjalistów z Gdańska oraz Prus. Oficjalnie nazwano nową fortyfikację Fortalitium Sigismundum – Cytadelą Zygmuntowską – na cześć panującego nam wówczas króla Zygmunta III Wazy. Ciekawe, że cytadela, której wały miały imponującą wysokość 18 m, gdyż dorównywały murom Smoleńska, miała dwa bastiony także od strony wschodniej. Umożliwiało to ostrzeliwanie miasta w razie wtargnięcia tam nieprzyjaciela lub wybuchu buntu, co – jak czas pokazał – zdarzało się w miastach na wschodzie Rzeczypospolitej. Twierdza miała nowoczesne jak na owe czasy urządzenia obronne – podsłuchy, czyli podziemne tunele obmurowane cegłą. W czasie oblężenia umieszczano w nich bębny i misy z wodą, aby poprzez drgania wykryć podkopy przeciwnika. Cytadela otoczona była fosą wypełnioną wodą, głęboką na 3 m, a szeroką na ok. 30 m. Wewnątrz obwarowań wzniesiono budynek koszar dla załogi, magazyny żywności, wieżę do obserwacji przedpola i dom komendanta.

Koszt budowy cytadeli wynosił ok. 200 tys. zł i na szczęście zdołano ją ukończyć przed kolejnym uderzeniem Moskwy oraz oblężeniem w 1632 r.

Cytadela była wówczas tak potężna, że przeciwnicy nie pomyśleli nawet o ataku na ten odcinek fortyfikacji. Samo zaś dzieło obronne wspierało ogniem artylerii obronę sąsiednich pozycji. Podczas kolejnego oblężenia w 1654 r. na cytadelę skierowany został jeden ze szturmów, odparł go jednak ze znacznymi stratami wśród Moskali płk Mikołaj Korff. Kapitulacja twierdzy nastąpiła wówczas na skutek braku prochu, ale przede wszystkim upadku morale obrońców i braku możliwości odsieczy ze strony armii litewskiej. Nigdy już Smoleńsk nie powrócił do Rzeczypospolitej. W czasie kampanii Napoleona w 1812 r. odegrał kolejny raz rolę twierdzy. Później teren cytadeli został zamieniony w park miejski, wreszcie, w czasach sowieckich, zdewastowany i oszpecony. Obecnie jest odnawiany; jednak do dziś część Smoleńska w obrębie murów, jak to zwykle w Rosji, wygląda gorzej niż w XVII w. w czasie oblężenia. ©℗

eprasa.pl 2eeee85d49

HONDA HR-V E:HEV



FOT. JAP

Hybrydowy miejski crossover Hondy to auto dla tych, którzy szukają kompaktowego samochodu od sprawdzonego japońskiego producenta. Nie jest to jednak SUV dla miłośników sportowych wrażeń.

Odświeżona wersja najmniejszego SUV-a Hondy dostępna jest wyłącznie jako pełna hybryda. To oznacza, że 1,5-litrowy silnik benzynowy działa niczym generator prądu, wytwarzając energię dla silnika elektrycznego. Układ hybrydowy i-MMD automatycznie przełącza się między trybem elektrycznym, hybrydowym a trybem silnika benzynowego. Działa to całkiem nieźle. Gdy energii w akumulatorze jest sporo, a poruszamy się po mieście, w kabinie panuje błoga cisza. Tylko przy nagłym zapotrzebowaniu na moc – lub podczas jazdy z wyższą prędkością po drogach ekspresowych – napęd działa w trybie wyłącznie silnika benzynowego (którego wycie może momentami irytować).

Maksymalna moc układu wynosi bowiem 131 KM, a maksymalny moment obrotowy to 253 Nm. Wystarczy rzut oka na powyższe dane techniczne, aby domyślić się, że ten elegancki SUV nie ma szans poruszać się niczym rakieta kosmiczna. Na rozpędzenie się od zera do 100 km/h Honda HR-V e:HEV Honda w testowanym wariancie Advance Style Plus potrzebuje 10,8 s. Prędkość maksymalna wynosi 170 km/h.

Honda HR-V jest wystarczająco dynamiczna, aby sprawnie poruszać się po mieście. Wysoki prześwit pozwala też bezpiecznie pokonywać wysokie krawężniki. Mierzący 435,5 cm długości i 179 cm szerokości (bez lusterek) kompaktowy SUV potrafi być również oszczędny. Przy rozsądnym operowaniu pedału gazu spalanie można ograniczyć do 4,1 l/100 km. Średnia w cyklu mieszanym wyniosła podczas testu 5,5 l/100 km. Na pochwałę zasługuje też precyzyjny układ kierowniczy.

Honda HR-V e:HEV ma też bardzo wygodne przednie fotele i dość przestronną kabinę. Pasażerowie siedzący na tylnej kanapie powinni być zadowoleni z przestrzeni na nogi (jak na ten segment jest super), choć mogą nieco narzekać na niezbyt dużo miejsca nad głową. Wnętrze wygląda dość nowocześnie i jest całkiem nieźle wykończone. Dobrze, że nie zabrakło w nim tradycyjnych pokręteł do obsługi najważniejszych funkcji, ale system multimedialny prosi się już o odświeżenie (aby uruchomić AndroidAuto, nadal potrzebny jest kabel). Również bagażnik mógłby być większy. W podstawowych wersjach wyposażenia ma 335 l pojemności, a w testowanej Advance Style Plus tylko 320 l. Po złożeniu siedzeń kufer rośnie do 972 l.

Honda HR-V e:HEV w najtańszej wersji wyposażenia (Elegance) kosztuje 121,9 tys. zł. Za wariant z adaptacyjnymi światłami drogowymi LED, elektryczną klapą bagażnika oraz podgrzewaną, skórzaną kierownicą trzeba zapłacić 132,9 tys. zł. W wersji Advance Style za 146,9 tys. zł pojawiają się też system audio w wersji premium, ładowarka bezprzewodowa czy relingi dachowe. Wersja Advance Style Plus, która ma m.in. szklany, panoramiczny dach oraz ciekawie wyglądające dwukolorowe nadwozie, kosztuje zaś 151,4 tys. zł.

ZESTAW DO MONITORINGU EUFYCAM S3 PRO



Zaawansowane algorytmy AI do skutecznego rozpoznawania obiektów i osób, bardzo dobra jakość obrazu, solarne zasilanie, brak opłat abonamentowych i banalnie prosta obsługa – to największe zalety systemu do domowego monitoringu chińskiej firmy eufyCam.

Testowany zestaw składa się z dwóch smukłych kamer o rozdzielczości 4K oraz stacji bazowej, którą należy podłączyć do prądu w domu. Każdy z elementów jest solidnie wykonany. Zintegrowane z obudową panele solarne na kamerach zapewniają zaś wystarczająco dużo energii, aby urządzenia te działały bez konieczności doładowywania ich akumulatorów z gniazdka elektrycznego. W zestawie znajduje się też osobny panel słoneczny – można więc kamerę powiesić w miejscu, do którego nie dociera aż tyle promieni słonecznych, a sam panel wyżej, gdzie słońca już nie brakuje.

Największe wrażenie robi jednak skuteczność działania systemu, który niezwykle sprawnie rozpoznaje osoby, samochody i zwierzęta. Powiadomienia w aplikacji wyświetlają się błyskawicznie po wykryciu danego zdarzenia. Podczas testu system nie nękał mnie też żadnymi fałszywymi alarmami.

Kamery Eufy S3 Pro oferują bardzo dobrą jakość obrazu w jakości 4K zarówno w dzień, jak i w słabych warunkach oświetleniowych (np. w czasie deszczu lub w nocy). Nagrania są wyraźne i pełne szczegółów, a kolory widać nawet w nocy. Kąt widzenia kamer wynosi 135 stopni.

Co istotne, wszystkie nagrania zapisywane są lokalnie, a nie w chmurze. Takie rozwiązanie ma dwie ważne zalety. Pierwsza: brak opłat abonamentowych. Druga: dużo większa prywatność (zwłaszcza że nagrania są dodatkowo szyfrowane). Stacja bazowa ma 16 GB wbudowanej pamięci, którą można rozszerzyć nawet do 16 TB, dokupując dysk SATA.

Kamery są wyposażone w głośniczki i mikrofony do dwukierunkowej komunikacji. Działa to poprawnie, ale z kurierem czy niespodziewanymi gośćmi lepiej jest jednak rozmawiać za pomocą inteligentnego wideodomofonu.

Minusy? Polska wersja aplikacji zdecydowanie wymaga dopracowania. Lepszy mógłby być też zestaw montażowy. Przydałaby się też opcja awaryjnej obsługi sieci komórkowej (na wypadek awarii światłowodowego Internetu).

Oficjalna cena testowanego zestawu wynosi 2599 zł. W promocji można go jednak kupić za 1559,40 zł. I jest to bardzo atrakcyjny stosunek ceny do możliwości takiego systemu.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ **JACEK PRZYBYLSKI**

eprasa.pl 2eeee85d49



MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK I ANNA POPEK Z D. CHRUZIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Smak dzieciństwa

To bardzo popularny deser bez pieczenia z czasów naszego dzieciństwa. Dawniej często przygotowywany był bez okazji na niedzielę. W smaku przypominał czekoladę mleczną z orzechami. Składnikiem, który podbijał ów smak, było mleko w proszku, bez którego deser nie mógł się udać. Połączenie kakao i mleka w proszku miało być substytutem czekolady, która – jak wiadomo – za czasów PRL była towarem deficytowym. Dzieci marzyły o słodyczach, a jedyne źródło dostaw stanowiły paczki z Reichu, czyli paczki od rodziny i znajomych z Republiki Federalnej Niemiec. Na Śląsku był to dość ważny kanał dystrybucji dóbr ówcześnie luksusowych. Ci, którzy paczek nie dostawali, musieli sobie radzić sami, więc zamiast kupować w sklepie gniotowate wyroby czekoladopodobne lub w cukierni ciasta robione na margarynie, robiło się bardzo smaczny blok czekoladowy. Dodatek pokruszonych herbatników sprawia, że deser jest bardziej treściwy. Łączy w sobie czekoladowe ciasto i mleczną czekoladę z bakaliami. Deser przygotowujemy bez pieczenia, możemy go przechowywać – jeśli nam się uda, bo jest smaczny – dość długo, np. w metalowej puszce, tak jak to robiła nasza babcia. Smak przeniesie nas wprost do czasów naszego dzieciństwa.

Blok czekoladowy na formę o długości 30 cm

• 300 g prawdziwego masła • 1 szklanka cukru pudru • 450 g mleka w proszku (niegranulowanego) • 6–7 łyżek kakao • 3/4 szklanki mleka • 250 g ciasteczek lub herbatników • spora garść posiekanych orzechów laskowych i włoskich

Masło rozpuścić w rondelku, dodać cukier puder, kakao oraz mleko, wymieszać dokładnie do rozpuszczenia. Zdjąć z ognia, lekko przestudzić i dodać mleko w proszku. Wymieszać, dodać pokruszone herbatniki oraz posiekane orzechy. Foremkę do pieczenia wyłożyć folią spożywczą i przełożyć masę. Wyrównać z góry szpatułką i wstawić do lodówki na minimum całą noc. Po wyjęciu wyłożyć na deseczkę, pokroić na plastry. ©℗



FOT. ADOBE STOCK



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

„Ślepa kuchnia"

Lata 70., konferencja naukowa w sowieckim Instytucie Badań Jądrowych w Dubnej. Uczeni od atomu w skupieniu słuchają referatu. Nagle uchylają się drzwi, w szczelinę wsuwa się głowa: – Przywieźli kapustę! Szurgot krzeseł i panowie naukowcy rzucają się do wyjścia.

To jedna z wielu autentycznych opowieści o Związku Sowieckim; Polacy opowiadali je sobie z satysfakcją, że u nas nie jest tak źle. Ale i u nas życie produkowało każdego dnia śmieszno-straszne kawałki o kolejkach, kelnerach, brakach na rynku, reglamentacji. Temat dla satyryków, kabareciarzy, filmowców. Jak mawiano: socjalizm to ustrój, który usiłuje rozwiązywać problemy, które sam tworzy.

Rzeczywistość była mniej zabawna. Problemów z zaopatrzeniem narodu w żywność nie udało się władzy rozwiązać do końca jedynie słusznego ustroju. Opowiada o tym książka Moniki Milewskiej „Ślepa kuchnia. Jedzenie i ideologia w PRL" (Państwowy Instytut Wydawniczy). Autorka przemierza 50 lat PRL jak sprawozdawca relacjonujący teraźniejszość. Po kolei, chronologicznie. Inaczej to wygląda za czasów Bieruta, gdy partia siłą usiłowała znacjonalizować każdy kawałek ziemi, inaczej za Gomułki, kiedy społeczeństwo okrzepło w ponurym zniechęceniu, godząc się na chabaninę zdobywaną z trudem. Wreszcie inaczej za Gierka, kiedy w narodzie wytworzono przekonanie, że trudności są chwilowe, a za chwilę szynka będzie w każdym sklepie.

„Ślepa kuchnia" to nie tylko opowieść o trudnościach zaopatrzenia, braku mięsa, czekaniu na statek z pomarańczami. To przede wszystkim świetnie napisana, pełna anegdot opowieść o tym, jak nawet w ten – zdawałoby się apolityczny – fragment rzeczywistości wdarła się polityka. Jak temat służył władzy za narzędzie manipulacji społeczeństwem. To poważna monografia naukowa, ale czyta się jak kryminał.

Pisze wydawca: „Czytelnik dostrzeże dychotomię państwa i społeczeństwa w historii codzienności; co innego komuniści mówią, co innego myślą, co innego robią (sprawa chociażby specjalnych sklepów przeznaczonych dla elit rządzących) – podobnie jak obywatele. Dzięki pracy Milewskiej dużo lepiej rozumiemy ramy, sytuacje społeczne, okazje społeczne czy konteksty interakcji PRL".

Uśmiechnie się, kto pamięta tamte czasy. Niektórzy zostali z nimi do końca życia, jak moja skądinąd dystyngowana ciocia, której zostało przekonanie, że restauracja to nie miejsce dla przyzwoitego człowieka. „Do restauracji chodzą kurwy i złodzieje" – mawiała i trudno było ją wyprowadzić z błędu. Młodszym trudno będzie uwierzyć, że batonika Mars nie było w najbliższym supermarkecie. Że w ogóle nie było supermarketu. ©℗

eprasa.pl 2eeee85d49



PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Ruskim zaczyna się mieszać

Putin spuścił ze smyczy swego najgroźniejszego psa. Tym razem poszczuł go na włoską premier Giorgię Meloni. Władimir Sołowjow, pierwszy propagandysta kraju, na antenie telewizji publicznej Rossija 1 w swoim programie „Pełen kontakt" wypluł z siebie wykwintną wiązankę prymitywnych wulgaryzmów, która z pewnością zaimponowałaby Goebbelsowi. I to po włosku, żeby było dokładnie wiadomo, kto jest adresatem bezprecedensowego steku wyzwisk. Słowem: dyplomacja po rusku:

„Obraza rodzaju ludzkiego, bestia, patentowana idiotka, podła, wredna, Giorgia Putta Meloni [„puttana" to po włosku prostytutka – przyp. P.K.], kreatura faszystowska, zdradziła swoich wyborców, bo w wyborach wystartowała pod zupełnie innymi hasłami. Zdrada to jej drugie imię. Zdradziła Trumpa, choć ślubowała mu wierność".

Wydawałoby się, że Ruski powinien się cieszyć, bo włoska premier postawiła się Trumpowi, potępiając amerykański atak na Iran i odmawiając Amerykanom w tej operacji prawa do korzystania z baz lotniczych na terenie Włoch. Na dodatek zawiesiła współpracę ministerstw obrony Włoch i Izraela. Można więc odnieść wrażenie, że Ruskim jest z Trumpem bliżej. Jak zauważa Massimo Gramellini w „Corriere della Sera": „Porucznik Sołowjow oskarża włoską premier o to, że nie poparła amerykańskiego ataku na Iran wspierany przez Rosję. Czy jako Rosjanin nie powinien być zadowolony? Można odnieść wrażenie, że grupa interesu, w której głównymi akcjonariuszami są Trump i Putin, a Sołowjow gorliwym funkcjonariuszem, przekroczyła nie tylko granice wszelkiej przyzwoitości, lecz także geopolityki".

Ale mniejsza o geopolitykę. Jeśli atak Sołowjowa miał politycznie uderzyć w Meloni, wierną sojusznicz-kę Ukrainy, w Italii, to był strzałem kulą w płot. Pani Meloni ma teraz mnóstwo kłopotów politycznych. Przegrała bardzo wyraźnie sztandarowe referendum dotyczące reformy wymiaru sprawiedliwości. Krytykowana jest przez opozycję za do niedawna zbyt protrumpowską politykę zagraniczną, która w końcu legła w gruzach. Ale wulgaryzmy Sołowjowa spowodowały, że przytłaczająca większość Włochów i wszystkie włoskie siły polityczne stanęły w jej obronie, a popularny polityk opozycji, teraz europoseł, Carlo Calenda, powiedział: „Ten przestępca Władimir Sołowjow, wspólnik dyktatora mordercy, użył słów, które są nie do powtórzenia. Wyrażamy pełną, bezwarunkową solidarność z Giorgią Meloni". Szefowa największej opozycyjnej Partii Demokratycznej, Elly Schlein, oświadczyła, że atak na włoską premier jest atakiem na Włochy i Włochów. Najwyraźniej Ruskim wszystko się pomieszało. ©℗



JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

W Węgrzech

Ja jako filolog męczę się ostatnio, to znaczy od kilku lat. Na studiach, nawet tych komunistycznych, uczyłem się tego, że różne ideologie rozpoczynają swój wzrost od dekonstrukcji istniejącego języka. Zamiast starych znaczeń nadaje się nowe, wprowadza się nowinki – sztucznie stworzone nowotwory językowe, wszystko po to, by poprzez znaczeniowe rozprężenie komunikacji wprowadzić nowy ład w myśleniu i zniwelować ewentualny opór, gdyż w nowej rzeczywistości językowej nie można go nazwać.

Jest to zjawisko obiektywne, a skoro tak, to dlaczego mam się z tym męczyć? Nie chodzi tu już nawet o to, że jak się słyszy te dziwolągi (nawet nie mówię o słynnych feminatywach), to aż w uszach zgrzyta. Nawet nie mówię, że to zachwaszcza język na lata i potem nie wiadomo, co z tym zrobić, bo mody ideologiczne, w czasach płynnej rzeczywistości, przychodzą i odchodzą, a ich konsekwencje długo zalegają jako złogi w języku czy mowie.

Przykładem jest zamienne używanie określeń „na Ukrainie" i „w Ukrainie". Jest to świetny przykład na politycznie języka w służbie ideologii. To jak noszenie lub nie maseczki w COVID. Od razu widać kto zacz. Tłumaczę: ten, który mówi „w Ukrainie", to nowoczesny poprawnościowiec językowy, wspierający ideę „sługi Ukrainy", bezkrytyczny popieracz Zełenskiego oraz wróg śmiertelny Putina i jego polskich onuc. Ten drugi typ dzieli się na dwie podgrupy – właściwych poprawnościowców językowych (tak się po prostu mówi) oraz przeciwników bezkrytycznego hołubienia Ukrainy. Jeden przyimek, a tyle znaczeń. Wzięło się to z polityki, bo od kiedy Ukraina walczy z Rosją, również za nas, trzeba jej przydać walorów państwowości, czemu przeczy nieprawomyślny przyimek „na". Do wojny, nawet tej drugiej – można było stosować formy odwieczne i ustalone, jednak Rada Języka Polskiego zaraz po kasacji słowa „Murzyn" na wniosek pewnej deputowanej z Ukrainy zmieniła normę językową. Teraz już tak pisać/mówić nie wypada, o czym zdecydowała polityka.

Co więc mnie męczy? Ano – niekonsekwencja. Skoro już językowo tropimy deficyty państwowości w przyimkach, to do końca. Oto przecież ostatnio zmieniła się władza, no właśnie… „na Węgrzech" czy „w Węgrzech"? No bo skoro Węgry wracają wreszcie do swej państwowości osadzonej na nieomylnej idei liberalnej demokracji, to nie wypada – wzorem przygód ukraińskich – postponować ich przyimkiem „na Węgrzech", bo to uwłacza ostatnim zdobyczom demosu. Oczekuję więc nie tylko od Rady Języka Polskiego konsekwencji, lecz także od mediów i wzmożonych Polaków rzetelnego sprawozdawania wyników politycznych przemian. W Węgrzech… ©℗

eprasa.pl 2eeee85d49



SPODE ŁBA

Wie, gdzie migdały leżą?

DARIUSZ WIEROMIEJCZYK

Prawdziwie janusowe, dwoiste w wyrazie oblicze okazuje w mediach społecznościowych amerykański ambasador Thomas Rose. Z godnym lepszej sprawy zaangażowaniem rzucił się on do obrony dobrego imienia państwa Izrael, odpowiadając na krytyczny wobec polityki Izraela wpis lidera Konfederacji, Sławomira Mentzena. „Wstydźcie się, wstydźcie się, wstydźcie się! Może nawet zauważyliście, że my, Żydzi, nie jesteśmy już tak łatwi do pomiatania, prawda? Bronimy się z całych sił, bez przeprosin – stoimy po stronie naszych przyjaciół i wiemy, jak walczyć i pokonać naszych wrogów!" – napisał ambasador USA. Nie wyjaśnił, niestety, wprost, do pokonania jakich wrogów przymierza się kierowana przez niego ambasada i po stronie jakich przyjaciół zamierza stanąć. Można jednak przypuszczać, że uczynienie Sławomira Mentzena adresatem tego wojowniczego wpisu nie było gestem przypadkowym. Podobnie pomyślał zapewne i Mentzen, odpowiadając na wybuch ambasadora lakonicznym pytaniem: „Grozisz mi?".

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA



Myliłby się jednak czytelnik, przypisujący ambasadorowi Rose'owi szczególnie brutalny charakter, manifestujący się przyrodzoną szorstkością ocen. Już następnego dnia, komentując medialne występy wiceprezesa PiS Mateusza Morawieckiego, polityk amerykański okazał swoje drugie, cieplejsze oblicze. „Genialne, uwielbiam tego faceta" – napisał ambasador Rose na platformie X. Wyrazy uwielbienia i pochwały dla politycznego geniuszu zarezerwowane są w amerykańskich kręgach rządowych dla działań prezydenta Donalda Trumpa, więc słowa dyplomaty tym bardziej należy docenić. Przypomnijmy, że tego rodzaju komplementy nie pierwszy raz spływają na byłego polskiego premiera. Kiedy kilka miesięcy temu Mateusz Morawiecki przedstawił, na stronie internetowej PiS, swój plan „Gospodarczego NATO", entuzjastyczną ocenę projektu opatrzył ambasador Rose rzędami wykrzykników, powstrzymując się, zapewne w ostatniej chwili, przed postawieniem na ich końcu egzaltowanych serduszek. „Wyjątkowe pomysły Mateusza Morawieckiego, które mogą pomóc uratować Europę!!! Odpowiedzi na problemy Europy można znaleźć właśnie tutaj, w Polsce!!!" – entuzjazmował się ambasador.

Wszystko to blednie jednak w porównaniu z rozmową, którą w styczniu 2026 r. odbyli obaj politycy na Kanale Zero. Panowała tam tak doskonała wspólnota poglądów, że ambasador Rose uznał ją za utrudnienie w dyskusji. „Zgadzam się ze wszystkim, co zostało powiedziane, wiem, że to miała być debata, ale nie sądzę, że mógłbym się nie zgodzić z czymś, co ma do powiedzenia wasz wspaniały były premier" – zadeklarował przedstawiciel sojuszniczego mocarstwa. Widzowie mogli odnieść wrażenie, że jedyne, co mogli jeszcze zrobić pozostający w tak idealnej harmonii dyskutanci, to usiąść naprzeciw siebie i uderzając się dłońmi, zainicjować zabawę, znaną w kręgach przedszkolnych pod nazwą „Kosi, kosi łapci". Poza rytmicznym klaskaniem uczestnicy tej niewinnej igraszki recytują też wierszyk, którego najpopularniejsza wersja brzmi:

Kosi, kosi łapci
Pojedziem do babci
Od babci do cioci
Ciocia da łakoci.

Pamiętać przy tym należy o wzruszających wspomnieniach Mateusza Morawieckiego, dotyczących jego, mieszkających w Izraelu, dwóch „ciotek". Nie wnikając w niuanse, czy były one krewnymi polskiego polityka czy też, jak prostowała prasa, jedynie „przyjaciółkami rodziny", wnioskować można śmiało, że podróż po „łakocie" byłaby dla obu panów owocna i miła. Izraelskie słodycze cieszą się w świecie znakomitą opinią. Należą do nich: babka, zwana kuglem na słodko, korzenny miodownik oraz nadziewane makiem i orzechami hamantasze, zwane „uszami Hamana". Obładowany słodyczami Mateusz Morawiecki miałby w nich solidny argument wspierający lojalność członków nowego stowarzyszenia Rozwój Plus. Także dla przyszłych, potencjalnych koalicjantów politycznych słodkie „uszy Hamana" mogłyby posłużyć jako zachęta i przestroga zarazem. ©℗

eprasa.pl 2eeee85d49



Z INNEJ PERSPEKTYWY

Nowoczesna agresja

WOJCIECH ROSZKOWSKI

Niedawno słyszałem, że ustrój niektórych państw bałkańskich można określić jako „stabilokrację", czyli formę rządów lekko autorytarnych wspomaganych z zewnątrz. Chyba tego rodzaju autorytaryzm dotyczy jednak także zachodnich „demokracji liberalnych" Unii Europejskiej, gdzie demokracja nie jest już zbyt liberalna ani zbyt demokratyczna, skoro m.in. formuje ją lęk przed jakąś grupą: we Francji przed Frontem Narodowym, a w Niemczech przed AfD. Może to w ogóle nowa forma systemu typowego dla Unii Europejskiej i opartego na pieniądzu, mediach i służbach specjalnych? I jak nazwać ideologię, która towarzyszy formowaniu tego systemu? Czy to „stabilizacja", czy raczej „wolność", a może „nowoczesność" są głównymi hasłami tej ideologii?

Czym jest nowoczesność? Oto pytanie. Hasło „nowoczesności" jest często ostatecznym argumentem w sporach. Ale właściwie czym ona jest? Żyjemy w czasach, które nam przypadły bez naszego wyboru. Raczej z przyzwolenia rodziców. Jesteśmy bardzo przywiązani do „naszych" czasów, bo innych naprawdę nie doświadczyliśmy. Są one oczywiście „nowe", bo nigdy takich jeszcze nie było. Czy to powód do dumy? Trudno powiedzieć, bo nasz wpływ na „nasze" czasy jest i tak ograniczony. Czy możemy zatem powiedzieć, że są „nasze" albo że dawne były gorsze? Na jakiej podstawie? Pojęcie „nowoczesności" jako pozytywny wyróżnik na tle „nienowoczesności" nie ma zatem wiele sensu, podobnie jak „postęp", który nas ma wieść ku lepszej przyszłości. Bo co nas może zaprowadzić do przyszłości, która ma być lepsza? I w jakim sensie lepsza?

Sprawa jest chyba głębsza. Charlie Kirk stwierdził kiedyś, że współczesny świat opiera się dziś na trzech zasadach: „Bóg to tylko domysł, osądzanie to największy grzech i ja sam jestem bogiem". Uproszczenia są zawsze ryzykowne, ale w tej syntezie jest wiele racji, bo z tych trzech kwestii wyrasta cała reszta, a więc: „teoria krytyczna", „płynna rzeczywistość", ideologia gender awansowana do rangi nauki podobnie jak dawniej „naukowy komunizm", wokeizm, powszechne prawo do aborcji, walka z faszyzmem, rasizmem i innymi wyimaginowanymi „wrogami ideologicznymi", a w końcu także „nowoczesność".

Charlie Kirk stwierdził kiedyś, że współczesny świat opiera się dziś na trzech zasadach: „Bóg to tylko domysł, osądzanie to największy grzech i ja sam jestem bogiem"

Punktem wyjścia jest kwestia trzecia. Niezależnie od tego, czy Księga Rodzaju jest dziełem Mojżesza czy tradycji jahwistycznej lub kapłańskiej, jest ona fundamentem racjonalnego wyobrażenia o świecie i człowieku. Słyszymy tu, jak Zły powiedział Ewie, że powinna zjeść zakazany owoc, bo otworzy to oczy i „jak Bóg będziecie znali dobro i zło" (Rdz 3, 5). Zły podpowiada, że choć człowiek został stworzony, to gdy zażyje truciznę, stanie się równy Stwórcy. Trucizna jest smaczna. Trucizną jest „antropologia nieograniczona", której rzecznicy wmawiają nam, że człowiek sam się stwarzał przez ewolucję, wobec czego ma nieograniczone możliwości decydowania o sobie i nikomu nic do tego. W praktyce tak to właśnie wygląda: człowiek ma być „miarą wszechrzeczy", a więc podlega jedynie samoocenie. Cała konstrukcja „etyki niezależnej" opartej na „wartościach ogólnoludzkich" jest jedynie nieudolną próbą uzasadnienia tego wniosku. Tak to właśnie wygląda: nikt nie ma prawa mnie oceniać i w ogóle oceniać nie wolno, bo nie ma do tego podstawy. Skoro jednak nie ma solidnej podstawy do oceny – antropolog nieograniczony opędza się od Dekalogu jak diabeł od święconej wody – to pozostaje podstawa głupia, np. „nowoczesność". Współautor raportu Instytutu Krytyki Politycznej o „dynamice emocjonalnej populizmu" w Polsce poddał „pisiorów" następującej ocenie: „Chodzą zgarbieni, mają zawsze przekrwione oczy i mówią chrapliwym głosem". Autor tej oceny zapomniał chyba dodać, że paskudnie pachnie im z ust. Tak czy inaczej adwersarz jest obrzydliwy. Ale czy świadczy to, że nie ma on racji? Skąd to wiadomo? Z perspektywy „nowoczesnego" eksperta adwersarz może się wysilać z jakąś argumentacją, ale jest wstrętny i nie ma po co go słuchać. Jeśli jednak okaże się skuteczny i zdobędzie wielki rozgłos, to trzeba go zabić. Jak Kirka. ©℗

eprasa.pl 2eeee85d49

ŻYMIANIE



FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOŚNICKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

To cytat z listu do audycji „Antysystem", którą prowadzimy we dwóch z Pawłem Lisickim: Pan Lisicki wybornie trzyma gardę i punktuje. Natomiast Pan Cejrowski się miota i ma niejasne i pokrętne toki rozumowania, zwłaszcza w sprawie USA i Żymian. Innymi słowy, Pan Wojciech prezentuje narrację naciąganą jak majty na głowę. Rodzą się pytania: Czemu? Po co? W jakim celu?

To o majtach na głowę mnie ubawiło i odpisałem tak: Jeżeli naciągam majty na głowę, to prawdopodobnie z zimna lub ze wstydu, lub z desperacji.

A wracając do meritum listu (który odbieram jako sensowny), odpisałem, że Pan Lisicki siedzi w Polsce i trzyma gardę, bo prezentuje polski punkt widzenia. Natomiast moje zadanie polega na prezentowaniu amerykańskiego punktu widzenia, no a Ameryka popiera dwie rzeczy: Żym i siebie samą. W tej sytuacji Polska musi samodzielnie trzymać gardę i jasno prezentować własny punkt widzenia.

***

Słowo „Żymianie" pozwala omijać algorytmy, które cenzurują wymianę myśli w sieci. Wymiana myśli nie powinna podlegać cenzurze – tak uważam. Chcę wiedzieć, co myślą inni, szczególnie wtedy, gdy oni się sromotnie mylą, a ja się z nimi nie zgadzam. Chcę ich słyszeć, a nie kneblować. Knebel wsadzony w usta przeciwnika nie powoduje, że przeciwnik przestaje myśleć to, co myśli. Knebel powoduje tylko tyle, że ja tych myśli nie słyszę lub wcale o nich nie wiem. Po co stosować knebel, skoro mogę zatkać uszy własne (zamiast kneblować usta komuś) lub mogę czegoś nie czytać (zamiast usuwać z sieci).

Antysemityzm w Internecie powinien być dozwolony. Jeżeli w obecnej sytuacji antysemityzm narasta, to chcemy to widzieć, a nie udawać, że zjawisko nie istnieje. Chcemy znać fakty: jest taki naród na ziemi, którego nikt nie lubi i który w ciągu wieków był wygnany z ponad stu krajów świata. Ten rekord nie ma precedensu. Kolosalna skala zjawiska dotyczy wyjątkowo tylko Żymian.

Pomyślmy logicznie: Skoro ich wyganiano, to znaczy, że wcześniej ich przyjmowano lub przynajmniej nikt nie oponował, gdy napływali. A potem oni robili coś takiego, że kolejne społeczeństwa decydowały się ich wygnać. Przyjmowanie jest łatwiejsze od deportacji. Wiemy to z naszej obecnej sytuacji z muzułmanami – wpuścić było łatwo, a deportacja jest kłopotliwa i dlatego Niemcy wywalają muzułmanów do Polski, a agent Tusk ich przyjmuje i rozkłada łapki, że nie da się deportować, bo nie ma dokąd.

***

Dygresja:
Moim zdaniem da się deportować. Kupujemy tanio stary zardzewiały statek pod dowolną banderą. Pakujemy nielegalnych imigrantów. Płacimy za rejs do Afryki. Kapitan rozpędza się i wbija na mieliznę w dowolnym miejscu kontynentu afrykańskiego. A potem następuje ewakuacja i porzucenie wraku.

Pozostałym w Polsce imigrantom proponujemy kolejny rejs, kolejną zardzewiałą krypą, lub… wykupienie za ich własną forsę biletu na samolot do domu. Nieludzkie? A co jest nieludzkiego w propozycji zakupu biletu na samolot do domu? Deportacja muzułmanów z Polski to wyłącznie kwestia WOLI. Aktualnie woli brak. Jeżeli partia Grzegorza Brauna lub dowolna inna zdobędzie władzę i wykaże wolę, to znajdą się fundatorzy na tę pierwszą zardzewiałą krypę. To jest bardzo pozytywny, propolski program wyborczy, który ma wielu zwolenników. Być może wyborcy nie zechcą się afiszować swoim poparciem, ale po cichu zagłosują za. Wtedy Ubery z cytatami z Koranu na tylnych szybach (wdziałem takie w Warszawie) znikną.

***

Wróćmy do tematu Żymian. Przez całe wieki było tak:

Oni nie mają swojego państwa, bo przestało istnieć. Naród nadal istnieje, istnieją też język, historia i tradycja Narodu Wybranego, ale teraz jest to naród bez ziemi. W tej sytuacji inni ich przyjmują do swoich krajów, a po kilku wiekach decydują, że jednak trzeba wygnać. Hę? I coś takiego zdarzyło się wiele razy. W efekcie na opis tego powtarzającego się zjawiska powstało odrębne słowo „antysemityzm" i jest ono ograniczone wyłącznie do Żymian. A przecież ludy semickie to wszyscy potomkowie Sema (jeden z trzech synów Noego). Semitami są różne ludy wywodzące się z Syrii, Palestyny, Libanu, Jordanii i państw Półwyspu Arabskiego. Semitą jest każdy Arab i każdy Palestyńczyk ze Strefy Gazy. Każdy Palestyńczyk zabity przez Żymian jest semitą podobnie jak każdy Żymianin. Stało się jednak tak, że słowo „antysemityzm" jest rozumiane wyłącznie jako negatywny stosunek do Żymian.

***

Dlaczego „nikt nie lubi Żymian"? Są inteligentni, a w normalnych warunkach lubimy inteligentnych. Są twórczy, utalentowani, sprawni, wykształceni – zazwyczaj są to powody do podziwu i sympatii, a jednak w tym przypadku to się nie przekłada na sympatię. Żymianie są wszędzie – w sensie takim, że wszędzie ich widać. I rządzą światem. Tylu ich jest u sterów władzy, że mówimy „Żymianie rządzą światem" i mamy rację, bo rządzą realnie. Rothschildy, Sorosy i inne takie – rządzą realnie i można ich podziwiać za skuteczność w dochodzeniu do władzy i do pieniędzy, ale jednocześnie trudno ich za to lubić.

***

Paweł Lisicki, czyli mój szef w tym tygodniku, opisał zjawisko w swojej książce pt. „KTO ZABIŁ JEZUSA?". Książka omawia głównie kwestię tego, kto jest bezpośrednio odpowiedzialny za zamordowanie Jezusa. Rzymianie (ci z Rzymu cezarów, pisani przez R+Z) wykonali wyrok, ale… zrobili to NA ZLECENIE Żydów.

Lisicki opisuje także odwieczną postawę Żydów wobec wszystkich innych narodów, ludów, wobec całej reszty świata: Jesteśmy Narodem Wybranym, bo wybrał nas Bóg. Wybrał, wyróżnił, wyniósł ponad inne narody. Dlatego wszyscy inni mają nam służyć, a my mamy prawo i obowiązek wszystkimi rządzić.

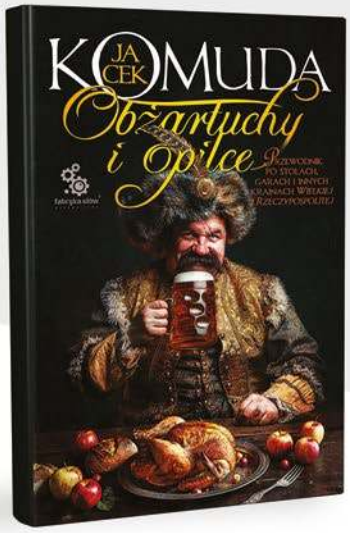
Nie da się tego lubić i dlatego „nikt nie lubi Żymian". ©℗

eprasa.pl 2eeee85d49

Oferta promocyjna

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

PÓŁROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY”



+

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

JACEK KOMUDA: „OBŻARTUCHY I OPILCE” ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~601 ZŁ~~

290,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 311 ZŁ

Oferta prenumeraty z dostawą za pośrednictwem Poczty Polskiej

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

- **Wpłata na konto bankowe: Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa, nr konta: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006. W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail**
- **Na stronie: www.subskrypcja.dorzeczy.pl.**

TERAZ MOŻLIWOŚĆ ZAMÓWIENIA PRENUMERATY RÓWNIEŻ Z DOSTAWĄ DO PACZKOMATU INPOST

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

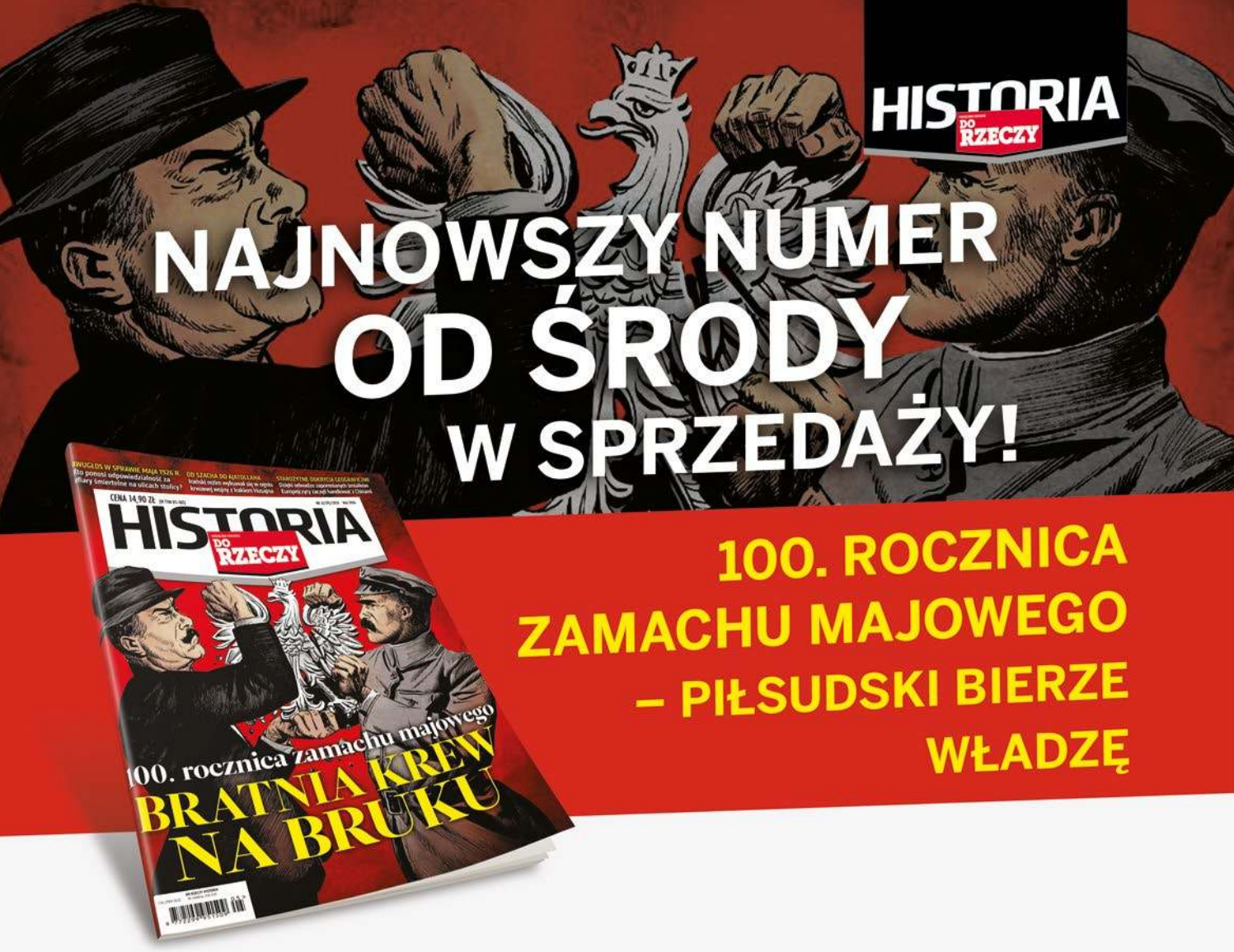
CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 2eeee85d49



NAJNOWSZY NUMER OD ŚRODY W SPRZEDAŻY!

100. ROCZNICA ZAMACHU MAJOWEGO – PIŁSUDSKI BIERZE WŁADZĘ

Polski spór o Polskę – Za wypadki z maja 1926 r. i rozlew krwi trudno obarczyć pełną winą tylko jedną ze stron konfliktu. Stanowiły one bowiem splot wielu okoliczności zmiennego i mało stabilnego życia politycznego Polski

Generałowie za kratami – Po przewrocie majowym Tadeusz Rozwadowski, Włodzimierz Zagórski, Juliusz Malczewski i Bolesław Jaźwiński zostali aresztowani. Żaden z nich nie stanął jednak przed sądem

Od szacha do ajatollaha – „Ci, którzy krytykowali szacha za brutalność jego tajnej policji, po zmianie władzy zmienili tylko jej nazwę i wykorzystywali ją tak samo, przetrzymując swoich wrogów w tych samych więzieniach" – mówi prof. UŁ Robert Czulda

Rzymscy legioniści w Chinach – To w starożytności narodził się handel światowy oplatający swoimi nićmi tereny od rzymskiej Brytanii do Chin. Było to możliwe dzięki śmiałkom, o których dziś już mało kto pamięta

Norymberska farsa – Winston Churchill przekonywał, że niemieckich zbrodniarzy trzeba najzwyczajniej rozstrzelać. Brytyjski przywódca doskonale bowiem rozumiał, że ich proces będzie kpiną z prawa

Odcięta ręka generała Lee – W bitwie pod Chancellorsville gen. Lee wzniósł się na wyżyny swojego dowódczego geniuszu, będąc bliski zakończenia wojny na warunkach Południa. Jednocześnie stracił tam swojego najlepszego generała, bez którego stało się to niemożliwe

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl 2eeee85d49